

- ★ Raz w roku w Skirolawkach ★ Home, sweet home...
- ★ Łatwiej wybudować blok niż zmienić człowieka
- ★ Pan Moniuszko może spać spokojnie ★ Ulice mego dzieciństwa
- ★ Nobel '83 William Golding

Czytając ten tekst odrzuć emocje!

Katolicyzm a rozwój Polski

EDMUND LEWANDOWSKI

I.

W 966 roku książę z dynastii Piastów, Mieszko I, ochrzcił się i zaczął narzucać nową religię poddany mu Polanom, Goplanom, Mazowszanom, Łędzianom. Dlaczego zdecydował się na ten krok? Gall Anonim, autor najstarszej kroniki polskiej, tak to wyjaśnia:

„Mieszko objawwszy księstwo zaczął dawać dowody zdolności umysłu i sił cielesnych i coraz częściej napastował ludy sąsiednie dookoła. Dotychczas jednak w takich pograżony był błędach pogaństwa, że wedle swego zwyczaju siedmiu żon zażywał. W końcu zażądał w małżeństwo jednej bardzo dobrej chrześcijanki z Czech, imieniem Dąbrówka. Lecz ona odmówiła poślubienia go, jeśli nie zarzuci owego zrażonego obyczaju i nie przyrzeknie zostać chrześcijaninem. Gdy zaś on na to przystał, że porzuci ów zwyczaj pogański i przyjmie sakramenta wiary chrześcijańskiej, pani owa przybyła do Polski z wielkim orszakiem dostojników świeckich i duchownych, ale nie pierwszej podzieliła z nim łóżko małżeńskie, że powoli a pilnie zaznajamiając się z obyczajem chrześcijańskim i prawami kościelnymi, wyrzekł się błędów pogaństwa i przeszedł na łono matki — Kościoła”.

W istocie nie wdzięki Dąbrówki i chęć jej poślubienia skłoniły władcę Polski do przyjęcia chrztu, tym bardziej, że księżniczka czeska miała już 30 lat i jak na owe czasy była dość stara, a poza tym była rozwódką lub wdową. Toteż pierwszy kronikarz czeski, Kosmas, zarzucił swej rodaczce, że popełniła wielkie gnuśstwo i była „nad miarę bezwstydną, kiedy poślubiła księcia polskiego będąc już kobietą podeszłego wieku”.

Prawdziwa przyczyna chrztu Mieszka I i Polski miały charakter społeczno-polityczny. Po pierwsze — była tym zaintereso-

wana klasa panująca — wielcy właściciele ziemscy. Klasa ta zdobyła przewagę i władzę w społeczeństwie w wyniku rewolucji gospodarczej i społecznej, jaka dokonała się na ziemiach polskich w okolicach VI do IX wieku. Rewolucja spowodowała odejście od pierwotnego egalitaryzmu i wytworzyła polaryzację ludności na bogatą arystokrację rodowo-plemienną i biedne zależne masy. W rezultacie owych przeobrażeń oraz ekspansji i podbojów plemienia leńnicko-gnieźnieńskiego powstało państwo polskie. Ten nowy, zróżnicowany i niestabilny system społeczno-polityczny, o ustroju wczesnofeudalnym, wymagał określonego usankcjonowania ideologicznego i uprawomocnienia. Do tego zaś najlepiej nadawało się chrześcijaństwo, stanowiące gotową ideologię i religię feudalizmu.

Po drugie — chrześcijaństwo było wówczas, że tak powiem, propozycją nie do odrzucenia. Władcy chrześcijańscy bowiem, pod pretekstem nawracania, krwawo podbijali kraje pogańskie. Na przykład Karol Wielki tak chrzcił w latach 779—804 Sasów, że niewiele już brakowało do wytepienia całego plemienia. A kilka wieków później krwawe krucjaty w Ameryce Południowej i Środkowej przyczyniły się do spadku liczby ludności tego obszaru z 60 mln na początku XVI w. do 19 mln w końcu XVIII wieku, i to mimo przywozu niewolników z Afryki. Chrześcijaństwo rozwijało się drogą przymusu ekonomicznego i politycznego oraz poprzez akty brutalnej przemocy fizycznej. „Cywilizacja, używająca przemoc chrześcijańskiej — co słusznie przypominał Czesław Miłosz — zbudowana została na krwi niewinnych”.

Po trzecie — chrześcijaństwo dzięki swemu uniwersalizmowi, sprzyjało integracji plemion

3

Pasjonaci-czarodzieje

JOLANTA WROŃSKA

Są jeszcze pośród nas ludzie, którzy dzieło rąk i umysłu człowieczego rozumieją najdosłowniej jako arcydzieło. Ludzie pochłonęli pasję, płonący ogniem iskry bożej... nie zgubmy ich my, codzienni i zwykli...



Kobry — szable indoperskie

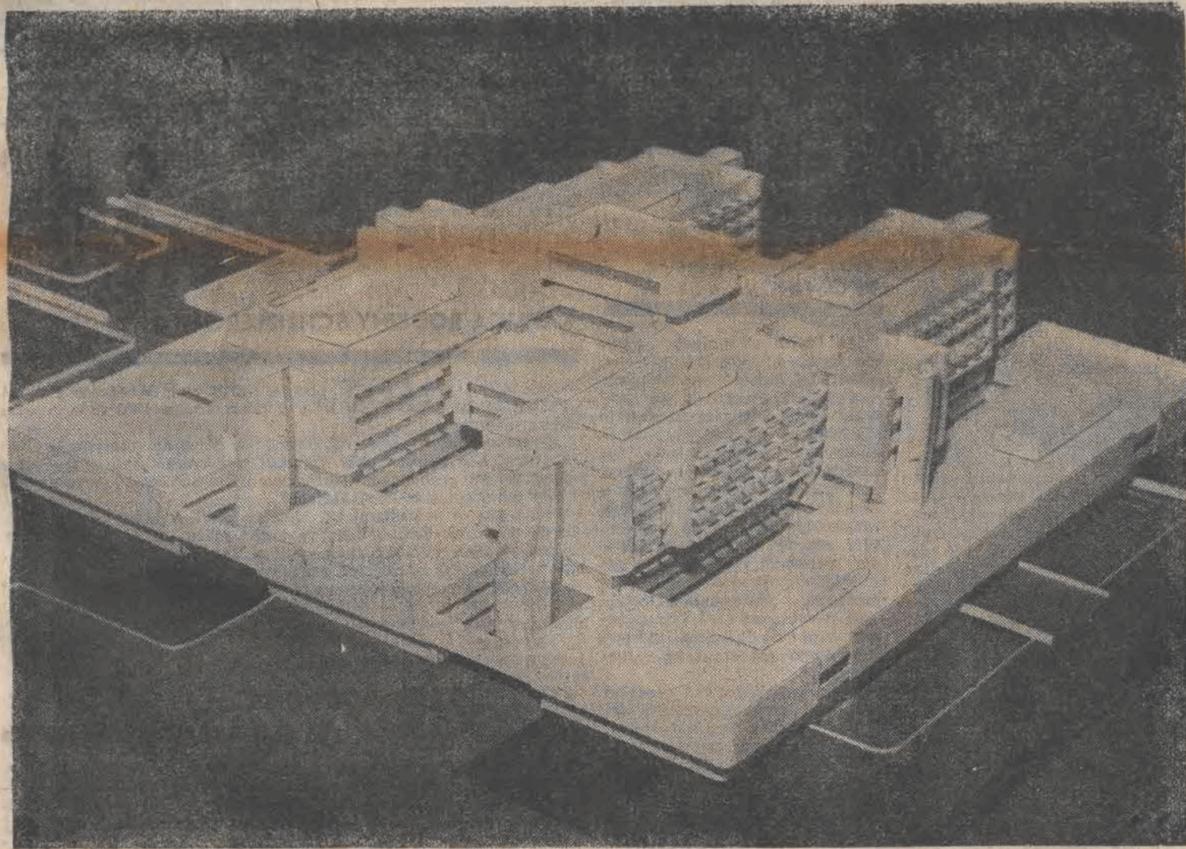
7

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 44 (1335) ROK XXVI 29 PAŹDZIERNIKA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Pomnik-Szpital Centrum Zdrowia Matki-Polki



Nie jestem oszczędnym projektantem

21 października 1983 roku położono kamień węgielny pod budowę Centrum Zdrowia Matki. Za 4 lata szpital ma być gotowy i oddany do użytku. Powstaje on według projektu, nad którym pracuje grupa projektantów „Miasto-projektu” pod kierunkiem architekta JANUSZA WYŻNI-KIEWICZA. Zwróciliśmy się zatem do generalnego projektanta z prośbą o rozmowę na temat powstającego projektu szpitala.

— Jak można przedstawić pana naszym Czytelnikom?

— Jeśli chodzi o projektowanie szpitali, to można powiedzieć, że w Łodzi jestem prawie monopolistą.

— Które szpitale powstały według pana projektu?

— Przede wszystkim Wojewódzki Szpital Zespolony im. Mikołaja Kopernika, następnie Szpital Onkologiczny, który co prawda leży obok szpitala Kopernika, ale jest odrębnym obiektem, dalej Szpital MSW,

oddział chirurgiczny szpitala na Stokach, według mojego projektu powstaje także Centrum Kliniczne Akademii Medycznej. Poza tym były jeszcze projekty modernizacji szpitali, ale tego nie liczę.

— A poza Łodzią?

— Poznań zwrócił się do mnie z prośbą o zaprojektowanie szpitala klinicznego. Zrobiliśmy projekt, który nie będzie na razie realizowany, ze zrozumiałych względów, ale dało mi to sporo zawodowej

satisfakcji.

— Czy projektowanie szpitali jest bardzo trudne?

— Tak. Jest to działanie jakby na styku wielu różnych dyscyplin, wymaga od projektanta określonych predyspozycji, ciągłego śledzenia rozwoju medycyny i architektury jednocześnie. Toteż mało jest w Polsce architektów, którzy spe-

5

Przegląd prasy

Co było, co minęło, co się już stało — to na ogół wiemy, lepiej, gorzej, mniej lub więcej dokładnie. Różny możemy mieć stosunek do przeszłości, do naszej wiedzy o tej przeszłości, podobnie zresztą, jak i do teraźniejszości, ale zawsze interesowało nas i będzie interesowało pytanie o przyszłość: co będzie, jak się potoczą nasze losy? Z tych pytań i zainteresowań o nasze prywatne losy rodzi się zainteresowanie o przyszłość nas wszystkich, społeczeństwa, kraju, narodu. Jaką drogą potoczą się losy naszej zbiorowości? I czy mamy, możemy mieć wpływ na to? Czy możemy wybrać drogę w przyszłość?

MARIUSZ GULCZYŃSKI PRÓBUJE ODPOWIEDZIEĆ

na to pytanie w rozmowie ze Zdzisławem Żarycznym na łamach „RAZEM” (nr 42 z 16 października 1983 r.). Tytuł publikacji: „Którędy do przodu? Kształt pytań”. Ale w rozmowie tej nie pytania są ważne, a odpowiedzi.

Na samym początku Mariusz Gulczyński wypowiada się przed „prostakiem” pojmowaniu procesu rozwoju społeczeństwa.

„Irytuje mnie — mówi — zwłaszcza prostackie rozumienie postępu społecznego, zakładające, że od formacji do formacji wszystko szło jednostajnym ruchem wstępu. Nieprawda! To tylko niektóre społeczności wykazywały taki ruch. Znaczna część okazywała po pewnym etapie niedorozwój, wyrodniejąc lub popadając w zależność. Szansę postępu ustrojowo-cywilizacyjnego za każdym razem wygrywały tylko nieliczne, bardzo dobrze zorganizowane i silnie wewnętrznie spójności”.

Nie ma więc rozwoju liniowego, tak jak nie ma społeczeństw wzorcowych, których ustrój odpowiadałby dokładnie szkolnej formule, każde ma swoje historyczne i inne uwarunkowania. Myślimy się tylko przyzwyczajali do przekonania, że budowa socjalizmu gdziekolwiek powinna odpowiadać podręcznikowym założeniom, odrywając się w ten sposób od rzeczywistości, która przede wszystkim i jedynie warunkuje i decyduje o tym, w jakim kierunku i w jaki sposób potoczy się społeczny rozwój tego czy innego narodu. To nie znaczy, oczywiście, że wnikliwie analizując rzeczywistość i pamiętając o historycznych uwarunkowaniach nie można uniknąć takich czy innych błędów i odwrotnie. Nie czyniąc tego można te błędy popełnić.

Otóż myślimy już taki błąd w kreśleniu przyszłości popełnili. Założyliśmy — nie biorąc pod uwagę historycznych uwarunkowań, w jakich rozwinięły się niektóre kraje Zachodu — że dągniemy najbardziej rozwinięte kraje w poziomie ich życia. A tymczasem — jak to słusznie przypomina Mariusz Gulczyński, cytując „Imperium amerykańskie” Claude’a Juliána — „bogactwo najwyższej rozwiniętych krajów kapitalistycznych pochodzi z akumulacji kapitału, z tego „zgarniania śmietanki”, a nie z własnego zaplecza materialnego”. Myślimy chcieli dokonać czegoś niejako wbrew prawom rozwoju społecznego, chcieliśmy osiągnąć tylko własną pracą i pożyczkami zagranicznymi tak szybko taki poziom, jaki rozwinięte kraje osiągały przez lata i przy wysiłku innych narodów.

Było to bardzo frapujące hasło: — dągnąć innych! Ale — jak to dziś widać — hasło nierealne. Tylko, że nie wszyscy dostrzegli tę nierealność. Są bowiem i tacy wśród nas, którzy „nie chcą rezygnować z aspiracji i celów, jakie wyznaczyła poprzednia ekipa — krytykując tylko jej nieudolne wykonawstwo — przystają oni na pogłębiające się rozwarstwienia społeczne. Byłoby to dalej w tym kierunku”. Nie musimy chyba przekonywać, iż Mariusz Gulczyński jest przekonany o niewłaściwości tego kierunku.

„Uważam jednak i staram się głosić, że kierunek ten jest po prostu niemożliwy do zrealizowania”.

Otóż po pierwsze — dlatego że w naszym rozwoju historycznym nie było „zgarniania śmietanki”, czyli kolonialnego wysiłku innych krajów. Mieliśmy wprawdzie przed wojną Ligę Morską i Kolonialną, ale skończyła się na szczęście tylko na hasłach i postulatach oraz marzeniach o mocarstwowości. Po drugie — osiągnięcie tego celu jest niemożliwe ze względu na istniejącą barierę ekologiczną. Możemy wprawdzie uprzeć się i zacząć na siłę gonić Zachód, ale rezultatem tego wysiłku może być pustynia, na której przyszłoby nam wegetować.

Ten kierunek rozwoju może grozić jeszcze konfliktem... z klasą robotniczą.

„Kapitalizm nie dogonimy przecież — mówi M. Gulczyński — naszym kontem bankowym czy rewelacjami technicznymi, bo ich zwyciężają nie mamy. Pozostaje tylko forsowanie wysiłku robotnika, co bardzo szybko może doprowadzić do następnego konfliktu. I tu rzecz niemiernie ciekawa: sprzeciw klasy robotniczej niekoniecznie przyjmuje postać alternatywnej wizji postępu. Może też być przejawem gniewu z powodu zbyt niskiego partycypowania w rezultatach własnej pracy. Dobrym przykładem jest fala żądań i postulatów, jaka przetoczyła się przez nasz kraj po sierpniu 1980 r. — potęgować podział bez wyprzedzenia produkcji. W efekcie mamy tylko galopującą inflację”.

Wydaje się rzeczą naturalną, iż potęgowanie wysiłku musi rodzić sprzeciw, jeśli nie towarzyszy temu w miarę równomierny podział rezultatów tej pracy. Stąd też poczucie naruszenia zasad sprawiedliwości społecznej, domaganie się egalitaryzmu. Ale, czy taki program sprawiedliwego dzielenia tego, co wytworzymy jest w ogóle możliwy i korzystny dla prawidłowego działania mechanizmów poruszających gospodarkę? Oczywiście, że nie. Co zatem?

Mariusz Gulczyński mówi o konieczności posiadania dwu programów: minimum i maximum. Minimum — to program wychodzenia z kryzysu. A program maximum? Ten powinien już powstawać. I nie może to być program doganiania kogokolwiek, a po prostu realny, rzetelnie opracowany program systematycznego poprawiania warunków życia ludzi pracy w Polsce. I nie należy nikogo mamić zbyt optymistycznie brzmiącymi terminami, że już, za trzy lata, za pięć. Przygotujmy się raczej, że przyjdzie nam pracować nad tym długo i w trudzie.

Szwecja na przykład wychodziła z bardzo trudnego położenia, z biedy właściwie, przez 90 lat. „Pożyliśmy się własnej mitologii i historii, bo ona nam przeszkadzała” — powiedział Markowi Millerowi pewien Szwed. I autor „RADARU” (nr 41 z 13 października 1983 r.) prezentuje swoje poglądy na wpływ historii na współczesność narodu w dyskusyjnym artykule „Rupiecarnia”.

NASZ STOSUNEK DO HISTORII PRZESZKADZA NAM

w znalezieniu własnej drogi — sugeruje Marek Miller. Redakcja „Radaru” zastrzega się, że nie zgadza się z poglądami swego autora, ale chce wywołać dyskusję nad naszym stosunkiem do przeszłości, w której to dyskusji mają się wypowiedzieć ludzie nauki, publicyści.

„Nasza młodzież — powiada Szwed Markowi Millerowi — w ogóle nie zna tradycji narodowej”. Ale autor „Rupiecarni” zdaje się nie rozumieć, że odrzucenie przeszłości, wykreślenie jej z zasobu wiedzy, jaką powinien posiadać współczesny Szwed czy Fin, to również jest określony stosunek do tej przeszłości. My się niczego z niej już nie możemy nauczyć, więc dajmy sobie z tym spokój — powiedziano sobie w Szwecji i Finlandii. U nas natomiast uważamy inaczej, że za mało wykorzystujemy nauki płynące z historii, że abytno się tą przeszłością fascynujemy, a mniej nad nią myślimy, że traktujemy ją jak świętość.

Panuje u nas też przekonanie, że każde młode pokolenie powinno tę świętość, jaką jest historia, trochę poszargać. Gdyby z tego szargania świętości wyszedł jakiś pożytek, to nie oponowałbym. Samo szarganie dla szargania nie ma zupełnie sensu. Trzeba więc do przeszłości odnosić się nie tyle z szar-

cunkiem, co krytycznie, z myślą, żeby się czegoś nauczyć, bo przecież istnieje dialektyczny związek przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Ten związek cechuje również teraźniejszość Szwedów i Finów. My jesteśmy bezkrytyczni w stosunku do naszej przeszłości. I niekonsekwentni. Bardziej cenimy ofiarę krwi naszych przodków, niż ofiarę ich potu i odcisków na reках, jak też ich wysiłek intelektualny. Zamiast więc całą przeszłość wypychać do rupiecarni, pożytecznej będzie krytycznie się nad nią zastanowić.

Zobaczymy zresztą, co przyniesie dyskusja w „Radaru”.

W piątkowym wydaniu „EX-PRESSU ILLUSTRWANEGO” (z 21 października 1983 r.) znalazłem bardzo interesujący wywiad Haliny Cywińskiej, w którym

JERZY URBAN WYPOWIADA SIĘ O DZIENNIKARSTWIE

Oto fragment wypowiedzi: — „Ze spotkań przedstawicieli władzy ze społeczeństwem, a także z moich spotkań nie wynika, iżby ludzie w Polsce byli zastraszeni. Tam jest dużo pytań ostrych, kłopotliwych a nawet agresywnych, choć to oczywiście zależy od miejsca, czasu i środowiska. Zgadzą się jednak z panią, kiedy mówi pani o rozluźnieniu się więzi prasy z czytelnikami. Nie jest to jednak objaw ludzkiej ucieczki w prywatność, czy silne zmniejszenie opinii społecznej. Raczej konsekwencją tego, że czytelnik na łamach prasy nie znajduje zbyt wielu ciekawych publikacji o sprawach go pasjonujących, stanowiących temat dnia w rozmowach towarzyskich i domowych. Wobec tego prasa i dziennikarstwo nie są dostatecznie często adresatami czytelnich opinii i pretensji”.

Zdaniem Jerzego Urbana wynika to „z niechęci do wypowiadania poglądów drażniących czytelnika. Z chęci nierażenia się ani czytelnikom, ani żadnym władzom, z tego, że dziennikarstwo nie chce wchodzić w zważanie z nastrojami różnych grup czytelnich, z doświadczeń letniej temperatury publicystyki”.

Trudno się z poglądami Jerzego Urbana nie zgodzić, chociaż zdarzają się przecież wyjątki i niektóre publikacje trafiają w społecznie zainteresowane, choć nie zadowolają wszystkich, bo jest to niemożliwe.

Ma również rację Jerzy Urban, kiedy mówi o populoniach, że jest gazetach typu „Express Ilustrowany”. „Jeśli więc powiadać, że w polityce partii i państwa nadajemy pierwszeństwo klasie robotniczej i jej potrzebom, to w polityce wydawniczej i propagandowej powinniśmy traktować populoniów jako gazety pierwszorzędne, nie zaś drugorzędne, bowiem właśnie one czytane są przede wszystkim przez klasę robotniczą”.

„Ale w praktyce jest akurat odwrotnie. Może więc Jerzy Urban, jako rzecznik rządu, wpłynie na politykę wydawniczą w taki sposób, że na przykład projektowana gazeta dla członków związków zawodowych, a więc przede wszystkim ludzi pracy, będzie się ukazywać właśnie jako gazeta populoniowa. Doświadczenia „Kurieru Polskiego” czy „Expressu Wieczornego” dowodzą, że można robić populoniówkę na wysokim poziomie. Przydałaby się taka dla związków też”.

Dziennikarzami zajęł się też Skorpion w nr 43 „VETA” (z 23 października 1983 r.). Tytuł felietonu „Kamyk do własnego ogródka”. Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że Skorpion — zgodnie z tytułem felietonu — źle wyraża się o dziennikarzach „Veta”. Przeciwnie, stosuje on demagogiczną metodę sączenia innych na jednym

przykładzie. Skorpion wychodzi z bardzo prostego założenia. Monopol na rację ma „Veto”. Jeśli „Veto” o czymś pisze, to inni mogą jedynie przedrukować i zachwycić się. Poza tym można naśladować, czyli powtarzać jako myśli własne, ale od „Veta” zapożyczone. Jeśli ktoś tak nie robi, to głupi. „Odgłosy” tego nie zrobiły. Zapytały w sprawie czerwonej kartki dla „Marko” kilku ludzi w „Marko”, co o tym sądzi i naraziły się tym tygodnikowi „Veto”. Są więc głupie, dziennikarze w „Odgłosach” to głupcy. Ale żeby tylko w „Odgłosach”. Głupcy są również w „Expressie Ilustrowanym”, bo skrytykowali rysunki Andrzeja Mleczki i źle napisali o urzędnikach, którzy chcą się wzięć za ogrodnictwo. Pisacze bowiem wolno tylko tak, jak nakazuje „Veto”. Wszyscy, którzy piszą inaczej, pisują bzdury i są niekompetentni. Nie wierzyacie? Przeczytajcie felieton Skorpiona pod mylącym tytułem „Kamyk do własnego ogródka”.

Nie mam wcale zamiaru ani się obrażać za dziennikarskie masy sponsorowane przez Skorpiona, ani twierdzić wbrew faktom, że przeżywamy rozkwit polskiego dziennikarstwa. Nie mogę jednak zgodzić się wyłącznie na polajanki i pouczenie praktykowane przez dziennikarskiego artystokratę z „Veta”, który „wszystko wie najlepiej i wszystko też lepiej widzi i rozumie. Myślę, że dziennikarstwo bardzo może pomóc konkretną dyskusją nad jego wadami i brakami. Jeśli ktoś jest niedouczony, pisze beznamiętnie to „co mu kazano” albo — jeszcze gorzej — zupełnie nie rozumie tego, co napisał, to trzeba wykazywać to konkretnie, z przykładami i cytatami, a nie wymyślać wszystkim od głupców.

Może mamy w Łodzi najgorszą prasę w kraju — jak to sugeruje Skorpion — ale trudno robić nam zarzut z tego powodu, że mając „Marko” dosłownie pod bokiem, zainteresowaliśmy się sprawą i sprezentowaliśmy czytelnikom nieco inny pogląd niż reprezentowało „Veto”.

W „TRYBUNIE LUDU” natomiast (z 22 października 1983 r.)

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI WYPOWIADA SIĘ O PROWINCJI

„Są ludzie w małych miasteczkach, o których nie wiemy, ludzie niestychanie wartościowi. Prowincja nie posiada bowiem własnych pisarzy i własnych wydawnictw, czyli pozbawiona jest pamięci. Do tego dochodzi jeszcze sprawa zasiedziałości. Nie mamy prowincji zasiadającej; pokolenia rozproszyły się, nie żyją w tym samym miasteczku czy wsi. Pozostają więc tylko po śmiertci epitafium, napis na grobkowcu... Mnie wrzekł krajoznawca polski, przez który przeszła historia. I ludzie, których już dawno nie ma na tym świecie...”

I tak zaczęliśmy ten przegląd prasy od związków przeszłości i przyszłości z teraźniejszością, od pytań o tę przyszłość i kończymy słowem T. Chróścielewskiego o tych związkach. Naród bez swojej historii, nie znający tej historii, nie umiający wyciągać z niej wniosków, to naród pozbawiony pamięci. Czy wolno nam zatem — teraz, tu, w tym czasie, kiedy z zakreftu musimy wyjść na prostą i już tak iść do przodu, aby nie popaść w żaden kolejny zakreft, czy wolno nam teraz pozbawiać się tej pamięci?

Nie. Musimy się tylko nauczyć z niej korzystać!!

LUCJAN BOGUSZ

W najbliższych numerach:

- * RAZ W ROKU W SKIROŁAWKACH
- * ŻYWY GÓRAL I PIECZONY BARAN...
- * REFORMA ZA ZŁOTÓWKĘ
- * JUŻ NIE BIJA
- * ROZMOWA Z IRENĄ SANTOR
- * NIE REMONTUJ SWEGO WRAKA

Minął tydzień

AKT EREKCYJNY POD CENTRUM ZDROWIA MATKI

wmurowaną 21 października 1983 roku. W uroczystości, która zgromadziła tysiące ludzi, wziął udział premier gen. Wojciech Jaruzelski. Szpital ma być oddany do użytku za cztery lata. Głównym wykonawcą jest Kombinat Budowlany „Śródmieście”.

STUDENCI WRACAJĄ DO STOŁÓWEK

Tę radosną wieść podało „Życie Warszawy”. Powodem powrotu studentów do stołówek jest obniżenie ceny obiadów w tych stołówkach. W ubiegłym roku płacono się za taki obiad 72 zł, teraz płaci się 48. Po prostu personelowi za pracę w stołówce nie płaci już student — stąd można było cenę obiadu o 24 zł — a płaci uczeń. Student musi natomiast utrzymać administrację stołówek i dlatego ceny śniadania nie obniżono wyraźnie, bo jedynie z 39 na 34 zł, a jego wiściwy koszt wyniesie 26 zł.

Studenti wracają do stołówek, ale tylko na obiady. Śniadania nadal nie cieszą się popularnością. Na 23 warszawskie stołówki studenckie śniadania wydaje tylko 6. Podobnie jest z kolacjami. Student — jak z tego wynika — wolał jeść albo w barze mlecznym, albo sami robiąc sobie śniadania i kolacje.

Kto więc utrzyma administrację stołówek?

POTRZEBA MATKĄ WYNAŁAZKÓW

— głosi stare przysłowie. Tym razem można byłoby powiedzieć, że potrzeba okazała się matką skutecznego działania. Skoro mamy trudności z paliwami i silnikami typu diesla są oszczędniejsze w zużyciu paliwa, to trzeba takie silniki instalować w samochodach produkowanych w kraju. Tylko skąd wziąć te silniki? Każdy więc producent próbuje rozwiązać ten problem na własną rękę. FSO wypuszcza „poloneza — turbo” z silnikiem produkcji zagranicznej. Fabryka Samochodów Rolniczych w Poznaniu — Antoninku korzysta z silników produkowanych w Andrychowcu lub Ursusie, bo i „tarpana” będziemy mieć z silnikiem dieselskim. Od 1 października z taśmy produkcyjnej w Starachowicach schodzą „stary” z silnikami dieselskimi własnej produkcji. O stosowaniu silników dieselskich myślą producenci samochodów w Nysie i Lublinie.

Może potrzeba — matka nie tylko wynalazków — podsunie i w tej sprawie jakieś sensowne rozwiązanie. Specjalistę bowiem mówią, że z pożytkiem dla gospodarki byłoby wymienić silniki benzynowe na dieselskie nawet w samochodach obcego pochodzenia, które należą do bezprzekładnych pożeraczy benzyny.

KAPLICA RODZINY SCHEIBLERÓW

— jak donosi W. Franc w piśmie ŁZPB. im. Obrońców Pokoju „TYDZIEŃ W UNIONTEXIE” z 3 października 1983 r. — uległa dalszej dewastacji.

„Ludzkie ręce — pisze W. Franc — okrutnie okaleczyły ten zabytek „Nie powstrzymał Wandali ani tradycyjny w Polsce szacunek dla grobów, ani konserwatorska tabliczka. Smutne to”.

Nie tylko smutne. Przerazające! Przed laty o dewastacji tej kaplicy pisał Andrzej Makowiecki. Teraz pisze W. Franc. Kolejny autor może już tylko napisać z żalem, że była w Łodzi taka kaplica. Zabytek specjalści zaliczyli do najciekawszych budowli sakralnych w Polsce.

A może zamiast błądzą wzięć się za ratowanie tego zabytku?

KSIAŻKĘ O SIĘDMIOGRODZIE

Stefana Pascu — profesora Akademii Nauk — wydało Wydawnictwo „Dacia” w Klużu. Stefan Pascu utrzymuje, że trzy rumuńskie kraje: Mołdawia, Wołoszczyzna i Siedmiogród załudnione są przez etnicznie jednorodną masę, z tym, że w Mołdawii i na Wołoszczyźnie ludność rumuńska występuje prawie w całości, natomiast w Siedmiogrodzie stanowi absolutną większość. Proces ukształtowania się narodu rumuńskiego na obszarze Mołdawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu — utrzymuje prof. Stefan Pascu — był już w zasadzie zakończony na przełomie VII i VIII wieku.

JERZY WAWRZAK W „DZIENNIKU ŁÓDZKIM”

wyraził ubolewanie z tego powodu, iż nie został zaproszony przez Wydział Kultury UMŁ na inaugurację roku kulturalnego w Łodzi. Szczególnie żałuje, że — jak pisze — „nie widziałem np.miny dyrektora Teatru Wielkiego, Sławomira Pietrasa jak otwiera kopertę z trzema „Kopernikami”. Pyszny żart, nieprawdaż?”. A ładnie to zaglądać komuś do koperty? I podśmiewać się z obdarowanych tylko trzema „Kopernikami”?

W LUBLINIE RÓWNIEŻ

pościg milicji za złodziejami. Tym razem milicja goniła złodziei, którzy u radzi z parkingu „nysę”. Zatrzymano ją strzałami w opony. „Nysa” potoczyła się do rowu, a milicja ujęła sprawców. Po tych doniesieniach z Lublina nie wiadomo co bardziej podziwiać, pomysłowość złodziei, czy skuteczność milicji. Ja skłaniam się do tego drugiego. Gratulacje!!!

A. B. SEKATOR

Człowiek w osiedlu

Łatwiej wybudować blok niż zmienić człowieka

Na temat samorządów, samorządności w ostatnim czasie dużo się mówi i pisze. Wypowiadali się uczeni, publicyści, pracownicy administracji państwowej. Z wielką uwagą i zainteresowaniem czytałem cykl artykułów zamieszczonych w „Odgłosach” pod wspólnym tytułem „Człowiek w osiedlu”, napisanych przez A. Majera, M. Stahla, K. Krupińskiego, E. Lachowską. Nie mogłem się natomiast doczekać wypowiedzi samych działaczy samorządowych za wyjątkiem Marty Sobockiej, która w swoim artykule, zamieszczonym w numerze 36 z 3 września 1983 roku poruszyła jedynie znikomą część spraw związanych z pracą samorządu. Artykuł technicznie dojrzały, zawierający nadzieje, rozczarowania, upokorzeń wyniesionych z dotychczasowej pracy w samorządzie. Odstania zakulisowe rozgrywki. Nie znam na tyle sprawy, aby wypowiadać się na powyższy temat. Być może zabiorą głos zainteresowane osoby.

Chciałbym natomiast nieco szerzej i dokładniej podzielić się swoimi spostrzeżeniami dotyczącymi pracy komitetów osiedlowych, samorządów mieszkańców, komitetów domowych, jakże nieraz daleko odbiegających od oczekiwań i potrzeb samych mieszkańców. Ewa Lachowska pisze:

„Praca społeczna w samorządzie jest ciężka, niewdzięczna praca, korzyści osobiste żadne, a przykrości dużo”.

Szczera to prawda.

Nie powinno to jednak zniechęcać do pracy ludzi faktycznie oddanych, mających na celu dobro wszystkich mieszkańców osiedla, a nie tylko osiąganie własnych korzyści. Jakże często podkładamy sami sobie kłody pod nogi celem zaspokojenia własnych wygórowanych ambicji. Zakulisowe rozgrywki, działania pozorne, obliczone na pokaz, łatwinę, ludzką naiwność. Przeróżające to niskie i upokarzające, uwielające godność osobistej człowieka. Nie przychodzą do żadnej korzyści mieszkańcom, odsuwają ich od pracy w samorządzie, podrywa do niego zaufanie.

Działalność każdego komitetu domowego, osiedlowego, samorządu mieszkańców winna cechować wielką troską o poprawę warunków mieszkalno-bytowych mieszkańców osiedla. W żadnym wypadku nie można zawiesić pokładanych nadziei wyborców. Trzeba nadal czuć się mieszkańcem osiedla, a nie dyktatorem oddzielnym od społeczeństwa. Trzeba umieć wysłuchiwać cierpliwie jakże słusznych spraw, uwag, postulatów i wniosków, zgłaszanych na zebraniach, na dyżurach. Należy pamiętać, że za każdą taką sprawą stoi żywy człowiek, oczekujący na rozwiązanie, udzielenie pomocy. Nie może być sprawy nieważnej, lub mniej ważnej. Wszystkie drobnych spraw, składa się całe nasze życie. Musimy nauczyć się sami decydować o swoich własnych sprawach.

Niektórzy pracownicy administracji w przybliżeniu szczerze mówią:

— Najgorzej mieć do czynienia ze społecznymi. Sami nie wiedzą czego chcą.

Czy tak jest naprawdę?

Nie. Wiemy czego chcemy. Nie żądamy rzeczy niemożliwych do wykonania. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że wszystkich zgłaszanych spraw i wniosków, mimo naszej chęci, nie jesteśmy w stanie załatwić z przyczyn ogólnie znanych. Załatwienie wielu spraw wymaga większych nakładów finansowych, materiałów, na które obecnie nas nie stać. To rozumieliśmy. Nie przeszkadzają nam te sprawy, ale trzeba i należy to ludziom szczerze i otwarcie powiedzieć, wytłumaczyć. Są jednak takie sprawy, które nie wymagają większych nakładów pracy, środków finansowych, a jedynie lepszej organizacji, pomysłu, aby można było je załatwić sprawniej i szybciej. Niestety, ciągną się one w nieskończoność. Irytują, denerwują.

Klasycznym tego przykładem niech będą uruchamianie placówek usługowo-handlowych. Bloki są zasiedlane od razu, a placówki usytuowane na parterze tychże bloków nierzadko czynne są dopiero w pół roku po zasiedleniu. Stoją puste. Jeszcze nie użytkowane, a już w jakiejś części zdewastowane. W pół roku można — jak się okazuje — wybudować nową szkołę od fundamentów, lecz niestety nie można usunąć kilkunastu drobnych usterek, zaspodarować, uruchomić tak potrzebnej placówki. Istny paradoks XX wieku.

Słyszymy tę samą oklepaną śpiewkę przy usuwaniu usterek. Mieszkańcy zawiniłi, bowiem zapchała się kanalizacja. Wrzucali małki, biustonosze, inne części damskiej garderoby, o którą obecnie trudno. Gdzie sens i logika. Jak można głosić podobne herezje, bzdury wysane z palca. Kto w to uwierzy? Po prostu wstyd się przyznać fachowcom do spartaczony roboty, do wadliwego odbioru. Przewody kanalizacyjne zostały zapchane przez cement, gruz i inne elementy budowlane.

Nawlezionej ziemi pod „Justrą” przed wejściem do klatek schodowych stwarza nie lada problemy, chociaż mieszkańcy sami zobowiązali się zagospodarować te skrawki ziemi. Minęła wiosna, lato, jesień, nadejście zima i śnieg przykryje niemoc administracji. Zniweczony został zapal i energia do pracy społecznej.

Narzekamy na brak aktywności społecznej w pracy najniższej komórki samorządowej, jaką są komitety domowe mieszkańców. A co w zamian dajemy, jak pomagamy, aby pobudzić do działania. Poza samym oficjalnym wyborem — w zasadzie nic. Absolutnie nikt nie liczy się z wypowiedziami samorządowych działaczy. Co gorsza, próbuje się przedstawiać ich jako najgorszych rozrabiałków. A są to często ludzie mający odwagę cywilną wygłaszać w oczy całą prawdę, chociażby, tylko

pracy gospodarza — takich trzeba szukać ze „świeczką” na każdym osiedlu.

Stwarza to wszystko dodatkowe, nikomu niepotrzebne zatargi pomiędzy samymi mieszkańcami, komitetami domowymi a administracją. Niekiedy padają pytania, zaco właściwie ci „gospodarze” pobierają pieniądze, wypłacane z naszej wspólnej kasy jako członków spółdzielni. Placimy za wszystko. Pałace się światła przez okna, kłopoty na ulicach, kłopoty schodowych, piwnicach, za wady ukryte, usuwanie dużej ilości usterek, których dałoby się uniknąć przy solidnym wykonaniu i dobrym końcowym odbiorze budynków. Są to często sprawy ewidentne, nie wymagające większej wiedzy, fachowości, widoczne gołym okiem na co dzień.

Słyszałem, że niektóre komitety osiedlowe podpisują wnioski premiowe dla pracowników administracji. Natomiast inne nie mają wpływu nawet na pracę samych „gospodarzy domów” przez podpisywanie dla nich wniosków premiowych. Kto jak kto, lecz komitety domowe są w stanie ocenić pracę gospodarzy. Stykają się z nią na co dzień jako mieszkańcy bloków, ale ocena należy do administracji. Kto właściwie wpadł na taki pomysł? Trudno do cieć. Jedno jest pewne. Jeżeli tego nie zmienimy, nadal będziemy narzekać na pracę „gospodarzy”. A przecież do rozwiązania tego problemu niepotrzebne są żadne dodatkowe nakłady finansowe.

Aby móc wszystkiemu poddać, niezbędna jest ścisła współpraca pomiędzy mieszkańcami i władzami nadrzędnymi. Współpraca oparta na wzajemnym zrozumieniu, szacunku, warunkach partnerskich. To wszystko co robimy, nie robimy wyłącznie dla siebie, lecz dla całego społeczeństwa. Nikt za nas tego nie zrobi. Nie możemy również liczyć na kaszkę manne spadającą z nieba. Dlatego też nie może być mowy o stwarzaniu fikcji, pozorów w pracy, biernej obserwacji, statysty zasiadającego w radzie. Przyjmując na siebie obowiązki działacza samorządowego, wynikające z autentycznego wyboru, tym samym bierze się pewną odpowiedzialność za ich sumienne wykonywanie. Każdego członka rady to obowiązuje, ma on do spełnienia ważną rolę służebną wobec mieszkańców, a nie odwrotnie.

Kto nie czuje się na siłach, aby wypełniać te obowiązki, winien zrezygnować od razu z wyboru, bowiem taka praca jest wielce absorbująca, przy tym niezwykle uciążliwa. Nie są potrzebni w radzie „etatowi” działacze, krzykacze, elokwentni mówcy, dobrzy słowicy, doborzy na każdą okazję. Natomiast są tam potrzebni ludzie czynni, wrażliwość społecznej, obiektywni, sprawiedliwi, czujący w sobie tę pasję działania dla dobra nas wszystkich. Tych ludzi trzeba bronić przed napastliwością, szikanowaniem, intrygami misternie knutymi przez tych, co im się może kiedyś narzuli — mówiący prawdę w oczy. Nie wszyscy są skłonni wyciągnąć dla siebie odpowiednie krytyczne wnioski z tego powodu. Nie można tworzyć kółek wzajemnej adoracji i mówić, że jest wszystko dobrze, a jest akurat odwrotnie. Nikt za nikogo nie będzie wykonywał pracy wynikającej z pełnienia funkcji czy to społecznej, czy administracyjnej. Każdy musi myśleć i odpowiadać sam za siebie.

Poruszyłem tylko nieliczne sprawy, problemy nurtujące działaczy samorządowych. Nie sposób wymienić wszystkich. Okazuje się, że o wiele łatwiej zburzyć stare rudery, postawić nowe bloki mieszkalne, całe osiedle, niż mentalność ludzką.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

inicjatywa narodziła się półtora roku temu. W przedwieństwie do niechlibnych swych, tak szeroko i chętnie stosowanych w przeszłości, a polegających na tym, że im rzecz trafiła do realizacji, otrzymywała przydomki: świetnej, genialnej i słusznej — w tym przypadku pomysłodawcy się nie spieszyli, wychodząc z założenia, że lepiej długo się przygotowywać, by później tym skuteczniej i szybciej działać. Tym bardziej, że wszystko w tym pomysł jest nowe, a sam pomysł dotyczy sprawy niebagatelnej: pracy partyjnej w miejscu zamieszkania.

Rok temu usiłowałem otrzymać informację z tzw. źródła. Sekretarz odpowiedzialny za propagandę KD PZPR Łódź-Sródmieście, Stanisław Zaręba, odesłał mnie z przysłowio- wym kwitkiem, tłumacząc, że jeszcze nie czas, by pomysłem będącym w trakcie dyskusji, przyniarać i opracować chwalić się publicznie.

restawów ulic i poszczególnych budynków, sporządził wykazy wraz z adresami TOP-ów, ROM, OKSM, PRON, OKON, określając wielkości zajmowanych przez nich pomieszczeń, wykazy wszystkich zakładów pracy, placówek oświatowych, uczelni, placówek kultury, służby zdrowia, urzędów i instytucji (wraz z adresami) oraz takie same wykazy ważniejszych organizacji społecznych (ZHP, ZSMP, TPD, TPR, TWP, LKP, ZBoWiD, LOK, ORM, TKKWST, PZW, IRE, PKPS, itp.).

W każdym rejonie będzie działał zespół do spraw pracy polityczno-społecznej, w którego skład wejdą przedstawiciele wszystkich wymienionych powyżej organizacji politycznych i społecznych oraz przedstawiciele dzielnicowej Rady Dyrektorów, Skład zespołu winien odzwierciedlać pełny przekrój społeczny danego rejonu i jego specyfikę. Zespół powołuje komisje problemowe: stałe bądź doraźne dla potrzeb swojej bieżącej działalności.

Kiedy uczestniczyłem w spot-

ych do ochrony środowiska, itp.).

Jakby odpowiadając na powyższe sekretarza KZ PZPR i „Textilpolu” swoje wystąpienie na spotkaniu ze Stanisławem Zarębą poświęcił inicjatywom swojej macierzystej organizacji partyjnej. Mówił, że oni w swoim środowisku, tj. środowisku, na terenie którego znajduje się „Textilpol”, już zaplanowali zorganizowanie Domu Dziennego Pobytu dla Dzieci Chorych. Będzie to jednocześnie zakład nauczający dla dzieci chorych, połączony z rehabilitacją zawodową. Ponadto, na ich terenie jest sporo ludzi starszych, wymagających opieki, natomiast brakuje opiekunów. Toteż do akcji niesienia pomocy już włączono młodzież. Bowiem nie zawsze wielka polityka trafia do ludzi, natomiast trafiają małe działania znajdujące się w zasięgu ich obserwacji. Poprzez sprawy codzienne jest łatwiej trafić do mieszkańców, niż poprzez hasła, choćby nawet najbardziej słuszne i aktualne.

Pracujemy w nietypowej dzielnicy

Dziś rzecz otrzymała swój konkretny kształt. Odbijają się narady z działaczami terenowymi, z sekretarzem KZ największych zakładów pracy, z organizacjami społecznymi i młodzieżowymi. Jednym słowem, jest przygotowywana akcja, która — zdaniem pomysłodawców — nie tylko zaktywizuje i zintegruje środowisko, ale stanie się przede wszystkim wielkim i solidnym wsparciem dla członków partii działających w miejscach swojego zamieszkania.

W ramach istniejącego podziału administracyjnego w dzielnicy śródmiejskiej zostaną utworzone 11 rejonów pracy polityczno-społecznej. Fundamentem, na którym powstaną poszczególne rejon, są: Terenowe Organizacje Partyjne, stanowiące siłę polityczną, Komitety Obwodowe Samorządów Mieszkańców, które są łącznikiem społeczeństwa z urzędami administracyjnymi dzielnicy śródmiejskiej i miasta Łodzi, Rejony Obsługi Mieszkańców oraz Obywatelskie Komitety Odrodzenia Narodowego. W każdym z tych 11 rejonów jest wytypowany tzw. zakład wiodący, który będzie stanowić bazę dla działalności Rejonowego Zespołu do spraw Pracy Polityczno-Społecznej.

Jak z tego wynika, śródmiejska instancja partyjna wzięła na siebie nie lada obowiązek. Skrupulatnie przygotowano podział na wspomniane 11 rejonów, dokonując drobnych czynności administracyjno-statystycznych. Bo nie tylko trzeba znać ilość mieszkańców danego rejonu i ilość działających tam ogniw partyjnych, ale należało dokonać

kanu sekretarza Stanisława Zaręby z sekretarzami poszczególnych KZ-ów dzielnicy śródmiejskiej, odniosłem wrażenie, że cały ciężar działania przyszłych rejonów będzie koncentrował się na integracji społecznej, na pozyskiwaniu aktywów dla działalności społeczno-politycznej, na pozyskiwaniu młodzieży, na jeszcze ściślejszym łączeniu poszczególnych jednostek gospodarki uspołecznionej ze środowiskiem danego rejonu. Przecież taka koncepcja pracy środowiskowej jest poszerzona formą samorządności terytorialnej i demokratyzacji życia społeczno-politycznego. Jest ona na swoim terenie inspiratorem i koordynatorem edukacji obywatelskiej, a tym samym politycznej, a współdziałanie wszystkich organizacji działających w miejscu zamieszkania stanowi warunek zapewnienia tej edukacji i jest realizacją idei porozumienia narodowego. Ta idea legła u podstaw tak szczegółowo opracowanego programu, z jakim obecnie wychodzi śródmiejska instancja partyjna.

Bowiem poprzez koncepcję pracy społeczno-politycznej w miejscu zamieszkania może szybko nastąpić zespolenie trzech pokoleń: młodzieży, załóg pracowniczych i weteranów (wspomnę, że w programie zaleca się organizowanie obozów kulturalno-oświatowych, wycieczek, akcji związanych z obchodami świąt i rocznic państwowych, podejmowanie inicjatyw i czynów społecznych, działań zmierzają-

To prawda. Rola TOP-ów i organizacji społecznych w swoich miejscach działania nie zawsze była doceniana. A przecież mogą one zajmować się nie tylko doraźną pracą, lecz kształtować obywatelskie, patriotyczne i socjalistyczne postawy moralne, jednoczyć wszystkich, bez względu na światopogląd, zwalczać zjawiska patologii społecznej. Mogą uczyć, jak koloryzować interes ogólnospołeczny z grupowym i jednostkowym. A nam dziś, jak nigdy dotąd, jest potrzebna odnowa moralna, potrzebna stabilizacja i zgoda.

W naszym artykule zaledwie sygnalizujemy sposoby rozwiązania pracy ideowej w miejscu zamieszkania, jakie przygotowała śródmiejska instancja partyjna. Codzienna praktyka pokazuje, czy nie zadaje potrzeba wprowadzenia pewnych korekt, poszerzenia oddziaływania poszczególnych komisji działających w Terenowych Organizacjach Partyjnych, szerzego włączenia do pracy komitetów blokowych, itp.

Na zakończenie przytoczę wypowiedź Stanisława Zaręby, inicjatora i rzecznika koncepcji pracy partyjnej w miejscu zamieszkania:

— Po 1980 roku porwały się więzy między ludźmi. Bolesne podziały przeszły nawet przez rodziny. Uważaliśmy więc, że istnieje pilna potrzeba tworzenia takich form pracy, które będą sprzyjały integracji społecznej, pokonywaniu wzajemnych nieufności. W koncepcji tej wykorzystanych jest wiele uprzednio prowadzonych w praktyce społecznej elementów tej koncepcji, jak na przykład współdziałanie zakładów pracy ze szkołami, Komitetami Obwodowymi Samorządu Mieszkańców i Terenowymi Organizacjami Partyjnymi.

Pracujemy w nietypowej dzielnicy, nie mającej odpowiednika w kraju. Na 105 tys. mieszkańców mamy 20 tys. emerytów i 6 tys. rencistów. Dlatego chcemy tak bardzo pomóc ludziom starszym, tym, którzy o tę Polskę walczyli i którzy ją budowali. Chcemy, aby ich życie upływało bez tych wszystkich wstrząsów, które przeżyliśmy u progu lat 80-tych. Chcemy także uświadamiać społeczeństwu, że ponosi odpowiedzialność za wychowanie młodego pokolenia, za kształtowanie jego postaw obywatelskich.

Sadziemy, że nasze propozycje mogą zainteresować mieszkańców innych dzielnic, bądź innych miast. Chętnie podzielimy się naszymi doświadczeniami ze wszystkimi, którzy dostrzegają potrzebę podjęcia pracy o podobnym charakterze.

EUGENIUSZ IWANICKI

Fot. M. Zajder



Dokończenie ze str. 1

Łowmiańskiego powstanie państwa i zmiana ustroju społecznego były koniecznymi warunkami chrztu i zmiany religii.

I wreszcie, po czwarte — przyjęcie chrześcijaństwa dawano przepustkę do ówczesnego życia międzynarodowego. Istniały ważne materialne przyczyny chrystianizacji Polski.

Dla dworu książęcego i klasy panującej zmiana religii nie stanowiła być może wielkiego problemu, ponieważ odpowiadała ich interesom. Natomiast dla ludu kwestia porzucenia wiary ojców i przyjęcia zupełnie nowej, obcej religii musiała wydać się czymś niemożliwym i szokującym. Nic więc dziwnego, że wybuchy powstania ludowe przeciwko rodzącemu się ustrojowi feudalnemu i wspierającemu go Kościołowi katolickiemu. W 1037 roku miała miejsce niezwykle gwałtowna rewolucja społeczno-pogańska, w czasie której niszczone kościoły i zabijano duchownych oraz grabiono posiadłości bogatych. Masowy bunt przeciw władzy i ustrojowi feudalno-kościelnemu doprowadził kraj do anarchii i chaosu, z czego skorzystał czeski Brzetysław, najężdżając w 1038 r. ziemie Polski. Czesi zniszczyli Gniezno, Poznań, Giecz i Ostrów Lednicki, zrabowali skarby, wywieźli relikwie św. Wojciecha, wzięli do swego państwa Śląsk i Małopolskę, uprowadzili część ludności do niewoli. Wielkopolska została tak spłądowana i wyludniona, że stolicą trzeba było przenieść do Krakowa.

Dzieło odbudowy państwa i Kościoła podjął Kazimierz Odnowiciel, który stłumił bunt i zaprowadził w Polsce porządek przy pomocy 500 rycerzy chrześcijańskich z Niemiec. Po śmierci Kazimierza I kontynuował proces odnowy i umacniania nowej religii Bolesław Smiały. Odbudował katedrę gnieźnieńską i ufundował opactwa benedyktyńskie w Mogilnie, Tyncu, Lubiniu, Wrocławiu i Płocku. Kościół katolicki stał się wkrótce tak potężny, że doprowadził nawet do wygnania króla. Kapłani obcej wiary bezwzględnie tepili uswiecone tradycje obyczaje przodków i usprawiedliwiali wciąż rosnące nierówności społeczne. Aż w końcu, po długoletnich wysiłkach, religia chrześcijańska przyjęła się i została uznana za własną. Natomiast relikwie dawnych, słowiańskich wierzeń znalazły schronienie w kulturze ludowej.

II.

Czy dobrze się stało dla Polski, że chrześcijaństwo zwyciężyło w świadomości społecznej? Na to pytanie zwykle odpowiada się twierdząco, ale niektórzy sędził inaczej. Oto w 1818 roku ukazała się książka Adama Czarnockiego (ps. Zorian Dołęga Chodakowski) pt. „O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem”, w której autor — archeolog, etnograf, historyk — oskarżył chrześcijaństwo o doprowadzenie narodu polskiego do upadku i utraty własnej tożsamości słowiańskiej. Pisał on:

„Czas przyszły wyjaśni tę prawdę, że od wczesnego polania nas wodzą zaczęły się zmywać wszystkie cechy nas znamionujące, osłabiał się w wielu naszych stronach duch niepodległy i kształcać się na wzór obcy, staliśmy się na koniec sobie samym cudzymi”.

Zdaniem Adama Czarnockiego dominacja wójtowej kultury chrześcijańsko-zachodnioeuropejskiej nad rodzimą kulturą słowiańsko-piasłowską przyniosła Polsce zniewolenie chłopów i w konsekwencji klęskę dziejową. Brutalnie wyzyskiwani przez panów świeckich i duchownych, chłopci potrafili jednak zachować elementy swej pierwotnej obyczajowości i do nich należy sięgać.

Adam Czarnocki znalazł później wielu naśladowców. Zapoczątkował swą książką ruch apoteozy chłopstwa i Słowiańszczyzny na ziemiach polskich. Ale czy miał rację przypisując chrześcijaństwu ujemny wpływ na rozwój społeczno-kulturalny Polski? W istocie prawda jest tu bardziej złożona. W różnych okresach historii państwa i narodu polskiego Kościół odgrywał zarówno rolę pozytywną, jak i negatywną. Początkowo narzucał wprawdzie chrześcijańska przemoc, lecz była to konieczna cena wprowadzenia kraju na drogę postępu. Dzięki przyjęciu chrześcijaństwa Polska uniknęła podboju i jako niepodległe państwo mogła korzystać z osiągnięć krajów wyżej rozwiniętych.

Należy jednak pamiętać, że kiedy przyjmowaliśmy chrzest, Kościół katolicki zdołał już daleko odejść od wzorów Chrystusowych. Hierarchia duchowna była zewszędzona i często krańcowo zdemoralizowana, a ustrój feudalno-chrześcijański był pełen sprzeczności i zakłamania. Hegel twierdził, że Kościół średniowieczny w trzech najistotniejszych sprawach okazał się zaprzeczeniem wszelkiej etyczności. Spowodował mianowicie degradację małżeństwa, pracy i wolności. Wyżej od małżeństwa cenil przeciwny naturze i etyce celibat, wyżej od pracy traktował ubóstwo, lenistwo i próżniactwo, a wyżej od wolności-cenił ślepe i bezwzględne posłuszeństwo. W dodatku „zastąpił sumienie” i sprawił, że prawda została „obrócona w narzędzie kłamstwa i egoizmu”.

III.

Przeciwko licznym błędom i wypaczeniom Kościoła katolickiego protestowali ludzie autentycznie religijni, narażając się na prześladowania i śmierć. W latach 1209—1229, na wezwanie papieża Innocentego III, rycerze chrześcijańscy wymordowali tysiące albigensów-katarów w południowej Francji i przy okazji spustoszyli bogaty kraj i zniszczyli piękną kulturę prowansalską. Jednakże ruch reformatorski wciąż na nowo odzywał, aż wreszcie — w sprzyjających warunkach społeczno-gospodarczych XVI stulecia zwyciężył w kilku krajach Europy zachodniej i północnej.

W przeciwieństwie do katolicyzmu, który dewaloryzował życie doczesne i przez to nie sprzyjał wzrostowi ekonomicznemu, protestantyzm usankcjonował zapobiegliwość materialną i na czoło hierarchii wartości wysunął pracę

oraz solidność zawodową. Ideologowie i kaznodzieje potestancy nieustannie przypominali słowa Pisma Świętego:

„Kto nie chce pracować, niech też nie je”.

Głoszono, że Bóg dopomaga tylko tym, którzy sami sobie radzą, że praca jest najlepszą drogą do zdobycia uznania i miłości, że przyszłość człowieka zależy od jego charakteru, a nie warunków zewnętrznych. Zamiast zalecanej dotąd bierności i pokory, religia protestancka wymagała inicjatywy i odwagi w działalności gospodarczej. Na miejsce cnót rycerskich postawiono pracowitość, solidność, oszczędność, przedsiębiorczość i uczciwość w interesach. Nic więc dziwnego, że kraje protestanckie zaczęły się niezwykle dynamicznie rozwijać i dziś jeszcze imponują pracowitością i porządkiem.

Jeśli obecnie porównamy państwa protestanckie z katolickimi, to łatwo zauważymy, że pierwsze są w niezłym stanie, drugie zaś trapią kryzysy gospodarcze i polityczne, korupcja i niestabilność. Na radykalną różnicę między krajami protestanckimi a katolickimi zwrócił uwagę kilka lat temu znany polityk francuski — z wykształcenia antropolog — Alain Peyrefitte'a — odnoszących się również do Polski — należy dodać jeszcze, że protestantyzm różni się od katolicyzmu sposobem ujmowania stosunku człowieka do Boga. Wyznawca protestantyzmu staje wobec Boga — Losu, który działa, jak surowy, lecz sprawiedliwy ojciec. W takiej sytuacji człowiek musi liczyć na siebie samego. Natomiast katolicy zwracają się głównie do Matki Boskiej lub poprzez nią do Boga i liczą na to, że Maryja, jak każda dobra matka, przebaczy im grzechy oraz bezwarunkowo da im lub wyjedna to, o co proszą. Katolicy przywykli wierzyć w cuda, że jakos to będzie, że modlitwa „złatwiała” pomyślny los. Świadomie czy nieświadomie oczekują, że ktoś — Bóg, Matka Boska, rząd — za nich zrobi wszystko niezbędne. Jest to postawa typu: „Niech się dzieje wola Nieba. Z nią się zawsze zgadzają trzeba” — albo: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj — uczyni z nami cud...”. Protestanci zaś wiedzą, że sami muszą uczynić z sobą cud, że najwięcej zależy od ich własnej woli i wysiłku. Protestanci — w zgodzie z Pismem Świętym —

nie uznają pośrednictwa dobrej Matki Boskiej czy Kościoła w dziele zbawienia, dlatego nie jest im tak dobrze i wygodnie, jak katolikom.

Katolicyzm a rozwój Polski



fitte. W głośnej książce „Le mal français” wyróżnił 10 typowych krajów protestanckich (Wielka Brytania, Holandia, Szwecja, Dania, Szwajcaria, Norwegia, Stany Zjednoczone, Kanada angielska, Australia, Nowa Zelandia) i 10 katolickich (Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia, Irlandia, Austria, Polska, Chile, Argentyna, Urugwaj). Wymienione kraje można — zdaniem Peyrefitte'a — „nazwać socjologicznie katolickimi lub protestanckimi, nawet jeśli w niektórych z tych społeczeństw niewierzący stanowią większość”. Chodził mu o to, że katolicy lub protestanci nadal owym krajom określone oblicze kulturalne.

Alain Peyrefitte wskazuje, że o ile kraje protestanckie są praktyczne, wynalazcze, pluralistyczne, zdecentralizowane, demokratyczne, zdyscyplinowane wewnętrznie i szanujące władzę, to państwa katolickie stanowią pod tymi względami ich antytezę. W krajach katolickich duże wpływy ma duchowieństwo. Wyżej od praktyki cenil się tutaj spekulacje myślowe. „Działalność gospodarcza nie cieszy się zbyt dużym poważaniem, odwrócić niż stan duchowny, zajęcia administracyjne czy intelektualne”. Dlatego banki należą często do cudzoziemców, w tym Żydów. Odkrycia z trudem stają się wynalazkami, a te z oporami wdrażane są do praktyki. Społeczeństwo podejrzanie odnosi się do osób bogacących się, chyba że majątek został odziedziczony. Państwa katolickie charakteryzuje duża centralizacja — nawet w oświacie, która nastawiona jest bardziej na kształcenie ogólne niż praktyczne. Niski jest tu stan świadomości i dyscypliny społecznej: „Kombinowane, euanietne, system „jakoś — to — będzie” znajduje poparcie i podziw”. W przypadku krytyki władza polityczna uszytywnia się lub gwałtownie ulega rozkładowi. „Wszelka krytyka istniejącego stanu rzeczy nosi charakter ekstremalny. Związki zawodowe, które mają największe apetyty rewolucyjne, prowadzą najbardziej radykalną krytykę”.

W okresie kontrreformacji, kiedy w krajach protestanckich odbywał się szybki postęp cywilizacyjny, to w społeczeństwach katolickich — pisał Peyrefitte — „z braku możliwości tworzenia życia materialnego tworzy się jego iluzja. Życie codzienne staje się operą, teatrem, powieścią, poezją”. I w takim klimacie żyły i kształtowały się w pewnym stopniu także warstwy niższe. Wszystko to spowodowało historyczne zapóźnienia krajów katolickich wobec protestanckich. Dopiero Sobór Watykański II (1962—65) stworzył możliwość zmian w życiu religijnym i przez to nadrobienia opóźnień. Francja skorzystała z tej szansy i odrzuciła pancerz romański, a „dwie trzecie wojennych przestało chodzić do kościołów”. Udało się przyspieszyć rozwój, lecz trudno w krótkim czasie usunąć zło nagromadzone w ciągu czterech stuleci. „Jakkolwiek więc odpada zagrożenie religijne — czytamy — to jednak sposób myślenia, jaki ona ukształtowała, pozostał nadal w umyśle. Społeczeństwo religijne uformowało ewolucję na swoje podobieństwo i ta cywilizacja jest powielana”. Francja musi zatem rewolucjonizować świadomość społeczną.

Do reprezentowanych wyżej poglądów Alaina

Peirefite'a — odnoszących się również do Polski — należy dodać jeszcze, że protestantyzm różni się od katolicyzmu sposobem ujmowania stosunku człowieka do Boga. Wyznawca protestantyzmu staje wobec Boga — Losu, który działa, jak surowy, lecz sprawiedliwy ojciec. W takiej sytuacji człowiek musi liczyć na siebie samego. Natomiast katolicy zwracają się głównie do Matki Boskiej lub poprzez nią do Boga i liczą na to, że Maryja, jak każda dobra matka, przebaczy im grzechy oraz bezwarunkowo da im lub wyjedna to, o co proszą. Katolicy przywykli wierzyć w cuda, że jakos to będzie, że modlitwa „złatwiała” pomyślny los. Świadomie czy nieświadomie oczekują, że ktoś — Bóg, Matka Boska, rząd — za nich zrobi wszystko niezbędne. Jest to postawa typu: „Niech się dzieje wola Nieba. Z nią się zawsze zgadzają trzeba” — albo: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj — uczyni z nami cud...”. Protestanci zaś wiedzą, że sami muszą uczynić z sobą cud, że najwięcej zależy od ich własnej woli i wysiłku. Protestanci — w zgodzie z Pismem Świętym —

„Niech się dzieje wola Nieba. Z nią się zawsze zgadzają trzeba” — albo: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj — uczyni z nami cud...”. Protestanci zaś wiedzą, że sami muszą uczynić z sobą cud, że najwięcej zależy od ich własnej woli i wysiłku. Protestanci — w zgodzie z Pismem Świętym —

„Niech się dzieje wola Nieba. Z nią się zawsze zgadzają trzeba” — albo: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj — uczyni z nami cud...”. Protestanci zaś wiedzą, że sami muszą uczynić z sobą cud, że najwięcej zależy od ich własnej woli i wysiłku. Protestanci — w zgodzie z Pismem Świętym —

O gubnym wpływie religii katolickiej i jezuitów na naród Polski pisali też często cudzoziemcy odwiedzający nasz kraj. Dzielili się zwykle, że tak dużo jest w Polsce księży i zakonników, tak wielka i ostentacyjna panuje pobożność, a przy tym naród jest zdeprawowany i leniwy. Jezuita francuski Hubert Vautrin, który przybył do Polski w 1777 roku, zauważył:

„Religia jest dla nich kultem czysto zewnętrznym, który obarcza ich nieskończoną wielką ilością przesądów. Moralność zaś jest dla nich czymś najbardziej nieznanym”.

Pisząc to, nie mógł przypuszczać, że opinia ta będzie wciąż aktualna po upływie dwóch stuleci. Mamy dziś przecież zdecydowanie najbardziej religijne społeczeństwo w Europie, a jednocześnie chyba najwięcej też zdeprawowane.

Heinz Kühn — b. premier Północnej Nadrenii — Westfalii i b. wiceprzewodniczący SPD — powiada:

„Nie ma bardziej interesującego Kościoła niż polski Kościół katolicki, który czasami czyni na mnie wrażenie średniowiecznego, a polską pobożność porównać można jedynie z pobożnością Indios z Ameryki Łacińskiej; w każdym razie polski katolicyzm nie da się porównać z żadnym zachodnioeuropejskim”.

Przyjmując te oceny, warto postawić pytanie: czy mamy się cieszyć, że tak jest, czy też smucić? Jeśli obcy dostrzegają u nas elementy średniowiecza, to nie jest chyba dobrze? Ale przecież jeśli Polska ma być Polską, to ta religijność, nawet gdyby była zła, winna pozostać w danym kształcie.

IV.

Gdyby w Polsce nie zwyciężyła kontrreformacja, lecz przyszył się kalwinizm czy luteranizm, prawdopodobnie byłibymy dziś na zupełnie innym poziomie rozwoju społeczno-gospodarczego. Ale reformacja u nas nie miała szans, ponieważ zbyt liczna była próbnicza szlachta i zbyt silnie ugruntowała się refeudalizacja (folwarki i „wójtne poddaństwo”). Protestanctyzm był ruchem mieszczańsko-kapitałistycznym i nie mógł się przyszyć w szlachecko-feudalnej Polsce, posiadającej słabe rodzime mieszczaństwo. Nie sposób sobie wyobrazić, aby szlachta — próżniak i hulaka — zaakceptował hasło: „Kto nie chce pracować, niech też nie je”.

W XVII wieku wykształciło się przekonanie, że Polak (= szlachta) to katolik, zaś Polska (= szlachta) to przedmuru chrześcijaństwa. Monstrualna — największa w Europie — liczebność szlachty uznano za dowód, że Polacy są narodem wybranym przez Boga i mają do odegrania specjalną misję w świecie. Wierzono, że Bóg czuwa nad Polską i nie da jej zginąć. Przekonania te podtrzymywał Kościół, a w szczególności jezuiti — awangarda kontrreformacji. Jezuiti gorliwie propagowali zasady „stolej wolności” szlacheckiej i sankcjonowali stan anarchii w państwie. Poprzez schlebienie szlachcie i całą swoją działalność zakon ten odegrał wyjątkowo negatywną i reakcyjną rolę w historii Polski. Niektórzy byli nawet zdania, co jest raczej przesadą, że to właśnie jezuiti doprowadzili nasze państwo do upadku i oni ponoszą główną winę za wady polskiego charakteru narodowego.

Józef Szujski, wybitny historyk XIX wieku, pisał w 1862 roku, że wychowanie jezuitckie „utrzymało status quo, który koniecznie upadek za sobą pociągnąć musiał. Ze szkół jezuitckich wychodzili ludzie bez szerszych pojęć obywatelskich, ludzie bez wyrobionego obywatelskiego sumienia, którzy dopełniając codziennie aktów pobożności, zachowując się w granicach moralności osobistej, nie umieli wnieść się na to wysokie stanowisko, do którego Rzeczpospolita ludzi stanu szlacheckiego powoływała, a wiodąc życie bez jutra, zbyt szybko ujrzeni Ojczyznę nad brzegiem przepaści. Co więcej jezuitci wyrobili w społeczeństwie religijność pozorną, dewocję faryzeuszów, lekkomyślne zaufanie w przebaczenie win publicznych i prywatnych za pomocą hipokryzji nabożeństwa”.

Józef Szujski podkreślał, że jezuiti byli jedną z przyczyn moralnego i politycznego upadku kraju i wytykał im, że dla sprawy „błahiej nadziei nawrócenia Rosji” gotowi byli poświęcić dobro Polski. W czwartym tomie swego interesującego dzieła — „Dzieje Polski podług ostatnich badań” (Lwów 1862) — autor tak ocenia wpływy jezuitów i innych duchownych katolickich w Polsce:

„Pod takimi wpływami wyrosła się w Pol-

V.

O gubnym wpływie religii katolickiej i jezuitów na naród Polski pisali też często cudzoziemcy odwiedzający nasz kraj. Dzielili się zwykle, że tak dużo jest w Polsce księży i zakonników, tak wielka i ostentacyjna panuje pobożność, a przy tym naród jest zdeprawowany i leniwy. Jezuita francuski Hubert Vautrin, który przybył do Polski w 1777 roku, zauważył:

„Religia jest dla nich kultem czysto zewnętrznym, który obarcza ich nieskończoną wielką ilością przesądów. Moralność zaś jest dla nich czymś najbardziej nieznanym”.

Pisząc to, nie mógł przypuszczać, że opinia ta będzie wciąż aktualna po upływie dwóch stuleci. Mamy dziś przecież zdecydowanie najbardziej religijne społeczeństwo w Europie, a jednocześnie chyba najwięcej też zdeprawowane.

Heinz Kühn — b. premier Północnej Nadrenii — Westfalii i b. wiceprzewodniczący SPD — powiada:

„Nie ma bardziej interesującego Kościoła niż polski Kościół katolicki, który czasami czyni na mnie wrażenie średniowiecznego, a polską pobożność porównać można jedynie z pobożnością Indios z Ameryki Łacińskiej; w każdym razie polski katolicyzm nie da się porównać z żadnym zachodnioeuropejskim”.

Przyjmując te oceny, warto postawić pytanie: czy mamy się cieszyć, że tak jest, czy też smucić? Jeśli obcy dostrzegają u nas elementy średniowiecza, to nie jest chyba dobrze? Ale przecież jeśli Polska ma być Polską, to ta religijność, nawet gdyby była zła, winna pozostać w danym kształcie.

VI.

Moim zdaniem musimy się na coś zdecydować: albo chcemy Polski tradycyjnej — z barokową religijnością przypominającą czasy kontrreformacji i jezuityzmu — albo pragniemy Polski nowoczesnej, w której życie religijne i cała mentalność są na miarę wysoko rozwiniętej cywilizacji. Uważam bowiem, że występujący u nas i wciąż rozszerzany typ religijności i świadomości katolickiej stanowi ważną przeszkodę na drodze dalszego rozwoju społecznego Polski. Innymi słowy: śmiem twierdzić, że nie pokonamy naszych trudności gospodarczych i społeczno-moralnych bez radykalnych zmian w Kościele i religii katolickiej. Sądzę, że w Polsce pilnie potrzebna jest reforma życia religijnego-moralnego; jeśli rzeczywiście zamierzamy podnieść na jakosiś wyższy poziom (zbliżony do krajów zachodnich) stan gospodarki i konsumpcji. Nie przekonanych i oburzonych w tym miejscu Czytelników odsyłam do powtórnej lektury, streszczonej wyżej, poglądów Alaina Peyrefitte'a.

W moim głębokim przekonaniu Kościół nasz wymaga reformacji nie tylko zresztą ze względu na interesy narodu, lecz także z powodów czysto ideowo-religijnych. Chodził po prostu o to, że przybrał formę wyrażnie sprzeczną z wzorem Zgromadzenia (eklesja) założonego około 1950 lat temu przez Jezusa Chrystusa. Czytamy przecież:

„Gdy się modlicie, nie bądźcie jak obłudnicy. Oni lubią w synagogach i na rogach ulic wystawać i modlić się, żeby się ludzimi pokazać. Zaprawdę powiadam wam: Otrzymali już swoją nagrodę. Ty zaś, gdy chcesz się modlić, wejdź do swej izdebki, i zamknawszy drzwi módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu”.

A w innym miejscu:

„Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali: abyście tak jak ja was umiłowatem, i wy wzajemnie się miłowali. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali”.

Wyznam, iż marzę mi się religijność polegająca głównie na miłości bliźniego, dobrych uczynkach i moralnym życiu, a nie ograniczona — jak to jest dziś — do ostentacyjnego udziału w nabożeństwach, adoracji obrazów i innych emblematów. Z naprawde chrześcijańska religijność mamy do czynienia tylko wtedy, gdy spotykamy ją w życiu codziennym i stosunkach międzyludzkich. Chrześcijanin, jak słusznie głosił Teilhard de Chardin, powinien włożyć się w boskie dzieło tworzenia świata. Może zaś to uczynić poprzez solidną pracę, konsekwentną walkę ze złem oraz umieszczenie pokoju światowego.

EDMUND LEWANDOWSKI

Wspomnienie o dr Natalii Han-Ilgiewicz. W rzeczywistości na to skromne imię składała się niezwykle rozległa wiedza pedagogiczna, psychologiczna, medyczna oraz prawnicza. Dr Natalia Han-Ilgiewicz to nie tylko znakomity pedagog-praktyk o niezrównanym talentem pedagogicznym, to także wnikliwa uczona, latami gromadząca materiał empiryczny do swych badań, to również doskonała popularyzatorka wiedzy pedagogicznej.

Urodziła się dnia 21 maja 1895 r. w Warszawie. Ojciec jej — dr Józef Michałowski był sędzią w Kozielecu, potem w Dorpacie, skąd został przeniesiony wraz z całą rodziną w dowód nielaski do Tomsku na Syberię. Tam został profesorem prawa na uniwersytecie. Był autorem wielu prac naukowych z zakresu swej specjalności. To właśnie ojciec rozbudził w małej Natalii „zainteresowanie nauką, nauczył uważnego ustosunkowania się do zjawisk otaczającego życia oraz wpoił szacunek do każdego człowieka”. To od niego wrażliwa dziewczynka usłyszała po raz pierwszy, że skazywani przez niego ludzie „nie są źli, lecz bardzo nieszczęśliwi”. Matka — Helena Michałowska z domu Rudzka otrzymała staranne wykształcenie i dobrze grała na fortepianie, co w przyszłości ułatwiło jej w trudnych okresach utrzymanie siebie i córki, i wnuczki. To matce i jej zamilowaniom do podróży zawdzięcza Natalia biegłą znajomość kilku języków obcych i liczne podróże. Poznała niemal wszystkie kraje Europy, była w Egipcie, a także na Krymie i na Kaukazie, w górach Altaju.

Natalia uczyła się do 14 roku życia w domu, potem w prywatnym gimnazjum Ogi Mirkowicz w Tomsku, które jak wspomina „dalo pierwsze uzory dobrych pedagogów i nauczyło samodzielnej pracy”. Po złożeniu matury podjęła studia na Uniwersytecie w Tomsku na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych, gdzie później była asystentką przy Katedrze Filozofii Prawa.

rze i bezpiecznie. Każdy z nich miał w przeszłości niejedno ciężkie, bolesne przeżycie. Stałano się więc dostarczyć im możliwie wiele momentów jasnych i pogodnych. Wykorzystywano w tym celu różne okazje, imieniny chłopców, uroczystości szkolne, wycieczki do kina, gry towarzyskie, wreszcie własną hodowlę zwierząt. Wszystko to pozwalało wprowadzić w życie internatu szczególnego znaczenia nabiera zagadnienie osobowości nauczyciela. Dr Natalia Han-Ilgiewicz mocno podkreślała potrzebę intymnego, osobistego kontaktu wychowawcy z wychowanką, stawiając przy tym temu ostatniemu bardzo wysokie wymagania. Dewiza jej w tym względzie było przekonanie, że „...żeby dać, trzeba mieć”. Jeżeli wychowawca sam jest zdolny do miłości, szacunku i zrozumienia innych, jest wewnętrznie bogaty, może oczekiwać tego samego od swego podopiecznego. „Proces wychowawczy bowiem nie jest nigdy tylko modelowaniem psychiki. Jest on wymianą dóbr pomiędzy wychowankiem a wychowawcą, z której korzystają obie strony.”

Na taki właśnie indywidualny kontakt uczuciowy z wychowankiem kładła dr Natalia Han-Ilgiewicz szczególny nacisk. Sama obdarzona była niezwykłym darem nawiązywania kontaktu z ludźmi. Zjednywała sobie każdego życzliwą uwagą dla jego spraw, przyjaznym zainteresowaniem. Niezwykle wrażliwa — za każdy przejaw sympatii czy przywiązania płaciła niekłamną miłością i serdecznością. W każdym indywidualnym przypadku starała się wczuć w przeżycia swego wychowanka i postępować tak, by nie urazić jego uczuć. Jej postawę wychowawczą tak głęboko emocjonalną cechowało ponadto partnerstwo. Pracę pedagogiczną pojmowała jako „proces współwzrastania i znajdowania prawidłowych rozwiązań”. Mocno podkreślała, że „rosnąć ma nie tylko wykołosejone dziecko, ale cała grupa, całe środowisko, a najwięcej ten, kto się podjął trudnego zadania pedagogicznego”.

Nie sposób w krótkim wspomnieniu omówić szczegółowo różnorodną działalność dr Natalii Han-Ilgiewicz w pierwszych latach po wojnie, tak różne były instytucje, z którymi współpracowała, tak różnorodne funkcje w nich pełniła. Będąc formalnie nauczycielką w szkole powszechnej oddelegowana została do Departamentu Opieki nad Dzieckiem, z ramienia którego w latach 1946—1947 wizytowała domy dziecka dla dzieci odbiegających od normy. W latach 1945—1949 zorganizowała, a następnie kierowała Pracownią Pedokryminologii filii Łódzkiej Państwowego Instytutu Higieny Psychicznej. Zakres pracy tej placówki obejmował obok poradnictwa dla rodziców i szkół także ekspertyzy sądowe, propagandę walki z przestępczością nieletnich, kształcenie rodziców, kuratorów sądowych, nauczycieli i wychowawców. W roku 1947 zorganizowała i początkowo kierowała placówką obserwacyjno-wychowawczą dla dzieci nerwicznych „Reymontówka” pod Łodzią. Był to wówczas jedyny w Polsce, a trzeci w Europie zakład tego typu. Wreszcie w latach 1951—1953 kierowała sekcją opieki nad dzieckiem w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Kadr Oświatowych, skąd w listopadzie 1953 r. odeszła na emeryturę.

Czas pozostawania na emeryturze nie był czasem wypoczynku, lecz wzmożonej i niezwykle urozmaiconej działalności. W omawianym okresie nieprzerwanie prowadziła pracę dydaktyczną na wyższych uczelniach i w szkołach pomaturalnych. Już w 1945 roku wznowiła przerwane wojną wykłady w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej. Równocześnie do 1949 r. prowadziła wykłady z pedokryminologii i pedagogiki specjalnej w Wyższej Szkole Higieny Psychicznej w Warszawie. Przez 4 lata pełniła funkcje adiunkta Katedry Psychologii Ogólnej i Eksperymentalnej Uniwersytetu Łódzkiego. Następnie wykładała kryminologię nieletnich na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Warszawskiego oraz psychologię wychowawczą na Wydziale Zaocznym UL, a także w kilku studiach nauczycielskich, liceach medycznych i innych szkołach pomaturalnych. Przez szereg lat prowadziła wykłady i kierowała Katedrą Psychologii Wychowawczej na Wydziale Filozoficznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Swą wiedzę i doświadczeniem dzieliła się nie tylko na zajęciach ze studentami. Ogromną rolę przypisywała popularyzacji wiedzy pedagogicznej wśród szerokiego rzesz społeczeństwa. To też mieszkańcom Łodzi znana jest z licznych odczytów i prelekcji wygłaszanych w Łódzkim Domu Kultury i Bibliotece Miejskiej im. L. Waryńskiego, z wykładów w ramach Uniwersytetu Powszechnego dla Rodziców, a także z anteny radiowej, gdzie występowała w stałym cyklu: „Mówi pedagog”.

Służyła radą i pomocą biorąc udział w pracach m.in. konsultacyjnej Rady Naukowej Zakładu Poprawczego w Ignaciewie przy Sądzie Wojewódzkim w Łodzi. Działała w licznych organizacjach i towarzystwach.

Dr Natalia Han-Ilgiewicz często podkreślała, że dobry nauczyciel to ten, który do swej pracy podchodzi w sposób twórczy, wciąż szuka coraz to lepszych rozwiązań, udoskonala metody pracy. Twórcza postawa wychowawcy była w przypadku Pani Doktor nierozdzielnie związana z nastawieniem badawczym. W toku długoletniej praktyki z właściwą sobie skrupulatnością i systematycznością gromadziła materiał badawczy. Początkowo wszelkie informacje i wyniki obserwacji uczniów zbierane w teczkach indywidualnych miały pomóc w poznaniu psychiki wychowanków, ich potrzeb, by opracowywany system wychowawczy był skuteczniejszy. Już w Wilnie coraz bardziej absorbowano ją zagadnienie osobowości ucznia. Nasuwała się konieczność dokonania pewnej klasyfikacji typów dzieci moralnie zagrożonych. W ten sposób zrodziła się koncepcja typów plastyczności psychicznej, która ostateczny kształt uzyskała w wiele lat później w książce pt. „Nieznani chłopcy”.

Jak już wspominałam, w prowadzonych przez dr Natalię Han-Ilgiewicz zakładach dla chłopców niedostosowanych społecznie praca wychowawcza była mocno oparta o współpracę z rodziną wychowanka. Obserwacje i doświadczenia wyniesione z tej pracy skłoniły do podjęcia systematycznych badań nad zagadnieniem więzi rodzinnej i roli, jaką odgrywa ona w resocjalizacji jednostek społecznie niedostosowanych. Płon tych wieloletnich badań prowadzonych od 1946 r. stanowi książka pt. „Więź rodzinna w aspekcie pedagogiki specjalnej”. Autorka wskazuje w niej na zależność między siłą więzi rodzinnej a wykołosejeniem i efektami resocjalizacji. Silniej wpływa ona na proces rewitalizacji niż inne czynniki, jak poziom inteligencji i wykształcenia, sytuacja ekonomiczna, a nawet sytuacja szkolna.

W tym aspekcie wielkiego znaczenia nabiera zadanie rewitalizacji rodzin oraz ich pedagogizacji. Do problemów tych wielokrotnie wracała w licznych rozprawach i artykułach. Praca z rodzinami „problemowymi” w szkole czy w poradni umożliwiła zebranie obszernego materiału dotyczącego różnorodnych sytuacji konfliktowych w rodzinie i ich znaczenia dla rozwoju dziecka. Efektom gruntownych przemyśleń na ten temat była książka „Dziecko w konflikcie z rodziną”.

Natalia Han-Ilgiewicz była znakomitą popularyzatorką wiedzy pedagogicznej. Jej odczyty, dyskusje, gawędy, liczne wypowiedzi w prasie, a nade wszystko książki, stanowiły źródło wiedzy dla szerokiego rzesz nauczycieli, wychowawców, rodziców i opiekunów młodego pokolenia. Po zakończeniu pracy zawodowej, po przejściu na emeryturę pisanie zajęło poczesne miejsce w rozkładzie zajęć nadal bardzo pracowitego dnia Pani Natalii. Teraz obok wymienionych już pozycji powstały „Trudności wychowawcze i ich typy psychiczne”, „Potrzeby psychiczne dziecka”, „Gawędy o wychowaniu”, i autobiografia „Mozaikowe szkice”. Natalia Han-Ilgiewicz miała niezwykły dar narracji. Potrafiła trudne zagadnienia wychowawcze uczynić interesującymi nawet dla ludzi nie związanych profesjonalnie z problematyką pedagogiczną. Swoje rozważania z ogromną swobodą ilustrowała wyrazistymi przykładami z własnej praktyki nauczycielskiej. Pisanie traktowała zawsze jako formę pracy wychowawczej.

Najwięcej jednak ceniła zawsze osobisty kontakt z drugim człowiekiem. Ulatwiała go bezwarunkowa akceptacja nowo poznanego człowieka. Pani Natalia uznawała prawo do inności, własnej, niepowtarzalnej indywidualności. Głęboko wierzyła, że psychika każdego człowieka kryje bogate możliwości i wartości pozytywne. Zadaniem pedagoga jest pomóc mu je odnaleźć i uświadomić sobie. Na takim pozytywnym gruncie można dopiero budować nowe wartości. Przekonanie to formułowała krótko: „nasze wady to nie innego jak zalety, które nam się nie udało”.

W ostatnich latach, gdy stan zdrowia ograniczył, a potem uniemożliwił wykłady, ulubioną dziedziną działalności stało się poradnictwo charakterologiczne. Małe, przytulne mieszkanie pełne książek, obrazów, bibelotów, z których każde posiadało ciekawą historię, a wszystkie razem tworzyły urzekający klimat, zamieniło się w poradnię. Przychodziły młode małżeństwa, ludzie startujący w samodzielnym życiu, którym „coś nie wyszło”. Na wszystkich w szeroko otwartych drzwiach czekała uśmiechnięta Pani Profesor. Przychodzili po pomoc, po radę, a często tylko po to, by ktoś uważnie ich wysłuchał. Pani Profesor umiała słuchać, nie udzielała rad, ale w sobie tylko wiadomy sposób sprawiała, że po niedługim czasie ci sami ludzie dzwoniли do jej drzwi, tym razem, by podzielić się dobrą nowiną, razem przeżywać radość sukcesu, by wreszcie wspólnie pomilczeć, zobaczyć przyjazny, pełen zrozumienia uśmiech w szarych oczach Pani Profesor i już przez to samo poczuć się lepszym.

Za ten uśmiech właśnie, za niezwykłą pogodę ducha, optymizm, a nade wszystko za serce otwarte szeroko dla wszystkich potrzebujących oparcia, pomocy i miłości otrzymała w 1971 r. „Order Uśmiechu”. Posiadała już wówczas nadany przez Radę Państwa w 1958 r. tytuł honorowy i odznakę Zasłużonego Nauczyciela PRL.

Dr Natalia Han-Ilgiewicz zmarła w Łodzi dnia 13 sierpnia 1978 roku.

Pamiętamy z wdzięcznością czuła, że była!
ELŻBIETA UMIŃSKA-TYTON

Oparcie, pomoc i miłość...

(wspomnienie o dr Natalii Han-Ilgiewicz)

Zanim ostatecznie wybrała karierę prawniczką słuchała wykładów z nauk medycznych. „Fragmentaryczne wiadomości z dziedziny medycyny każyły później podchodzić do wad dziecięcych bez uprzedzenia, jako do choroby raczej niż do wady.” Wydział Prawa natomiast dał impuls do zajęcia się zagadnieniem przestępczości nieletnich. Tu jak wynika ze słów prof. Filetowa „z wielką gruntowną uwagą i zamilowaniem opracowywane były przez młodzież adepty prawa tematy związane z problemami prawodawstwa dla nieletnich oraz sytuację prawną dziecka w państwie.” W czasie studiów na Uniwersytecie w Tomsku brała również udział w studium teatrologii, które skupiało zarówno kandydatów do zawodu aktorskiego, jak i tych, którzy pragnęli pogłębić swą wiedzę z zakresu sztuki teatralnej. W tym też czasie wyszła za mąż za Rosjanina Włodzimierza Hana. Wkrótce w r. 1914 został zmobilizowany i wysłany na front, skąd już nie powrócił.

Pracę zawodową rozpoczęła wczesnie jako nauczycielka języków obcych w szkołach średnich w Tomsku.

W 1920 r. znalazła się wraz z 4-letnią córeczką Terenią przypadkowo w Irkucku. Również przypadkiem trafiła do pracy w Komisji do Walki z Przestępczością Nieletnich. Zorganizowała wówczas i prowadziła kolonię eksperymentalną dla nieletnich przestępców nad Bajkałem. Swe doświadczenia pedagogiczne wyniesione z „bajkalskiej przygody” opisała później w książce pt. „W poszukiwaniu dróg resocjalizacji”. Po śmierci ojca wychodziła z matką i córką do Leningradu z zamiarem powrotu do kraju. Pracowała tu jako nauczycielka w Państwowej Szkole dla Niewidomych. W lutym 1922 r. brała udział w kongresie defektologii w Leningradzie, na którym poznała Antoniego Makarenkę. Tuż przed powrotem do kraju została powołana do grona współpracowników naukowych Uniwersytetu w Permii. Jednak przeważała chęć powrotu do Polski.

Swą służbę nauczycielską w kraju rozpoczęła w zakładzie poprawczym w Wieluclanach koło Wilna, skąd po roku przeniosła się do Warszawy. Tu pracowała początkowo jako nauczycielka dzieci niewidomych w Towarzystwie Opieki nad Niewidomymi, a od 1.09. 1923 r. w Szkole Powszechnej Specjalnej Nr 137. Po roku objęła kierownictwo tej szkoły będącej jednocześnie szkołą ćwiczeń dla studentów Instytutu Pedagogiki Specjalnej. W lipcu 1925 r. przeniosła się do Wilna, gdzie kierowała analogiczną placówką aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Lata spędzone w warszawskiej, a potem wileńskiej szkole dla chłopców trudnych to okres niezwykle wyjątkowej pracy, ukierunkowanej na poszukiwanie własnego systemu wychowawczego, formowanie własnej, niepowtarzalnej indywidualności pedagogicznej. We wspomnieniach z tego okresu czytamy: „Ludzie po dniu trzeba było kupować uwagę, kolosalnym napięciem nerwów oparować coraz to nowe mniej lub więcej drastyczne sytuacje, wyszukiwać w nieznanym sobie bliżej tłumie sprzymierzeńców, częściowo z solidarniejszych, częściowo zaś właśnie spośród najtrudniejszych chłopców. Często obracałam niewłaściwe wybrki, samowolne opuszczenie klasy lub inne przejawy niekarności w żart. Od pierwszego dnia zaczęłam natomiast zwracać środowiska rodzinne chłopców, wiedząc, że zetknięcie się z uczeniem poza atmosferą szkolną ułatwia bardzo zbliżenie. Przynosiłam do klasy książki, pocztówki z widokami wileńskich przeczłone miłe krajoznawcy... Wszystko to pośpieszenie, gorączkowo, żeby tylko ani na chwilę nie wypuścić spod swego steru uwagi dziecięcej gromady. Nie było to przemyślane ani celowe, raczej mogło to nazwać instynktowną samoobroną.”

Z biegiem czasu przybywało doświadczenia i miejsce intuicyjnych posunięć pedagogicznych zajęty systematycznie wysiłki skierowane przede wszystkim na opracowanie systemu wychowawczego placówki. Ważną rolę w tym okresie w życiu Natalii Hanowej spełniał Instytut Pedagogiki Specjalnej. Instytut utwierdził ją w poczuciu słuszności dotąd raczej intuicyjnych poglądów na wychowanie. Był placówką, do której można było zawsze w każdej wątpliwości i rozterce natury pedagogicznej szyć ogólnie zwrócić się po radę i wskazówkę.

Wychowanie traktowała Natalia Hanowa jako oddziaływanie całego środowiska na psychikę dziecka, w tym głównie na jego sferę uczuciową. Często we wspomnieniach podkreślała rolę woźnego, który życzliwie pomagał chłopcom w drobnych naprawach, kucharki, która po męczącym czasie wsunęła do ręki kromkę pachnącego chleba; stróża nocnego, który dyskretnie obudził malca moczącego systematycznie łóżko i wielu innych. Wszyscy oni tworzyli atmosferę zakładu, która w znacznym stopniu stanowiła o efektach pracy pedagogicznej.

Dr Natalia Han-Ilgiewicz z wielką uwagą i troską odnosiła się do najdrobniejszych potrzeb dziecka. Wychodziła z założenia, że aby działalność wychowawcza przyniosła pożądany efekt, należy poznać w pierwszym rzędzie psychiczne potrzeby wychowanka. Za najistotniejszą z potrzeb psychicznych dziecka uważała potrzebę miłości. Równie mocno dziecko potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. W naturalnych warunkach potrzeby te powinna zaspokoić rodzina. Stąd tak wielki nacisk na rewitalizację rodzin i pracę pedagogiczną w środowisku dziecka. Tymczasem jednak zadaniem zakładu było zaspokoić podstawowe potrzeby dziecka, których spełnienie warunkuje jego harmonijny rozwój. Toteż w prowadzonych przez siebie szkołach duży nacisk kładła Natalia Hanowa na stronę emocjonalną w wychowaniu. Zmierzano do wytworzenia w szkole i w internacie takiej atmosfery, by rozpoznać ehipota, by czuć się w nich dob-



Sama uczyła się i doskonaliła swój warsztat pracy bezustannie. Uczyła się na własnych doświadczeniach, szukając coraz to nowych, lepszych rozwiązań, ciekawszych metod nauczania, skuteczniejszych posunięć pedagogicznych. Z zainteresowaniem śledziła krajowe i zagraniczne piśmiennictwo fachowe. Podjęła także studia w Instytucie Pedagogiki Specjalnej i w 1926 r. uzyskała dyplom nauczyciela moralnie upośledzonych. Oczarowana klimatem tej uczelni i zafascynowana niezwykłą osobowością Marii Grzegorzewskiej — twórcy Instytutu, na długie lata związała się z tą uczelnią już jako wykładowca. Tu poznała Janusza Korczaka, którego talent pedagogiczny szczerze poznała. Wkrótce potem rozpoczęła pracę nad rozprawą doktorską pod kierunkiem prof. Bronisława Wróblewskiego w Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie.

W latach 1926—1933 odbyła Natalia Han-Ilgiewicz liczne podróże po Polsce i krajach Europy zwiedzając zakłady dla dzieci i młodzieży moralnie zaniedbanych, sądy dla nieletnich oraz instytucje powołane do walki z przestępczością nieletnich. Przywzięcie wrażenia i przemyslenia wpłynęły w pewnym stopniu na kształt formowanego i wciąż doskonalonego systemu wychowawczego warszawskiej szkoły dla chłopców społecznie niedostosowanych. Cechą charakterystyczną tego systemu było mocne oparcie go o współpracę z rodziną wychowanka. Jednym z naczelnych jego zadań stało się pogodzenie dziecka z jego rodziną. Oddziaływanie pedagogiczne na rodziców okazywało się niejednokrotnie trudniejsze i wymagało większej ostrożności niż wysiłki wychowawcze skierowane do młodego pokolenia.

W 1937 r. wyszła za mąż za oficera Wojska Polskiego — Piotra Ilgiewicza. W przeddzień wybuchu wojny uzyskała stopień doktora prawa karnego i nauk społecznych za rozprawę: „Konflikt dziecka z prawem karnym”. Praca ta w rozszerzonej wersji pt. „Dziecko w konflikcie z prawem karnym” początkowo w formie powielonej, później książkowej stała się popularnym podręcznikiem uniwersyteckim, na którym kształciły się kadry wychowawców zakładów poprawczych i wychowawczych, a także sędziów dla nieletnich. Była to pierwsza w naszym piśmiennictwie kryminologii nieletnich.

Lata drugiej wojny światowej spędziła w Wilnie, gdzie pracowała w szkołach podstawowych dla polskich dzieci, a następnie brała udział w tajnym nauczaniu.

Koniec wojny powitała w Łodzi i tu już pozostała przez resztę swego życia. Rozpoczął się okres pełen entuzjazmu i gorączkowej pracy. Różnił się jednak zasadniczo od poprzedniego. Po latach praktycznej działalności nauczycielskiej, nadszedł czas, gdy coraz częściej służyła pomocą i swą wiedzą jako naukowiec, wykładowca na wyższych uczelniach, wreszcie pisarka. W trudnych latach powojennych ogromne doświadczenie dr Natalii Han-Ilgiewicz i jej rozległa wiedza były dla tworzącego się na nowo szkolnictwa wprost bezcenne.

Bę jeszcze pośród nas ludzie, którzy
dzielą ręk i umysłu chwalecznego
rozumieją najdosłowniej jako arcydzieło.

Ludzie pochłonięci pasją, płonący
ogniem iskry bożej... nie zgubmy ich
my, sędziemi i swykiem.

Pasjonaci — czarodzieje

Dwie zielone latarenki witają mnie w korytarzu starej czynszówki. Przewadzą mrocznym labiryntem, między przedziwnymi cieniami zagraconego wnętrza, aż do mocno zdezynwanego fotela. Wreszcie sadowią się na eparciu, blisko wspaniałego misieńskiego pieca. Wielki czarny kot wciąż obserwuje mnie uważnie, jakby pytając — po co zakłócam spokój tego niesamowitego domu.

Duży narożny pokój przedwojennej kamienicy jest innym światem, inną zgoła planetą, gdzie czas i przestrzeń różnych kultur i stuleci trwają obok siebie w doskonałej zgodzie. Jakby za ścianami, odgródzone ciężkimi portierami, nie istniało wielkie miasto, ruchliwe skrzyżowanie, ze swym hałasem współczesnej bylejakości i pospiechu.

Tu — wbrew niszczącemu czasowi — kadzidłana stupa ołtarzyka domowego, indochińskiego, porcelanowe cacko sprzed pięciuset lat, ceramiczne posążki wschodnich bóstw, najdosłowniejsze egzemplarze obok Mleczkowego rysunku... „Obywateli! Nie pieprz bez sensu!”

Ciemne wnętrza rozświetlają lekko dwa harmrowe lampiony. Ich witrażowy refleks odbija się na tarczy stojącego w rogu wiktoriańskiego zegara z pozytywką. Ściany obite perskimi kołnierkami i oponami namiotów tureckich, pełne broń, obrazów, japońskich piaskorzeźb. W bibliotecznym szafach jeden z najcenniejszych w Polsce księgozbiorów z zakresu bronioznawstwa. Obok tłocz się po sąsiedztwo cudowne angielskie fajane „Oxford” i „Wedgwood” i unikalne egzemplarze porcelany sevrskiej, „misni”, japońskiej. Między dżbanuszkami z tzw. czarnej porcelany misieńskiej a arcydziełkami serwisem „seto”, japońskiej porcelany Kobaltowej i złoczonej stoi sobie rozparta wsiowy dżban gliniany z leżającego jarmarku. Dziwnie jakos pasują do siebie dwie tarcze tureckie, tzw. miecz proroka (broń indoperska), szabla typu kilicz rodem z Syrii i przedstawiciel zupełnie innego świata i epoki — słynny colt, kaliber 45 mm, tzw. peacemaker (graniczny uspokajacz), znany każdemu miłośnikowi westernów.

Powoli odzyskuję mowę i zdolność myślenia, choć nadal nie mogę ochłonąć z wrażenia... rany boskie, że też jeszcze są takie domy w tym kraju, po którym przeszły wszystkie wojny... — Skąd to wszystko?, czy to naprawdę oryginały?

— Ależ oczywiście. Przecież to należało do mojej rodziny od przynajmniej trzech stuleci. Polskie domy, zwłaszcza na południowych krańcach wschodnich nasykają kulturą orientálną. Pełne były broni, zdobyczy w walkach z pohańcami, wiele przedmiotów pochodzi z włośców po świecie różnych niespokojnych duchów w rodzinie. Zresztą to, co udało mi się tu zgromadzić to odratowane resztki, niedobitki ocalałe z kataklizmów wojen, powstań, tysięcznych przeprowadzek... od początku ostatniej wojny, ten dom jest piętnastym dachem...

...Pan domu przysuwa do foteli filigranowy stolczyk harmrowy, inkrustowany kocią skórą, szyszkami, hebanem i macią perłową... pochodzi z końca XVIII wieku, dostała go jego babka w prezencie...

Kawa w kruchutkach chińskich cudenkach, czerwone wino w kryształowych bakarach, świece w barokowym srebrnym świeczniku... zupełnie nie pojmuję dlaczego pan domu nie nosi kontusza ze słuckim pasem. Jego zwykłe dżinsy i okulary wydają się nie na miejscu... W mojej rodzinie krąży legenda, że początek świadomości kolekcjonowaniu broni, porcelany i obrazów dat antenat dzielnie stający u boku króla Jana III pod Wiedniem. Legenda mówi, że Bóg chroni, pijałkow, albowiem tenże prodelek, srodze zamroczony był okowitą, stąd poszedł mu apetyt wielki na harce z Turczyem. Zasię Bóg, nie tylko ustrzegł go od ran, lecz i wszelakim dobrem z tureckiego obozu obdarzył. Stąd i początek owych wschodnich zbiorów rodzinnych. Potem — pono już na trzeźwo — prodelek ów stawał dzielnie pod Parkanami, emazując zarzut, jakoby suta beczulka była źródłem jego odwagi bitewnej.

Wiele niestety bezcennych przedmiotów zaginęło w zawieruchach, a sporo padło łupem kradzieży. Zginął na przykład unikalny dziś rewolwer kapiszonowy Adamsa, colt kapiszonowy — kopia szwajcarska, trochę rodzinnej biżuterii... ale to już czasy, gdy antyki nabraty swej ceny handlowej i złodziejskiej.

ZACZEŁO SIĘ...

przypadkiem. Choć może niezupełnie. Tak chyba musiało się stać, w końcu rostem wśród kolekcjonerów, mój ojciec posiadał wspaniałą zbior broni... ale przypadek zdarzył, że sam się tym zająłem.

To było w pierwszych miesiącach po wojnie, na ziemiach zachodnich. Szaber kwitł na całym, różne bandy darty co mogły z poniemieckiego mienia, z porożbijanych, porabowanych przez Niemców zbiorów z całej Europy. W cenie były dywany, meble, maszyny. Kto wtedy patrzył na jakieś stare szable.

Miałem wtedy pięć lat. Idąc z ojcem, włazłem za potrzebą w krzaki i nadziatem się stopą na coś ostrego. Rozharatałem nogę, ale owo coś wyszarpałem z ziemi i przywlokłem do domu. Pewnie marzyłem o szabl Kmicicza... odczyściłem to jak umiałem, z pomocą ojca jako tako zakonserwowałem i to był mój pierwszy własny egzemplarz. Dopiero po latach, już tkwiąc w zbieractwie po uszy, pokazałem rzecz nieodżałowanej pamięci prof. Marianowiczowi, memu mistrzowi... to był niedoścignuty wzór znawcy i pasjonata broni... On dopiero powiedział, że jest to bardzo stary i cenny kinałat kaukaski z połowy XV wieku. Jego unikalność podawają wyprawione na ostrzu napisy. Prof. Marianowicz odczytał je jako stare kaukaskie zaklęcia mające chronić w walce. No i tak się zaczęło. Czas był niespokojny, wiele bezcennych rzeczy niszczyło bezpańską, więc kupowałem, ciutałem. W sposób naturalny, wchodząc coraz głębiej w tematykę broni, zacząłem gromadzić fachową literaturę, studiować zbiory muzealne, pytać znawców.

Powoli poznawałem stare techniki wyrobienia broni, uczyłem się sztuki konserwacji zach-

wanych oryginałów, wreszcie sam zacząłem bawić się w platnerza.

Ta zabawa trwa do dziś, ale długo nie było to jedynie moje zajęcie. Może raczej watek, uparcie snujący się między mnóstwem innych rzeczy, które mnie pochłaniały.

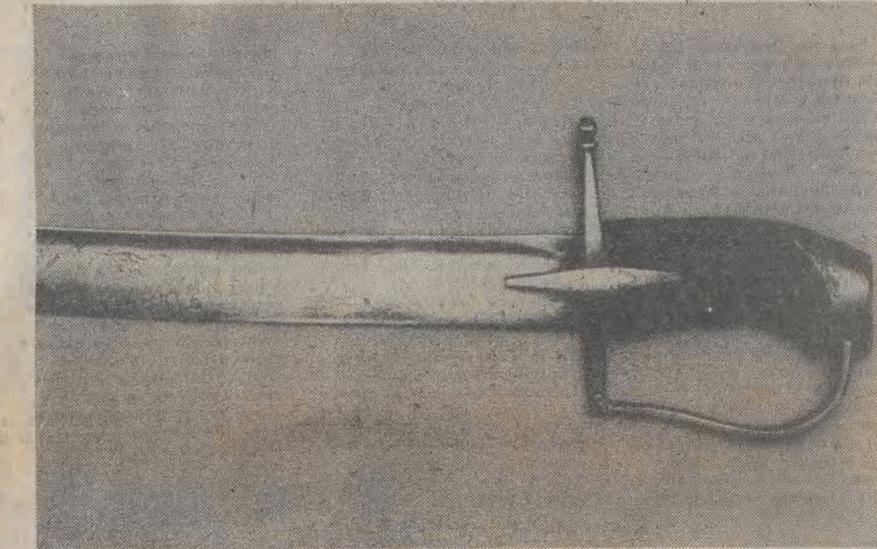
Mam w życiorysie studia w krakowskiej Szkole Teatralnej, byłem aktorem teatru „38” u Waldemara Krügera, w „Płunicy pod Bar-

JOLANTA WROŃSKA

Platnerz

„nami” pisywałem teksty piosenek, wiersze, występowałem. Potem był okres studiów na Wydziale historycznym UJ i w Akademii Sztuk Pięknych. Z końcem lat sześćdziesiątych prowadziłem klub „Biały Stoł”, założony przez Komendę Miejską MO i Zarząd Wojewódzki ZMS w Katowicach. Klub dla młodzieży bezpiecznej, zadbanej, potrzebującej serca. Całkiem prywatnie jestem jeszcze zeglarzem z patentem sternika, no i hodowcą kota... ale właściwie to Drakula hoduje mnie, to jest unikalny egzemplarz: „czarny panter kieszonkowy”...

„Czarny panter” domaga się karmienia, więc gospodarz, szykując przekąskę, podawała mi się snuć po tym zdumiewającym mieszkaniu. Już nie budzi zdziwienia renesansowy fotel-rozbiak, przyrzucony kłopotami, z królującym na



Węgierka. Fragment ostrza z ramięm stali (korozja)

ich szczytce husarskim szyszakiem... Zrobiłem go niedawno, dojrzewam do wykonania całej zbroi husarskiej. A to — to jest tzw. „hundgugel”, hełm z epoki bitwy pod Grunwaldem. Nazwany tak z racji wydłużonej części twarzowej. Jeszcze go nie skończyłem...

Nad biblioteką wisi oryginalny autoportret Malczewskiego, obok — dwie polskie szable bojowe. Jedna z 1831, druga z 1863 roku i powstać krzyż żalobny...

ROZUMIEĆ DUSZĘ

Broń, proszę pani, ma swoją duszę. Nie wystarczy umieć określić jej wiek, pochodzenie, zastosowanie. Trzeba ją czuć i rozumieć. Bo tak się składa, że historię człowieczych cywilizacji można sprowadzić do historii broni. Zadania dziedzina ludzkiej działalności nie zawiera w sobie tyle wiedzy o ludziach. Okrutne to, ale najwspanialsze wloty myśli i rekordziela, geniusz i pot, poświęcił człowiek na wymyślenie narzędzi do zabijania. Coraz precyzyjniejszych i skuteczniejszych. To wojenne rzemiosło pchało ludzką wiedzę z zakresu materiałoznawstwa, obróbki metali, wytrzymałości i szeregu innych zagadnień, które służyły także, oczywiście, celom pokojowym, ale źródłem ich była potrzeba zabijania. Czasem myślę, że broń jest symbolem gatunku homo sapiens... raczej homo lewbo sapiens...

Może dlatego platnerz musi być człowiekiem otwartym? Bo platnerz — to rzemieślnik i artysta. Materiałoznawca i ślusarz. Kowal, historyk i szermierz. I psycholog. Broń dużo potrafi powiedzieć o tych, którzy ją stworzyli i tych, którzy jej używali. Ale też trzeba przekraczać granice czasu, zrozumieć jak i dlaczego powstawały techniki wytwarzania broni, jej konserwacji... Wie pani dlaczego tak wiele sław traciło swoją reputację mijając kopię z oryginałem?

Wielu z tych ekspertów wiedziało wszystko o epoce, technice kucia stali, o wszystkim. Zapominali tylko o jednym. Broń — poza zdobieniami i upiększeniami, służyć miała jednemu celowi — walce. A więc wszystko, kształt i typ metalu, rodzaj gardy i wyważenie, wszystko to miało być ściśle podporządkowane funkcji naczelną. A chodziło o życie, o skuteczność w walce. Wbił mi to do głowy mój ojciec, znakomity fachmistrz i żołnierz. Jeśli przeprowadzisz już wszystkie badania, ekspertyzę chemiczną metalu, technikę wykonania i konserwacji i wciąż nie masz pewności, czy to falsyfikat, czy oryginał, zrób jeszcze jedną próbę. Próbie walki tą bronią. Musisz więc znać technikę posługiwania się tą właśnie bronią. Jeśli leży w ręku, jeśli jest dobrze wyważona,

jeśli możesz nią machać przez parę godzin — to znaczy, że jest prawdziwa.

Każda kopia, wykonana bez znajomości techniki użycia — jest do rozpoznania. Potwornie ciężkim średniowiecznym mieczem nikt nie wywijał przez kwadrans, tylko w wielogodzinnych bitwach na serio. O życie. Dlatego najwspanialszymi znawcami broni, malarstwa, każdej innej dziedziny, bywają często nie utytułowani eksperci, lecz wariaci, pasjonaci, maniakko siedzący w temacie. Bo oni wkładają w to całą duszę. Starają się poznać epokę, zrozumieć tamtych ludzi, ich mentalność, czynniki kulturowe, decydujące o takim, a nie innym sposobie walki. Inne przecież wymogi musiał spełniać miecz z epoki brązu, gdy nie znano jeszcze żelaza, inne — perska szabla w warunkach pustyni. Pewnie dlatego wszyscy genialni fałszerze, jakich zna historia, na których falsyfikatach padły sławne nazwiska, to byli pierwszorzędni znawcy tematu. Może trochę tak, jak z zeglarzami. Najwspanialszy człowiek morza, wiedzący wszystko o morzu i statkach, nigdy nie nosił w kłapie oznak sławnych klubów żeglarskich...

Kiedy zacząłem robić kopie broni japońskiej, musiałem najpierw wiedzieć dlaczego ich broń ukształtowała się tak, a nie inaczej. Jaki wpływ na techniki walki miała kultura, klimat, wiedza o metalach i ich obróbce. Wreszcie — czy i w jakim stopniu wzrost ludzi Dalekiego Wschodu wpłynął na typ fechtunku.

IDEAŁ RĘKODZIEŁA

platnerskiego to genialna kopia. Wykonana według techniki oryginalnej, ze znajomością metody obróbki, trawienia metalu, no i zasad użycia. Ale nie jest sztuką zrobić rzecz, tak jakby właśnie wyszła wprost z pracowni plat-

NIE ISTNIEĆ BEZ CELU

Cokolwiek robisz — rób z pożytkiem dla ludzi. Tak mnie uczono, tak chcę żyć. Nie potrafię zamknąć się w ciszy pracowni i dłużyć, mając w nosie wszystko wokół. Nie chcę żyć tylko dla siebie. Może to rodzaj manii, ale chciałbym zostawić po sobie jakiś ślad, może kropelkę pamięci...

O, tu ma pani dokumenty: Podziękowanie Ministerstwa Kultury i Sztuki za dar, jaki wykonałem dla kanclerza Austrii Bruno Kreiskygo. Zrobiłem wtedy husarski szyszak z bogatymi srebrzeniami, sadzony prawdziwymi kamieniami. Potem wykonywałem zamówienia na dekorację wnętrz polskich ambasad. Zrobiłem salę w Wierzyńka z kopiami broni i zbroi polskich. Dla pałacu w Radziejowicach, gdzie dziś mieści się Dom Pracy Twórczej Ministerstwa Kultury, robiłem kopie, to samo — w darze — dla Centrum Zdrowia Dziecka. O, a tu jest zaświadczenie Spółdzielni Pracy Twórczej „PLASTYKA”, że udzieliłem bonifikaty (czyli praktycznie zrobiłem za darmo) na sumę 565.400 zł przy realizacji konserwacyjnych robót nagrobka Baumeisterów na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie... Wie pani, kiedy zlatywałem tę bonifikatę w Ministerstwie, usłyszałem jak damy administracyjne chichotały między sobą, że takiego idiotę eo bez przymusu daje państwu w prezencie pół miliona, to trzeba zamknąć, bo jest niebezpieczny...

Nie to zabolało, że o mnie, bardziej, że te głupie gęsi nigdy w życiu nie zrobiły nic dla innych, łapy i mózgi mają k'sobie, jak ma wia lud. To najbardziej boli, że tyle ludzkiej pasji, miłości, piękna popietuje między durkami.

Kiedy robiłem wielką ekspozycję broni dla stałej wystawy w Muzeum Grunwaldu, pracowało tam wraz ze mną mrozie bezimiennych rzemieślników, hobbystów, którzy chcieli zyskać, bez fanfar, zostawić coś po sobie. Traf chciał, że zaraz potem zrobił się zamęt, w kraju zmiana ekipy, dawni zleceniodawcy odeszli, nowi pilnowali czego innego. I tak ogrom pracy obył się bez głupiego — dziękuję. — Nikt nie czekał na ordery, ale trochę przykro, że tak bez słowa zdyto ludzi... Zresztą, mam i odznaczenia „Zasłużonego Działacza Kultury” i „Za opiekę nad zabytkami”.

Nie mówię tego wszystkiego, by się chwalić. Wiem po prostu, że trochę mojej pracy jest, istnieje między ludźmi, że został ślad... I nie po to mówię, żeby odgrywać się na durnych urzędnikach. O jedno mi chodzi. Jeśli naród nie szanuje swoich pasjonatów, jeśli trwoni i ośmiesza ludzkie serca, będzie karlat.

Mówią, że świat rozsądnymi stoi, ale szalonymi idzie naprzód. Dużo w tym prawdy, bo gdzie jest tyle pasji, tyle woli poznania, tyle nadziei na osiągnięcie mistrzostwa, jeśli nie w zapaleńcach, którzy na przekór wszystkim przeszkodom i drwinom pną się do tego swojego ideału. To przecież oni uczą szacunku dla roboty. Mało — wykonanej dobrze, wykonanej doskonale.

Nie szanujemy takich ludzi. Zabija ich śmiech i lekceważenie. A to oni — ludwisarze, konserwatorzy starych mebli, platnerze i tylni innich chronią przed zagładą unikalne zawody i cały ogrom materialnej kultury narodu. Powoli topimy się w chamstwie, znieczulicy, pogardzie dla tych, co niekoniecznie pieniądze umieją robić, ale za to pozwalają trwać w człowieczeństwie...

Dla mnie przekleństwem takiego myślenia jest najbliższa mi dziedzina platnerstwa. Czy tak zwany ogół ma w ogóle zielone pojęcie kim jest platnerz i co on takiego robi? A sprawa reklamy polskiej kultury za granicą? Dzisiaj, proszę pani, roi się na świecie od ludzi pragnących otaczać się pięknymi przedmiotami. Znakomite kopie broni palnej i białej osiągają na Zachodzie kolosalne ceny. Kolekcjonerzy płacą za wierność oryginałom. A my? Polska nie miała nigdy zbyt wielkich tradycji platnerskich, większość broni sprowadzano ze Wschodu i Zachodu lub zdobywano w walce na Wschodzie i Zachodzie. I właśnie dlatego polska broń stanowi dziś unikalny rarytas dla znawców. Bo jest konglomeratem technik platnerskich i szermierczych z całego świata. Czerpano wzory zewsząd, uczono się od wszystkich, to, co najlepsze — wykorzystywano i udoskonalano. Dlatego dziś wiele egzemplarzy polskiej broni nie ma sobie równych na świecie. Także w cenach!!! My zaś — zamiast eksportować wyroby polskiej platnerzy za ciężkie i potrzebne dewizy, a przy tym reklamować i upowszechniać dorobek polskiej kultury — my mamy to wszystko w nosie. Robić pieniądze i to duże pieniądze na sprzedaży dzieł plastyków to i honor, i zysk... cicho jest w tej sprawie i jakby wstyd głośno mówić o szablach, kiedy kryzys i mięsa brakuje.

Upowszechniać sztukę polską — znaczy uczyć ludzi szacunku dla samych siebie, dla swego narodu. I uczyć piękna. Dlatego chciałbym jeszcze zrealizować swe wielkie marzenie. Wyszkrobałem trochę grosza, uciutałem i kupiłem niewielki duorek pod Krakowem, śliczną staroc z początku XIX wieku.

Pewno jeszcze włożę w remont sporo pieniędzy, ale chcę tam urządzić prywatne muzeum broni. Udośćnić swe rodzinne zbiory oraz własne kopie — dla wszystkich. Chciałbym, żeby dzieciaki uczyły się historii Polski trzymając w ręku bulat turecki zdobyty na pohańcach pod Wiedniem, albo szablę z czasów powstań narodowych.

A jak już mi się to uda, będę mógł powiedzieć, że dałem coś ludziom...

Do drzwi odprowadził mnie Drakula, przepasały pasem słuckim i przy karabeli. Dumnie kroczył na dwóch łapach, trzymając w dłoni — pardon — w łapie, srebrny kandelabr...

Panu TOMASZOWI JAXA MOKULSKIEMU z Bytomią składam serdeczne podziękowanie za udostępnienie mi swych zbiorów i dokumentów oraz za czas poświęcony rozmowie.

Widok śmierci

Chmury nad wyspą wciąż się gromadziły. Stały prąd rozgrzanego powietrza unosił się przez cały dzień nad górą i wzbijał na dziesięć tysięcy stóp; klebiące się masy gazu stoczyły się w jednym miejscu, każdej chwili gotowe wybuchnąć. Pod wieczór słońce znikło i miejsce światła dnia zajął miedziany poblask. Nawet to powietrze, które płynęło z morza, było gorące i nie przynosiło orzeźwienia. Woda, drzewa i różowe skały utraciły barwy pod nawisem białych i brunatnych chmur. Prosperowały jedynie muchy, czerniące swoje go władę i wyprute flaki, które wyglądały niby stos polyskliwego węgla. Nawet kiedy Simonowi pękła w nosie żyłka i zaczęła plynąć świeża krew, zostawiły go w spokoju, przedkładając nad nią wyborny smak świń.

Wraz z upływem krwi atak Simona przeszedł w odrętwienie. Leżał na macie z pnączy, a tymczasem nadszedł wieczór i w chmurach ciągle przetaczało się dudnienie. Wreszcie chłopiec — ocknął się i zobaczył niewyraźnie tuż przy swojej twarzy ciemną ziemię. Leżał dalej nieruchomo z policzkiem przy ziemi, tepo wpatrzony przed siebie. Potem obrócił się, podciągnął stopy i chwycił się pnączy, żeby się podnieść. Gdy targnął pnączami, muchy zerwały się z gwałtownym bzykowaniem z flaków i zaraz przylgnęły do nich znowu. Simon stanął na nogach. Światło było jakieś zaziemskie. Władca Much wyglądał niby czarna kula na patyku.

Simon powiedział głośno w stronę polanki:

— Co innego można zrobić?

Nie było odpowiedzi. Odwrócił się i wypokł przez pnącza w mrok lasu. Szedł między drzewami i z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu i krwią zakrzepłą wokół ust. Czasem tylko, gdy rozsuwał pnącza i obierał dalszą drogę według kształtowania terenu, usta układały mu się w bezgłośnie słowa.

Niebawem pnącza przerzedziły się i tu, i ówdzie między drzewa padały z nieba rzadkie plamy perłowego światła. Był to grzebiel wyspy, lekkie wzniesienie u podnóża góry, gdzie kończyła się niezgłębiona dżungla. Otwarta przestrzeń przepłatały krzaki i ogromne drzewa, a w miarę jak las stawał się rzadszy, teren wznosił się coraz stromiej. Simon wciąż szedł, chwytając się czasem za zmęczenia, lecz nigdy nie ustając. Nie miał w oczach zwykłej wesołości i szedł z jakimś ponurym zdecydowaniem, jak starzec.

Zatoczył się pod nagłym uderzeniem wiatru i wówczas spostrzegł, że stoi na nagiej skale pod miedziannym niebem. Stwierdził, że ledwie powłóczy nogami i boli go język. Gdy wiatr dosięgnął wierzchołka góry, Simon zauważył jakiś ruch, trzepotanie czegoś błękitnego na tle białych chmur. Piął się z trudem naprzód, a wiatr znów uderzył, tym razem mocniejszy i targnął koronami drzew, aż się ugięły i zaszumiały. Jakaś zgięta w palak postać na wierzchołku rozprostowała się nagle i spojrzała na Simona z góry. Chłopiec schylił głowę i możliwie piął się dalej.

Muchy również znalazły tę postać. Spłoszone ruchem zrywały się na krótką chwilę tworząc ciemną chmurę wokół jej głowy. Potem, gdy błękitna czasza spadochronu opadła i tęga postać skłaniała się z westchnieniem ku przodowi, znów ją obsiadły.

Simon poczuł, że uderza kolanami w skałę. Podczołgał się bliżej i wkrótce zrozumiał. Planina linek wyjawiała mu mechanikę tej całej paradii; przyjrzał się białym kościom polczkowym, zębom, kolorom rozkładu. Zobaczył jak guma i płótno niemilosłownie krepują te nieszczęsne ciała, które już powinny ulec rozpadowi. Potem znowu powiał wiatr i postać uniosła się, skłoniła i zionęła na Simona smrodem. Simon stanął na czworakach i zwymiotował wszystko, co miał w żołądku. Potem zabrał się do linek spadochronu; wyplątał je ze skał i uwolnił postać od zniewagi wiatru.

Wreszcie odwrócił się i spojrzał ku plaży. Ognisko koło granitowej płyty zgasło, a w każdym razie nie dymiło. Nicco dalej, za rzeczką, przy wielkim odłamie skały, unosiła się ku niebu cienka strużka dymu. Lekceważąc muchy zrobił z dłoni daszek nad oczami i wyteżył wzrok. Nawet z tej odległości zdołał stwierdzić, że przy ognisku była większość chłopców, jeżeli nie wszyscy. A więc przeniesił obóz w inne miejsce, dalej od zwierza. Myśląc o tym spojrzał na cuchnące zwłoki obok siebie. Zwierz, choć straszny, jest całkiem nieszkodliwy, i trzeba o tym jak najszybciej wszystkich powiadomić. Ruszył w dół, lecz nogi ugięły się pod nim. Zebrał wszystkie siły i ślaniając zaczął schodzić.

na powierzchnię i przysnął na niego woda. — Uważaj, moje okulary! — krzyknął Prosiaczek. — Jak mi je oblejesz, będę musiał wyjść i wytrzeć.

Ralf znowu puścił strugę wody na Prosiaczka i nie trafił. Rozesmiał się pewnie, że Prosiaczek jak zwykle wycofa się potulnie w pełnym bólesci milczeniu. On jednak zaczął tłuc rękami wodę.

— Przystań! — wrzasnął — Słyszysz? Z wściekłością bryzgał wodą w twarz Ralfa.

— Dobrze już, dobrze — powiedział Ralf.

— Nie wściekaj się.

— Prosiaczek przestał tłuc wodę.

— Głowa mnie boli. Chciałbym, żeby się ochłodziło.

— Żeby zaczął padać deszcz.

— Żebyśmy mogli znaleźć się w domu.

Prosiaczek położył się na pochylonym brzegu basenu. Brzuch mu zapadł, a osiadłe na nim kropelki wody zaczęły obsychać. Ralf puścił strugę wody w niebo. Położenie słonca można było odgadnąć po świetlistej plamce po-

Ralf spojrzął na niego szybko i Prosiaczek zacerwienił się.

— Żeby... żeby upewnić się, że nic złego się nie stanie.

Ralf wypuścił strugę wody z ust.

Jeszcze nim Ralf i Prosiaczek doszli do gromady Jacka, z daleka już usłyszeli wrzawę. W miejscu, gdzie palmy zostawiły szeroki pas zieleni pomiędzy brzegiem a lasem, rosła trawa. Nieco niżej leżał biały piach namieciony poza linię przyplwy, ciepły, suchy, zdeptany. Za tą polacją piachu była skała opadająca ku lagunie. Za skałą znowu wąska wstęga piachu, a dalej już woda. Na skałę połonelo ognisko i tuszcz z pieczonego mięsa skapywał w niewidoczne płomienie. Wszy-

Jack odwrócił się. Przez chwilę patrzył na Ralfa i Prosiaczka, a trzask palącego się drzewa był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki się dało słyszeć ponad burdorem rafy. Ralf odwrócił wzrok, a Sam, sądząc, że Ralf patrzy na niego oskarżająco, upuścił ogryzioną kość z nerwowym chichotem. Ralf zrobił krok naprzód, szeptał coś cicho do Prosiaczka i obaj zachichotali jak Sam. Podnosząc wysoko nogi na piasku Ralf szedł dalej. Prosiaczek usiłował gwizdać.

W tej samej chwili chłopcy, którzy kucharyli przy ognisku, chwycili nagle wielki kawał pieczonego mięsa i pucili się z nim biegiem w stronę trawy. Zderzyli się z Prosiaczkiem, który się sparzył i zaczął wrzeszczeć i podskakiwać. Burza śmiechu rozładowała atmosferę i pojednała Ralfa z gromadą. Prosiaczek raz jeszcze stał się powszechnym posmiewiskiem i wszyscy zrobili się weseli i normalni.

Jack wstał i zamachał włócznią.

— Dajcie im mięsa.

Chłopcy niosący szpikulec dali Ralfowi i Prosiaczkowi po kawale soczystego mięsa. Przyjęli dar przetykając ślinę i stali jedząc pod niebem z grzmiącą miedzi, które huczało nadciągającą burzą.

Jack znowu zamachał włócznią.

— Czy wszyscy zjedli, ile chcieli?

Mięso jeszcze było, skwierczało na szpikulcach z drewna, leżało na półmiskach z liści. Nie nasyciwszy się jeszcze Prosiaczek cisnął ogryzioną kość na piach i schylił się po drugą.

Jack powtórzył zniecierpliwiony:

— Czy wszyscy zjedli, ile chcieli?

W tonie jego głosu brzmiało ostrzeżenie, wynikłe z dumy posiadania i chłopcy zaczęli jeść szybciej, póki czas. Widząc, że nie zapytają się, by prędko skończyli, Jack powstał i spina, który służył mu za tron i przeszedł ra skraj murawy. Spojrzał na Ralfa i Prosiaczka, wyniosło spoza maski z farby. Stali teraz trochę dalej od trawiastego gruntu i jedząc Ralf wpatrywał się w ognisko. Spozobrzył, że płomienie stały się widoczne na tle przyciemnionego światła. Nadszedł wieczór, ale nie niosł z sobą spokojnego piękna, tylko groźbę niepoahamowanych mocy.

— Dajcie mi pić! — rozkazał Jack.

Henry przyniósł lupinę kokosa, a on zaczął pić patrząc na Ralfa i Prosiaczka spod nierównej skorupy. W brązowych wypukłościach jego ramion drzewa sła, a na ramieniu strzyżo się poczucie władzy skrzecząc do ucha jak mąpa.

— Siadaj wszyscy.

Chłopcy usiedli przed nim w rzędach, ale Ralf i Prosiaczek pozostali nieco dalej, stojąc na piasku. Jack zignorował ich na razie, skierował maskę ku siedzącym na piasku i uniósł włócznię.

— Kto przyłącza się do mego szczepu?

Ralf zrobił nagi ruch i potknął się. Część chłopców zwróciła ku niemu głowy.

— Dajęm wam jedzenie — rzekł Jack — a moi myśliwi będą was strzegli przed zwierzem. Kto się przyłącza do mego szczepu?

— Ja jestem wodzem — powiedział Ralf — boście mnie wybrali. Musimy pilnować ognia. A wy uganianie się za jedzeniem...

— Sam się uganiasz! — krzyknął Jack. — Spójrz na kość, którą trzymasz w ręku!

Ralf poczerwieniał.

— Sa między nami myśliwi. Zdobywanie pożywnia to ich obowiązek.

Jack znowu go zignorował.

— Kto się przyłącza do mego szczepu i bawi się z nami?

— Ja tu jestem wodzem — powtórzył Ralf z drżeniem w głosie. — Co będzie z ogniskiem? Poza tym ja mam konchę...

— Ale jej nie trzymasz w ręku — powiedział Jack drwiąco. — Zostawieś. Widzisz, mądralo! A poza tym koncha jest nieważna na tym końcu wyspy.

Nagle strzelił piorun. Tym razem jednak był w nim trzask uderzenia, a nie przetaczające się dudnienie.

— Koncha tutaj też jest ważna — rzekł Ralf — i na całej wyspie.

— Tere-tere.

Ralf przebiegł wzrokiem twarzę chłopców. Nie znalazł w nich poparcia i odwrócił oczy, zmieszany i spocyny. Prosiaczek szepnął:

— Ognisko, ocalenie.

— Kto się przyłącza do mego szczepu?

— Ja.

— I ja.

— I ja.

— Wezmę konchę i zatrąbę — powiedział Ralf słabo. — zwołam zebranie.

— Nie usłyszyny.

Prosiaczek trącił Ralfa w rękę.

— Chodź. Pachnie awanturą. Już się najedliśmy.

Za lasem błysnęło oślepiająco i znów huknął piorun, a jeden z malców zaczął pochlipywać. Spadły pierwsze wielkie krople, głośno uderzając w piach.

— Idźcie burza — rzekł Ralf — będzie lato jak wtedy, kiedy wyładowaliśmy. Kto teraz mądrzejszy? Gdzie wasze szalasy? Gdzie się schronicie?

Myśliwi z niepokojem patrzyli na niebo, kuląc się pod uderzeniami deszczu. Fala niepokoju rozchłwała szereg. Migotliwe błyski stały się jaśniejsze, a huk piorunów nie do zniesienia. Maluchy zaczęły wrzeszczeć i biegać w kółko.

Jack zeskokczył na piach.

— Tańczyny nasz taniec! Dalej! Tańczyciel! Przebiegł, potykając się w głębokim piasku, na niewielką skalną przestrzeń za ogniskiem. Ciemność i groź wisiąca w powietrzu rozjaśniały tylko błyskawice; za Jackiem podążali krzyżący chłopcy. Roger udawał dziką, chrząkał i zaszczarował na Jacka, który uskokczył w bok. Myśliwi wzięli włócznię, kucharyze roiny, a reszta chłopców nie dopalone polana. Krag zaczął się obracać, zabrałszy przyspiew. Roger naśladował przerażoną świnie, ma-

WILLIAM GOLDING

Władca much

(fragment powieści)

Lata pięćdziesiąte — jak powszechnie się uznaje — były dla literatury angielskiej okresem przełomowym. Pośród wielu nazwisk w zakresie powieści — a przecież nie o powieści tylko należałoby mówić — wymienia się przede wszystkim Angusa Wilsona, głośny debiut Kingsleya Amisa, Alana Sillitoe, Grahama Greene'a, Lawrence'a Durrella z jego „Kwartetem Aleksandryjskim”, Iris Murdoch i Johna Braine'a. Na tę listę ówczesnych rewerlatorów powieści wpisuje się także, urodzony w roku 1911, William Golding, nauczyciel szkoły średniej w Salisbury. Tu właśnie, w wieku 43 lat, napisał swoją pierwszą powieść „Władca much” („Lord of the Flies”), która już u początków twórczości zapewniła mu uznanie. Można rzec, że utwór ten — mimo

to Golding napisał jeszcze kilka powieści: „Spadkobiercy” („The Inheritors” — 1955), „Wieża” („The Spire” — 1964), „Darkness Visible” i „Rites of Passage” — 1979 — należy do tytułów najbardziej znanych i tłumaczonych (autorem przekładu polskiego jest Wacław Niepokólczycki). Nie bez znaczenia dla tego stanu rzeczy była adaptacja filmowa tej powieści, której dokonał sam Peter Brook.

Zaliczany do najwybitniejszych spośród żyjących pisarzy angielskich jest William Golding twórcą fabul alegorycznych o moralizatorskim charakterze. Stąd często zestawia się jego powieści z dziełami Kafki i Camusa. Cywilizacyjne doświadczenia człowieka XX wieku nadały pisarstwu autora „Władcy much” ton

pesymistyczny i mroczny. Ekstremalne granice ludzkiej natury, wnikliwa zła w tej naturze zakorzenione — oto socjopsychologiczne intencje, które określają ideologię przypisywaną Goldingowi. Taka jest i ostatnia powieść tegorocznego laureata Nobla „Rites of Passage”, za którą otrzymał znaczącą nagrodę „Booker Prize”.

William Golding, choć uznany, nie należy do pisarzy powszechnie znanych. Dlatego też, mając na uwadze to, iż niektóre jego powieści ukazały się w polskim przekładzie dobrych kilkanaście lat temu, postanowiliśmy zacytować w obecnym fragmencie bodaj najwybitniejszy utwór Golding'a, to jest „Władca much”.

G. G.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

śród chmur. Ukląkł w wodzie i rozzerzał się.

— Gdzie są wszyscy?

Prosiaczek siadł.

— Pewnie w szalaszach.

— Gdzie Samierky?

— I Bill?

Prosiaczek wskazał za granitową płytą.

— Poszli tam. Do Jacka na ucztę.

— Niech sobie idą — rzekł Ralf z zakłopotaniem. — Co mnie to obchodzi?

— Żeby zjeść kawałek mięsa...

— I polować — powiedział Ralf — i bawić się w szczep dzikich, i pomalować się barwami wojennymi.

Prosiaczek grzebał pod wodą w piasku i nie patrzył na Ralfa.

— Może i my powinniśmy tam pójść...

soy chłopcy z wyspy, oprócz Ralfa, Prosiaczka i Simona oraz dwóch zajmujących się pieczeniem mięsa, byli na murawie. Śmiali się, śpiewali, leżeli lub siedzieli trzymając w rękach mięso. Sądząc jednak po zatłuszczonych twarzach jedzenie mięsa było już na ukończeniu. Niektórzy poplajali wodę z lupin kokosowych. Przed rozpoczęciem uczt przywleczono na środek trawnika ogromną kłodę i Jack siedział na niej wymalowany i ustrojony niby jakiś bożek. Przy nim, na świeżych liściach, leżał stos mięsa, owoców i lupiny kokosowe napełnione wodą.

Prosiaczek i Ralf doszli do skraju trawiastej przestrzeni i chłopcy zauważywszy ich zaczęli po kolei milknąć. Tylko jeden stojący koło Jacka coś mówił. Potem unilkł nawet on i

— Popływajmy — rzekł Ralf — to jedno nam zostało.

Prosiaczek badał przez soczewkę groźne niebo.

— Nie podobają mi się te chmury. Pamiętaj, jak lato zaraz po naszym lądowaniu?

— Znowu będzie lato.

Ralf skokczył do wody. Na skraju basenu bawilo się kilku maluchów, próbując znaleźć ulgę w wodzie, która była gorętsza od krwi. Prosiaczek zdjął okulary, zanurzył się ostrożnie i włożył je z powrotem. Ralf wypłynął

luchy biegły i podskakiwały na zewnątrz kręgu. Prosiaczek i Rafł zapragnęli schronić się przed groźbą niebios w tej szalonej, ale dającej złudzenie bezpieczeństwa społeczności. Cieszył się, że mogli dotykać brązowych pleców zapory, która osaczyła strach i pozwoliła go opłonić.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Krew się leje!

Ruch stał się regularny, a śpiew zatracił nerwowość i zajął równym rytmem, jak krew w żyłach. Roger przestał udawać dziką i wrócił do roli myśliwego, tak że środek kręgu ział teraz pustką. Kilku maluchów utworzyło własny krąg, potem drugi i te uzupełniające kręgi obracały się i obracały, jakby samo powtarzanie tego ruchu mogło przynieść bezpieczeństwo. Wszystko to drgało i pulsowało jak jeden organizm.

Ciemne niebo rozzerwała bladolina szrama. Czwile później spadł na nich pierwszy huk, nipy trząsk z gigantycznego bata. Śpiew wznosił się o ton w agonii.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Krew się leje!

Poniczny strach zrodził nowe pragnienie, pragnienie dojmujące, palące, ślepe.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Krew się leje!

Znowu smoblada szrama postrzępiła niebo i rozległ się gwałtowny wybuch. Maluchy krzyczyły i rozproszyły się w ucieczce znad skrajów lasu, a jeden z przerażenia wdrął się w krąg starszaków.

— To oni! Oni!

Krąg zamienił się w podkowę. Z lasu coś pełzało ku nim. Zbliżało się niepewnie, ukradkiem. Dąki wrzask, który się podniósł na widok zwierza, był jak ból. Zwierz wtoczył się w środek podkowy.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Krew się leje!

Bladolina szrama nie schodziła teraz z nieba, huk był nie do zniesienia. Simon krzyczał coś o niezwywym człowieku na szczycie góry.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Krew się leje! Ukratrupić!

Opadły kije i w paszczę kręgu rozległ się chrząst i ryk. Zwierz padł na kolana w samym środku, osłaniając twarz zgiętymi ramionami. Krzyczał coś w piekielnej wrzawie o trupie na wierzchołku góry. Skoczył naprzód, przedarł się przez pierścien i spadł ze stromej skały na płasek nad wodą. Tłum targnął za nim lawą, ześliznął się na dół, skoczył na zwierza, wreszcie, bił, szarpał, gryzł. Nie było żadnych słów, żadnych innych ruchów, tylko to szarpnięcie kłów i pazurów.

Potem niebo otworzyło się i lunęły wodospadały deszczu. Woda odbijała się od szczytu góry, rwiała liście i gałęzie z drzew, zimnym prysznem oblała stos drgających ciał na plaży. Stos rozsypany się w pojedyncze postacie, zaczęły się oddalać chwiejnym krokiem. Tylko zwierz leżał nieruchomo o parę kroków od krawędzi morza. Nawet w tym deszczu widzieli, jaki to był mały zwierz, krew jego już barwiła plaż.

Gwałtowny podmuch rzucił strugi deszczu w bok zmiatając z drzew kaskady wody. Na wierzchołku góry spadochron wydał się i targnął; siedząca postać osunęła się, dźwignęła na nogi, okręciła wokół własnej osi i poszybowała w dół, poprzez beznamiętne przesycone wilgocią powietrze, drepcąc niezdarnie nogami po wierzchołkach drzew; zniżala się i zniżala, aż spadła na plażę, a chłopcy z krzykiem rzucili się do ucieczki. Potem spadochron ponosił postać dalej orząc nią wody laguny, wreszcie grzmotnął nią o rafę i cisnął w otwarte morze.

Koło północy deszcz ustał i chmury odpłynęły, a niebo znów się rozjaśniło niewiarygodnymi kaganami gwiazd. Potem wiatr zamrli i słychać było szmer wody, która wydobywała się ze szczelin w skałach i ściekała z liści na brunatną glebę wyspy. Powietrze było chłodne, wilgotne i przejrzyste, i wkrótce nawet szmer wody ustał. Zwierz leżał bezwładnie na bielejącej plaży, a plamy przy nim wciąż się powiększały.

Krawędź laguny zabłysnęła smuga fosforescencji, która postępowała ledwie dostrzegalnie, w miarę jak nadsięgała fala przypływu. Czysta woda odzwierciedlała czyste niebo i kanciaste konstelacje gwiazd. Linia fosforescencji wzdymała się wokół ziarenek piasku i drobnych kamyczków; chwilę trzymała je w dotkach napięcia, a potem nagle z niedostępnym westchnieniem przyjmowała do swojego wnętrza i sunęła dalej.

W przybrzeżnej płyciźnie postępująca jasność pełna dźwięcznych księżycowych isiół o ognistych oczach. Większe kamienie okryły się pecherzykami niby warstwą pereł. Wody przypływu sięgnęły pozbitego deszczem piasku i wygładziły wszystkie nierówności okładziny srebra. Lśniły pierwszą z plam, które wyciekły ze zgruchotanego ciała, i lśniące stworzonka utworzyły przy niej świetliste pasemko. Woda uniosła się wyżej i przybrała blaskiem szorstkie włosy chłopca. Kontur policzka zaznaczył się linią srebra, przelęgła barku stało się marmurową rzeźbą. Dźwięk stowarzonka o ognistych oczach i ciałach z księżycowej mgiełki zaczęły się krzątać wokół głowy. Ciało dźwięgnęło się o ułamek cala i z ust wydobyła się z chlupotem banieczka powietrza. Obróciło się łagodnie na bok.

Za pociępiatym zaiomem świata trwała nieustanna praca słońca i księżyca; i warstewka wody na planecie Ziemi wydała się lekko w jednym miejscu, wstrzymana w obrocie, któremu polegała okryta nią bryła. Oblamowane lśniące obwódki wścibskich stowarzonek, srebrzyste, jak niezachwiane konstelacje ponad nim, ciało Simona spłynęło ku otwartemu morzu.

Przełożył:
WAŁAW NIEPOKÓLCZYCKI



Ambasador — Arnold Pujasz — Pełnomocnik — Maciej Kozłowski

Foto: Romuald Kropat

Ambasador z czwartego roku

„AMBASADOR” z całą pewnością nie jest najlepszą sztuką Sławomira Mrożka. Ma wiele łatwo dających się zauważyć, wręcz rzucających się w oczy słabości. Ale ma też ten rodzaj związków zarówno z szeroko rozumianą współczesnością, jak i z zespołem zawsze wiele znaczących uniwersaliów, które czynią zeń pozycję szczególnie interesującą — każdy współczesny teatr, a wręcz wyjątkowo frapującą teatry nie tyle metaforycznie, co dosłownie młode. Można zatem stwierdzić, iż nie dziwnego nie ma w fakcie, że właśnie po „Ambasadora” sięgnęła młodzież czwartego roku Wydziału Aktorskiego Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera. W jej wykonaniu tę właśnie sztukę Mrożka oglądaliśmy na scenie Teatru Studyjnego im. Tuwima.

„Ambasador”, choć w znacznej części napisany wręcz znakomicie, pełen błyskotliwych dialogów skrzących się celnymi ripostami i zaskakującymi pointami, nie należy bynajmniej do grona tych tekstów scenicznych, o których zwykliśmy mówić, iż bronią się same. Nie należy do nich w moim przekonaniu nie tylko dlatego, iż takich tekstów naprawdę nie ma chyba w ogóle, ale z tego głównie powodu, że wymaga on znacznej dojrzałości; i to zarówno w tym powszechnym rozumieniu, jakim jest wysoki stopień świadomości społecznej i politycznej, jak i w znaczeniu doskonałości warsztatowej zespołu aktorskiego, który na inscenizację tego tekstu się porzywa. Bo właśnie porzywem z punktu widzenia warsztatu aktorskiego nazwał trzeba podejmowaną przez każdy zespół decyzję zaprezentowania publiczności „Ambasadora” i siebie w tej właśnie sztuce.

Decyzję repertuarową władz wszystkich krajowych Wydziałów Aktorskich, ich motywy i zasadność nie zawsze są jasne. W dwu ogólnie nazywanych grupach realizacji scenicznych, jakimi są „klasyka” i „współczesność” zmieścić da się wia-

ciwie wszystko i tym szkoły teatralne zdają się tłumaczyć podejmowane przez siebie decyzje repertuarowe. Młodzież opuszczająca mury szkół teatralnych winna umieć wszystko, ale oczywiście jest rzeczą nieosiągalną tego idealu. Oczywiście musi być jednak jej gotowość podejmowania każdego z zadań i ona właśnie widoczna jest w zaprezentowanym nam przedstawieniu „Ambasadora”. Gotowość ta w omawianym przypadku bliższa jest jednak tzw. szczerzej chęci, niż realnie istniejącym możliwościom.

Studynny charakter teatru i studynny charakter przedstawienia (młodzież na oczach widzów „ubiera się” w kostiumy roli) tłumaczą ułomność widowiska, ale nie wyjaśniają zasadności wyboru sztuki przygotowanej z myślą o prezentowaniu jej „prawdziwej” publiczności, publiczności szerszej niż grono kolegów i krewnych i znajomych.

A publiczność, ta szersza niż owi najbliżsi, w tym przypadku ciekawą jest przede wszystkim ową gotowość, stopnia zgłębienia przez młodzież tajemnic aktorskiej profesji i niezwykle trudnego do opanowania warsztatu artystycznego. Tekst „Ambasadora” nie broni się sam, a co gorsza nie broni młodego aktora. Tekst „Ambasadora” odkrywa jego ułomności, niedociągnięcia i tutaj zrozumiałe jest jeszcze braki, bo wymaga aktorskiej perfekcji i najwyższej miary zawodowej dojrzałości. Tym, którzy posiadają choćby ich zapowiedź rewanżuje się możliwość stworzenia interesującej roli, a raczej otarcia się o jej bardzo jeszcze przyszłościową wizję. Jednemu tylko spośród młodych wykonawców „Ambasadora” dała tę szansę jego szkolna (dosłownie i metaforycznie) inscenizacja. Tylko bowiem Maciej Kozłowski (w roli Pełnomocnika) dał dowody świadomości gry. Czy dokonana w tym właśnie kontekście pozytywna ocena gry jednego aktora równa się negatywnej ocenie działań scenicznych innych

wykonawców? Ależ nie! Dla nich, dokonany przez szkołę wybór sztuki okazał się niefortunny. Nie dlatego, że zostali w niej źle obsadzeni, bo tego nie twierdzę, lecz z tej przyczyny, że ich zapamiętanie nie dorównuje jeszcze wiedzy, świadomości i zespołowej umiejętności. Dla nich role okazały się „kostiumami roli”, kostiumami z przysłowio- wych starszych braci. Oni, jeszcze młodzi, młodsi, a w tych kostiumach wygładzają wręcz dziecinnie pokazali jednak już teraz, że chcą rosnąć, że urosną, że we właściwym czasie „kostiumy roli” leżeć będą jak ulał, że będą na właściwą miarę przygotowanymi, być może... kreskami.

Zyczenia harta ducha, siły, wciąg żywego zapachu, težyny zawodowej składam więc z całą życzliwością Arnoldowi Pujasz, Sylwii Wysockiej, Janowi Kawalowi i Andrzejowi Krukowskiemu. Mam nadzieję, że następne z nimi spotkania będą miały właściwie nieco wyważone proporcje, że głęboko i ze świadomością rzeczy wieść będziemy teatralną dyskusję o polityce i o tym wszystkim, co w życiu każdego człowieka jest najważniejsze.

Mam też nadzieję, że szkolne nauki nie pójdą w las, że młodzi docenią wysiłek swych mistrzów i opiekunów, którzy nie gaszą zapałów, nie neutralizują emocji, nie uciszają wyrywającego się głosu, choć warto już nadać mu właściwe brzmienie.

„Ambasadora” reżyserowanego przez Jana Machulskiego warto obejrzeć, choćby po to, by widząc co jest, wyobrazić sobie co być może...

EWA
PANKIEWICZ

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO-OBYCZAJOWA

URZĘDNICY FRANCISZKA JÓZEFA

W cesarsko-królewskiej monarchii austriackiej rozwijał się bujnie system biurokracji, o czym pisze obszernie Stefan Grodzki w ostatnio wydanej monografii o Franciszku Józefie I (Wrocław 1983). Okazuje się jednak, że stopnie kariery urzędniczej w ówczesnej Galicji były nader strome, a wstęp na jej szczyty był utrudniony. Znamienny obraz życia proletariatu urzędniczego tamtych czasów przedstawił niejaki Stefan Rogalski w wierszowanej powieści społeczno-urzędniczej „Konrad Habennichts”, stanowiącej udany pastisz mickiewiczowskiego „Konrada Wallenroda”:

Cwierć wieku mijs, jak zakon państwowy
W plac regulacji obłotniczych brodził,
Już Murzyn biały kark schylił w okowy,
Wiewiór zaprzęta — z petycją nie chodził,
Zakon miał chęć, lecz czynił niewiele,
On miał przed sobą inne, wyższe cele!

Niemota dzieł Murzynów od innych:
Po jednej stronie bityszka dachów szczyty
W Murzynów biurach miliony rak czynnych;
Po drugiej stronie — wspiera o błękity
Złociste czoło wyniosły Parlament,
Jak Murzyn — niemy, spokojny i cichy,
Dziś w nim nie słyszysz żaden ludzki lament —
Wszystko ucichło — rządzi zakon pryhy!

Z tej strony rzesza różnych pracowników
Niskich i niższych, różnych urzędników
Pośród piór świstu lub śród huków młotów
Pracuje — śledzi zakonu obrotów.
Po drugiej stronie — paragraf trzynasty
Obłotnic milion rzuca dla omasty,
Utkwiwszy oczy w złota pełnej kasie —
Jak kasę nablić, myśli — o „eriasie”!

I ci i owi czekają w milczeniu,
Choć dawniej było wesole i gwarne —
Byli koledzy — w szczęściu i cierpieniu
Dziś służąc — trzeba milczeć — składnie, karnie!..

MODLITWA SZLACHCICA

Pewny szlachcic dawnego autoramentu w Przemysku uczęszczał codziennie do kościoła franciszkanów i gdy już wszyscy po nabożeństwie kościół opuścili, on zostawał, klekał przed wielkim ołtarzem, i zwrócił do południa głosem do modlitwy. To się sprzyknęło braciowski, gdyż przez niego nie mógł kościół wzmocnić zamknąć. Otóż raz jednego schował się za obraz w wielkim ołtarzu i kiedy szlachcic gorąco prosił Boga o jakąś łaskę, on krzyknął głośno: „Idź precz, duraniu, nie nie gościć!” Na to szlachcic za dobrą chwilę odwrócił: „Panie Boże, wolno ci dać, albo nie dać, ale kpić nie wolno, bom szlachcic.”

K. Bartoszewicz: Perły humoru polskiego. T. 2. Kraków 1884

WIEŚ O PODDĘBICACH

Domorosły rymopis Józef Bojanowski opiewał mową wianą na początku XIX w. urokliwie miasteczka naszego regionu. Być może, że obok wierszy poświęconych Warcie i Poddebicom poświęcił jakąś utwór również Łodzi, ale tylko tamte dwa zachowały w pamięci i odnotował po latach sędziwy pamiętnikarz, pułkownik wojsk polskich, Ludwik Szanicki (Dziennik Ludwika Szanickiego, Warszawa 1904). A zatem mieszkańcom Poddebic przypominać dowcipny czterowiersz imię Bojanowskiego, z którego niedużożnacznym wynika, że ojcowie miasta nie widzieli przez długie lata potrzeby brukowania ulic:

Przejechawszy żyzne Neru okolice,
Dały nam się ujrzyć sławne Poddebice,
Sławne to jest miasto w szczególnym sposobie,
Iż nie ma ani bruku, ani ulic w sobie.

URZĄD PROZĄ I WIEŚZEM OPISANY

Niechaj mi darują pracownicy wysokich i zgola niższych urzędów, gdy przypomnę, że już przed dwustu niepełna laty (1785) poeta z czasów stanisławowskich Piotr trojga imion Tyszyński (1738—1815) zauważył, iż „najmniejszy urząd nie bez przykrości opuszczany bywa”, dowodząc:

Wiele się stęszę po urzędach daja,
Ze za nich krwawe trudy znośić muszą,
Lecz tak są chętni, kiedy być przestają,
Jakby się ciało rozstawało z duszą (...)

Nie trzeba wierzyć, chociaż kto swe żale
Wynurza, że mu ów urząd zbyt ciężki,
Prócz chyba wtenczas, gdy czegoś zuchwale
Zachce, a sporu drugich nie zwycięży.

Na tenże sam temat w 120 lat później (1905) pisał tymi oto słowy dziennikarz i satyryk Kazimierz Bartoszewicz:

Urząd może być wysoki lub niski, mały. Lepiej jest, jeżeli urząd jest za mały w stosunku do posiadającego go człowieka, niż jeżeli człowiek jest za mały do zajmowanego urzędu. Ludzie przyjmując wysokie urzędy i godności, dużo prawią o wielkim ciężarze, jaki biorą na swoje barki, ale zaproponuj im, aby ten ciężar z siebie zrzucili, a wezmą cię za swego wroga lub za wariata. Właśnie dlatego, że urzędy są ciężarem do dźwigania tego ciężaru powoływano się często ośłów.

Aby przytyć nieco ostrze zjadliwej satyry wspomnianych pisarzy godna wydaje się przypomnienia i refleksji głęboka myśl zawarta w pismach biskupa-filozofa Ignacego Krasińskiego:

Im wyższy stopień, tym dotkliwsze umartwienie. Jeżeli urzędu dostąpił, im wyżej usiedziesz, tym bardziej się zniżaj w oczach twóich, a wtenczas się staniesz urzędu godnym i stopnia twój.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

IV. REWELACJA

Po koncercie laureatów Ogólnopolskiego Konkursu dla śpiewaków amatorów czekała na nich artystyczna niespodzianka. Przygotowała ją Maria Fołtyn zapraszając do Kudowy parę aktorską: **AGNIESZKĘ FATYGĘ** i **EMILIANĄ KAMIŃSKIEGO** z fragmentami „Śpiewnika domowego” w reż. Adama Hanuszkiewicza. To co zobaczyliśmy na scenie Teatru Zdrojowego zdumiało amatorów, profesjonalistów i liczną publiczność. Zdumiały nieprawdopodobnie wolumeny głosowe: Agnieszki Fatygi (od koloratury do altu, łącznie z wielkim głosem rasowej piosenkarki) — znakomicie opanowana technika śpiewania arii i piosenki, Emiliana Kamińskiego (wielki, nieszkolony głos), który rozsadzał salę teatru i przebił najnośniejsze barytony. Oboje w pastiszach, parodiach skostniałych form operowego śpiewania i zachowania scenicznego.

Maria Fołtyn po zakończeniu ich występu na stojąco biła brawo i krzychała: — Brawo Agnieszko! Narodziła się nam polska Maria Callas.

I rzeczywiście, aparycyjnie ta 25-letnia dyplomowana aktorka (absolwentka PWST w Warszawie), pianistka (PSSM w Katowicach) i śpiewaczka (za rok dyplom na Wydziale Wokalno-Aktorskim Akademii Muzycznej w Warszawie) przypominała legendarną Marię Callas. I ten głos! Fatyga ma nawet przewagę nad Callas, bo ma więcej temperamentu aktorskiego i potrafi śpiewać bluesa, jazz, bossa nowę, piosenki aktorskie obok operowych arii i pieśni. Była więc prawdziwą rewelacją tego festiwalu, bijąc na głowę renowane śpiewaczki, które oglądając jej występ były mocne brawa. Wcale się nie obrażyły, kiedy parodiowała ich pewne zachowania sceniczne i bez skrywanej zawiści gratulowały młodej aktorce-śpiewaczce tak udanego występu.

Agnieszka Fatyga i Emiliana Kamiński pokazali fragmenty swojego programu raz jeszcze (na bis) na bankiecie wydanym przez organizatorów na zakończenie festiwalu. Wypada tylko żałować, że nie udało się ich koncertu zarejestrować na telewizyjnej taśmie lub zaprosić do „Koncertu gwiazd”, co prawdopodobnie rozsadziło konwencjonalnie zrobionego i w podobny sposób pokazanego przez TVP koncertu. Przed Fatygą i Kamińskim wielka przyszłość!

V. KONCERT GWIAZD

Na ten koncert oczekiwano szczególnie niecierpliwie, do niego przygotowywano się najstaranniej, miał w założeniu być i był naczelnym ciosem programowym XXII Festiwalu Moniuszkowskiego w Kudowie Zdroju.

Gwiazd było wiele. Kilka wspaniałych, kilka dużych i kilkanaście na najwyższym poziomie swych przeciwnych możliwości. Gwiazdy też czekały niecierpliwie na ten koncert. Dla wielu z nich był to jedyny występ na festiwalu, a szkoda, bo można było bardziej wykrzystać pobyt kilku świetnych śpiewaków w Kudowie. Oni na to czekali, miłośnicy pięknego śpiewu również.

Tuż przed „Koncertem gwiazd” próbowałem zobaczyć — jak przygotowują się do niego bohaterowie.

Teresa May-Czyżowska zabarykadowana w hotelowym pokoju wydała polecenie dla recepcji: Nie łączcie do 13.

Bogna Sokorska podobnie, nie wolno było łączyć z jej apartamentem do 17!

Zygmunt Zając poszedł na spacer.

Romuald Tesarowicz rozwiązywał krzyżówkę w towarzystwie żony-tancerki.

Inne gwiazdy spały, kąpały się lub rozśpiewywały.

Pogoda w tym roku nie sprzyjała śpiewakom (upały), w ubiegłym roku było znacznie lepiej (chłodniej).

VI. WIECZORNA GALA

To była rzeczywiście wielka gala. Na widowni i na scenie Teatru Zdrojowego. Osobistości ze świata kultury, władze państwowe, polityczne, goście, festiwalowa publiczność. W TV oglądaliśmy zaledwie małe wycinki z ponad trzygodzinnego koncertu. Koncert gwiazd w telewizyjnym wydaniu stracił więc swój klimat, a niektóre gwiazdy zbladły lub wcale ich nie pokazano.

Nie było w retransmisji telewizyjnej duetu Macieja i Skołuby ze „Strasznego dworu” czyli Jana Czekaja i Jerzego Kulczyckiego. Nie było Bogny Sokorskiej w arii Ewy z „Hrabiny”, Poli Lipińskiej również w arii z „Hrabiny” z III aktu tej opery, Barbary Madrej w recitativie i arii Neali z „Pavil”, Zygmunta Zająca w arii

wurówce zagranej mazurą i I aktu „Halki” w wykonaniu Orkiestry Państwowej Opery we Wrocławiu pod dyr. Antoniego Wicherka.

„Koncert gwiazd” był prawdziwym popisem umiejętności grona aktualnych gwiazd operowych w naszym kraju, choć zabrakło np. z Łodzi Danuty Salskiej czy kilku warszawskich śpiewaków.

VII. WYWIADY

Nie mogłem się oczywiście powstrzymać od przeprowadzenia dla Czytelników „Ogłosów” kilka wywiadów z czołowymi gwiazdami festiwalu, choć i tak uważam, że powinienem porozmawiać z większą ilością śpiewających gości. Zaczęłem od najważniejszej osoby

kursu dla śpiewaków amatorów, który zamierzam kontynuować i prawykonanie 4 „Litanii Ostrobramskich”, a więc odkrycie muzyki religijnej Moniuszki. Mam żal do ludzi, że do tej pory tego nie zrobili.

— Jak długo przygotowuje pani Festiwal Moniuszkowski?

— Różnie z tym bywa, ale przeważnie chodzi z każdym festiwalem kilka miesięcy, zanim go urodzą.

— Zapewne ma pani sztab współpracowników?

— Ten sztab tworzą wraz ze mną cztery osoby: Maria Tygielska — sekretarz festiwalu, Helena Botnicka — sprawy organizacyjne ze strony SPAM-u i Stanisław Kocot — naczelnik Kudowy Zdroju i przewodniczący Komitetu Organizacyjnego.

— Z każdym rokiem jest trudniej czy łatwiej?

— Zastąpiła pani także w jury Konkursu dla śpiewaków amatorów L...

— Oceniam ich bardzo dobrze z małymi wyjątkami. Wszyscy byli dobrze przygotowani. Cechowała ich wielka spontaniczność i śpiewali dla przyjemności. To chyba najważniejsze.

— Będzie pani powracała do Kudowy?

— O ile otrzymam zaproszenie, z przyjemnością.

— Gdzie będzie można panią obejrzeć, posłuchać?

— Jestem przesadna, więc nie zdradzę planów. We wrześniu będę miała recital pieśni w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

ZYGMUNT ZAJĄC, znakomity tenor bohaterski Teatru Wielkiego w Łodzi był w Kudowie po raz pierwszy. Spotkał się z zainteresowaniem branży

piłem w „Śpiewniku rodzinnym” i w „Koncercie gwiazd”.

— Co sądzi pan o konfrontacjach dla młodych śpiewaków?

— To dobry pomysł, bo widzi się na nich, co kto zrobił w ciągu roku. Swoją rolę w konfrontacjach traktuję podobnie jak konkursy wokalne.

AGNIESZKA FATYGA — rewelacja i odkrycie festiwalu, zjawisko wokalnie-aktorskie, o którym będziemy wkrótce dużo dobrego słyszeć, czytali, oglądali.

— Czy naprawdę można śpiewać Moniuszkę z tak dużym przymrużeniem oka?

— Myślę, że tak, nawet można bardziej przybliżyć muzykę Moniuszki współczesnemu słuchaczowi. Znajac piękni Moniuszki w takim podaniu, jakie zaproponowałam z Emilianą Kamińską, można pokonać barierę trudności percepcyjnych do odbioru pieśni, do czego trzeba być słuchaczem przygotowanym.

— Jest pan aktorką, o której się teraz mówi, pisze, ale szerzej i dokładniej nieznana?

— Urodziłam się w Bytomiu, gdzie spędziłam 12 lat. Przez 7 lat uczyłam się gry na gitarze klasycznej i rok na fagocie. Ukończyłam podstawową i średnią szkołę muzyczną w klasie fortepianu. Po dyplomie pianistycznym zdałam egzaminy wstępne do Akademii Muzycznej w Katowicach (dostałam się na drugi rok fortepianu) i do PWST w Warszawie. Wybrałam studia aktorskie, dyplom otrzymałam w 1980 roku. Na IV roku PWST rozpoczęłam studia wokalne na Wydziale Wokalno-Aktorskim AM w Warszawie. Obecnie jestem na V roku, w klasie Alicji Dankowskiej. Za rok bronię dyplomu śpiewaczki.

— Trudne jest właściwie ogarnąć, określić pani głos?

— Mam sopran liryczno-spinto z koloraturą. Śpiewam też głosami piosenkarskim, obok bluesa do przebojów musicalowych.

— Niebawem stanie pani przed decyzją wyboru, określenia się w artystycznych zawodach?

— Najchętniej śpiewałabym w operze i na estradzie, nie rezygnując z grania w teatrze.

— Co już zrobiła pani w Teatrze Narodowym?

— Miałam różne zadania w widowisku „L. Decameron”, zagrałam rolę Matki w „Romeo i Julii”, Marylę w „Leśmianie”, obecnie gram Dorotę w „Krakowiakach i góralach”, tytułową „Czarującą szewcową”. W Teatrze TVP zagram Nastazę Filipówną w „Idiocie”.

VIII. DO ZOBACZENIA ZA ROK

Do zobaczenia za rok, zegnali się z festiwalową publicznością na finałowym koncercie w Kudowie Zdroju prezydentzy: **Małgorzata Błoch** i **Jan Suzin**.

XXII Festiwal Moniuszkowski był imprezą udaną, dobrze zorganizowaną, o wysokim poziomie artystycznym. Festiwalowi towarzyszyła wspaniała atmosfera, którą trzeba poczuć, nie sposób opisać słowem. Tworzyli ją artyści, muzykolodzy, krytycy, organizatorzy, goście i publiczność.

Maril Fołtyn bezwzględnie należy się wsparcie osobowe w ludziach chętnych i potrafiących organizować tak dużą imprezę. **Stanisławowi Kocotowi** przydałoby się większe grono pomocników do czarnej roboty.

Pan Moniuszko może spać spokojnie i równie spokojnie spoglądać na swoje dzieło, które tu wciąż odkrywa się na nowo, bo rejon muzyczny, w których zapisał się swoją twórczością ten kompozytor zdają się być nieprzebrane.

BOHDAN GADOMSKI

Pan Moniuszko może spać spokojnie... XXII Festiwal Moniuszkowski w Kudowie Zdroju część II

Eleazara z „Zydówki”. Wreszcie nie było kapitałnej Barbary Zagórzanki w recitativie i arii Halki, za której wykonanie wspaniała śpiewaczka zebrała stojące brawa w kilkunastominutowej owacji.

Nie było też **Krystyny Kujawińskiej** w pięknie zaśpiewanej scenie z IV aktu „Halki” — „Hal dzieciątko nam umiera”. Telewizja wycięła też występy zagranicznych śpiewaków. Nie obejrzelśmy więc **Kristin Thaisen** z Norwegii, **Teresy Klimuszko** z Kanady, **Vincenzo Pumi** z Włoch oraz bra-

na festiwalu — **Marii Fołtyn**, wybitnej śpiewaczki, znakomitego reżysera operowego, żarliwego społecznika, organizatora i jak mówiono w kulisach „wdowy po Moniuszce”. Bez Fołtyn nie byłoby tego festiwalu, pewnie mniej wiedzilibyśmy o Moniuszce i w ogóle byłibyśmy ubożsi o te doznania artystyczne, które dzięki **Maril Fołtyn** i jej festiwalowemu działaniu mamy.

— Jakże były założenia programowe artystyczne tegorocznego festiwalu w Kudowie?

— Przede wszystkim dwie sprawy: I Ogólnopolski Kon-

— Jest coraz trudniej, bo życie w Polsce jest coraz trudniejsze.

— W tym roku nie dojechało do Kudowy wielu renowowanych i wcześniej zapowiedzianych wykonawców?

— Zawsze zapraszam o 50 procent więcej osób, bo różne przypadki losowe, życiowe, zawodowe nie pozwalają wszystkim wykonawcom przyjechać na drugi koniec Polski. Ci, którzy przyjeżdżają, wyrażają swój stosunek emocjonalny do Moniuszki.

— Pani też, mimo zapowiedzi, nie śpiewała w „Śpiewniku kościelnym”?

— Nie miałam już siły na śpiewanie. Nie mogę mówić, biegać, wszystkiego mieć na głowie (łącznie z przewożeniem krzesel) i jeszcze śpiewać.

— Jesteśmy już po konkursie dla śpiewaków amatorów, jak go pani juror ocenia?

— Myślę, że była to dla uczestników konkursu wielka przyгода. Dla nich i dla mnie. Uwierzyłam, że są jeszcze ludzie potrzebujący emocji typu artystycznego. Przekonałam się, że nie jest to martwy naród. Tradycje kulturowe są w utrzymaniu narodu — najważniejsze.

BOGNA SOKORSKA, najpopularniejsza i najbardziej lubiana polska śpiewaczka zawsze i wszędzie blizszy. Tak też było w tym roku w Kudowie. Wciąż młoda, wciąż uśmiechnięta, pełna temperamentu, wspaniale śpiewająca i bardzo życzliwa dla wszystkich. Sokorska była gwiazdą gwiazd XXII Festiwalu Moniuszkowskiego w Kudowie.

— Wydaje mi się, że za mało było pani śpiewającej w Kudowie?

— Sądzę, że wystarczająco, ale dla mnie osobiście za krótki był festiwal, mógłby trwać dwa tygodnie.

— Podpisywała pani największą autografów, ciągle otaczali panią wielbiciele. A o co najczęściej pytali?

— O różne sprawy, ale nie usłyszałam jeszcze pytania: Kiedy pojedzie pani ze sceny? I to ważna dla mnie sprawa.

i wielbiciele pięknych głosów. Jego występ w arii Eleazara z „Zydówki” na „Koncercie gwiazd” był szczególnie oczekiwany. Artysta nie zawiódł zainteresowanych.

— Jak znajduje pan to, co obejrzał i usłyszał w Kudowie?

— Jestem zachwycony „Litaniami Ostrobramskimi”, wykonanie, które usłyszałem w Kudowie, które jest uwagi na światowym rynku, trzeba je rozpowszechnić, nie tylko u nas. Przymam się, że dopiero teraz zacząłem tak naprawdę odkrywać Moniuszkę.

— Jaki był pana pełny udział w festiwalu?

— Wystąpiłem w „Śpiewniku kościelnym”, gdzie wykonałem „O władco świata”, „Agnus dei”, w „Koncercie gwiazd” i na „Spotkaniu z autografem”.

— Sądzi pan, że Moniuszkę można nazwać kompozytorem dla tenorów?

— Nie, bo pisał bardzo wszechstronny repertuar dla wszystkich gatunków głosów. W repertuarze mam jego pieśni, partię Jontka w „Halce” i Stefana w „Strasznym dworze”.

— Lubł pan festiwal?

— Lubię, szczególnie gdy odbywają się w tak pięknej oprawie, jaką stanowią dla nich kurorty typu Kudowa, Krynica, Kołobrzeg. Ponadto klimat jaki tam występuje znakomicie wpływa na górne drogi oddechowe.

ROMUALD TESAROWICZ, bas, odkrył XXI Festiwalu w Kudowie, od bieżącego sezonu solista Teatru Wielkiego w Łodzi. Będzie wiele okazji do wokalnych spotkań z tym znakomitym młodym basem. W tym roku był wielką ozdobą w Kudowie.

— Co podobało się panu w tym roku w Kudowie?

— Szczególnie podobał mi się konkurs dla śpiewaków amatorów. Ponadto atmosfera i organizacja.

— Jaki był pana udział wokalny w festiwalu?

— Wykonałem „Pieśni kościelne” w Szczytnej, wystą-



Agnieszka Fatyga

Foto: Bohdan Gadomski

WITKACY OBECNY WŚRÓD NAS

W dniu 27 września 1983 r. odbyło się zebranie założycielskie „Towarzystwa imienia Witkacego”. Miejsce zebrania był Państwowy Teatr Nowy — Piwnica Wandy w Warszawie, przy czym należało zaznaczyć, że mecenasem Towarzystwa jest właśnie wspomniany Teatr, dzięki szczególnie wydatnej pomocy udzielanej w tej sprawie przez dyrektora Bohdana Cybulskiego, który jest również współorganizatorem Towarzystwa.

Jednym z najbliższych celów powstającego Towarzystwa ma być organizowanie obchodów setnej rocznicy urodzin Witkacego (1983) w kraju, w związku z zaszczytnym wyróżnieniem Stanisława Ignacego Witkiewicza przez upamiętnienie go w Kalendarzu UNESCO Wybitnych Osobistości — współdziałanie w zagranicznych obchodach tej rocznicy, w których będzie uczestniczyła społeczność międzynarodowa. Oddzielną sprawą jest postulat sprowadzenia prochów Witkacego do kraju.

Wśród innych celów Towarzystwa na szczególną uwagę zasługuje permanentna popularyzacja twórczości Witkacego nie tylko w kraju, lecz także za granicą, w aspekcie systematycznego upowszechniania kultury polskiej w innych krajach. W tej działalności ma być wykorzystany fenomen tej wyjątkowej, sugestywnej atrakcyjności, którym jest osobowość Witkacego jako człowieka, myśliciela, dramaturga, pisarza, artysty i teoretyka sztuki.

W związku z powyższym, Towarzystwo pragnie też współdziałać w humanizacji społeczeństwa i pobudzeniu jego uczestnictwa w kulturze. Dotyczy to również brania udziału w aktywizacji życia intelektualnego w ogólnym tego znaczeniu m. in. w środowiskach zaniedbanych, ale zainteresowanych potrzebą walki z próżnią społeczno-kulturalną.

Wśród różnych form utrwalania pamięci narodowej dotyczącej Witkacego, na szczególną uwagę zasługuje projekt zorganizowania Muzeum Witkiewiczów (ojca i syna), oraz ufundowania tablicy pamiątkowej poświęconej Witkacemu, a także nazwanie jego imieniem ulicy, placu lub parku, przede wszystkim w Warszawie i Zakopanem.

Istnieje także pomysł wydania pomnikowego albumu z reprodukcjami obrazów Witkacego, jak również wydawnictwa o lokalnościach, plakatów, emisji „witkacowskich” znaczków pocztowych oraz medali i monet okolicznościowych. W realizacji niektórych z tych zamierzeń mógłby uczestniczyć i służyć pomocą Polski Komitet do spraw UNESCO. Wydaje się też, że na przykład problem zainteresowania, pokupności i opłacalności wspomnianego albumu, zwłaszcza za granicą, nie powinien przedstawiać trudności, przy wydatnej pomocy naszego Komitetu do spraw UNESCO. Równocześnie zaś mogłoby się to przyczynić w niemałym stopniu do propagandy kultury polskiej w innych krajach.

Popularyzacji twórczości Witkacego w kraju i za granicą ma również towarzyszyć współuczestnictwo w pogłębianiu wiedzy o życiu i twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz w zabezpieczeniu i aktualizowaniu jego spuścizny duchowej nie tylko na ten ówczesny, lecz także naszych czasów oraz związanych z tym problemów.

Jak z powyższej informacji wynika, powstające Towarzystwo ma bardzo ambitne plany. Ich wykonanie będzie zależało nie tylko od zaangażowania, umiejętności oraz ilości członków, lecz także od wielu innych czynników. Należy również zaznaczyć, że są to plany „maksymalne”, przewidywane na długi okres działalności. Obecnie jedną z najważniejszych spraw jest wykwalifikowanie odpowiedniej ilości odpowiedzialnych członków. W tej kwestii istnieje możliwość udzielenia dużej pomocy ze strony naszej prasy, poprzez publikowanie informacji na temat „Towarzystwa imienia Witkacego”, podkreślenie potrzeby jego istnienia i rozwoju oraz popularyzacje jego zadań.

Po informacji szczegółowe w tych sprawach, zainteresowani mogą się zwracać bezpośrednio do organizatora, zarządcy założycielskiego wspomnianego Towarzystwa — pod adresem: Zdzisław Delatowski, ul. Targowa 15 m 21, 03-721 Warszawa, tel. 19-46-06.

„NIEPOTRZEBNA BUDOWA”

W związku z artykułem zamieszczonym w nr 34 „Odgłosów” z dnia 20.8.1983 roku, pt. „Rozpoczęto budowę, która okazała się... niepotrzebna”, Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi wyjaśnia co następuje:

— Spółdzielczość mieszkaniowa podjęła w latach ubiegłych inicjatywę budowy domów mieszkalnych spółdzielczych tzw. „domów złotej jesieni” przewidzianych dla osób w wieku poprodukcyjnym, sprawnych fizycznie, dysponujących pełnym wkładem finansowym przewidzianym w budownictwie spółdzielczym. Na terenie województwa łódzkiego w budownictwie wybudowano dotychczas 3 obiekty tego typu, a w pracach docelowych przewiduje się wybudowanie jeszcze 2 domów tego typu (Retkinia — Piaski oraz Osiedle Radogoszcz). Zarówno planowanie, budowa, jak i zasiedlanie pozostaje w gestii spółdzielczości mieszkaniowej. W związku z powyższym ten Wydział nie podejmuje żadnych zobowiązań w tym przedmiocie, ponieważ nie miał do tego upoważnienia.

— W uzasadnionych przypadkach w obiektach tych mogą być organizowane domy dziennego pobytu. Podstawą do uruchomienia tego typu placówek są wyłącznie istniejące potrzeby. Na terenie Dzielnicy Polesie działają 3 dzienne domy pobytu dysponujące 110 miejscami, w tym 40 miejscami wolnymi. W tej sytuacji uruchomienie nowej placówki nie jest uzasadnione społecznie i ekonomicznie. Udzielona przez ten Wydział negatywna odpowiedź w powyższej sprawie RSM „Polesie” poprzedzona była sondażem oraz opinią gospodarza terenu tj. Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź — Polesie. Brak udziału jednostek podlegających Wydziałowi w działaniu domu „złotej jesieni” w Osiedlu Retkinia — Piaski nie stanowi przeszkód w funkcjonowaniu tej placówki.

— Zdaniem tego Wydziału liczba mieszkańców dzielnicy w określonym przedziale wiekowym nie stanowi wystarczającej przesłanki do tworzenia tego typu placówek (domów dziennego pobytu). Zarówno obowiązujące opłaty, jak i konieczność oddawania części miejsców kart reglamentacyjnych na miasto powodują, że część miejsc jest niewykorzystana.

Jednocześnie Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi informuje, że wystąpił z inicjatywą zorganizowania w wolnych pomieszczeniach „Klubu Seniora” podległego Polskiemu Komitetowi Pomozy Społecznej, który prowadzi na terenie Łodzi tego typu placówki. Niska odpłatność jaka obowiązuje w tych placówkach stanowi zachętę do uczestnictwa w ich działalności, i w zasadzie wszystkie miejsca są w nich wykorzystane.

Ostateczna decyzja w tej sprawie zapadnie do dnia 15 października 1983 roku.

Z-ca Dyrektora Wydziału ds. Polityki Społecznej lek. dent. WŁODZIMIERZ PETRENKO

MIEDZY NAMI DYLETANTAMI

W ciągu ostatnich 45 lat, co żyje na tym świecie, sporo widziałem, wiele zrozumiałem. Mogę wytłumaczyć sobie na przykład, dlaczego zatruwamy środowisko, grożąc sobie samoubrnięciem się i samozatruciem. Wcale nie przeraża mnie stosunek Reagana do sytuacji w Polsce, czy też pospiech żelaznej pary

(Thatcher and Kohl), do instalacji Pershingów — zdziwiłbym się raczej ogólnie, gdyby wspaniała trójca — raptem zaczęła zwlekać. Wbrew mojej, raczej konformistycznej, postawie społecznej wcale nie przeraziła mnie wiadomość o przyznaniu Nagrody Nobla Lechowi Wałęszie, ponieważ uważam, że właśnie dla takich okazji przewidział tę nagrodę Wielki Fundator — byłoby rzeczą nienaturalną i wręcz śmieszną, gdyby laureatami zostali powiedzmy Romesh Chandra lub Mieczysław Rakowski. Może to właśnie dlatego, że jestem zaawansowanym dyletantem zarówno w naukach tak zwanych ścisłych, jak i w tych, za przeproszeniem, humanistycznych, a jak każdy prawdziwy dyletant, znajduję pocieszenie i uspokojenie tak w zjawiskach, które potrafię sobie wytłumaczyć (nawet zagłada w wojnie atomowej będzie łatwiejsza od świadomości przyczyn), których nie potrafię (znaczy bowiem, że nie będę się nudził resztą życia). A jednak napotkałem kwestię, która ogarnia mnie smutkiem, ba — wprost zgroza, kiedy zaczynam się zastanawiać. Są to mianowicie Westchnienia — o ironio, też dyktanta Piotra Kuncewicz („Fakty” nr 40).

Jako praktykujący dyletant bez zagładania do słownika mogę z pamięci odpowiedzieć, że dyletant to osoba fizyczna zajmująca się nauką amatorsko, nie zadając sobie trudu korzystania z warsztatu naukowca, ale wadząc dlatego mająca czas na zapoznanie się z wynikami prac ludzi, którzy sobie na ów trud pozwolili. Różny można mieć pogląd w nauce, nie przeczę. Tym bardziej, że cenzus dyletantstwa jak na razie jest jednym z najbardziej demokratycznych. Na pewno można zostać dyletantem nawet po podstawowych. Jakaś intuicja podpowiada mi jednak, że mój szanowny Kolega musi być po maturze, a może nawet ma wykształcenie, które między nami dyletantami może być wyższym. Toteż nie można się dziwić, że taki dyletant całą sobą nie orientuje się, na czym polega nienaukowość Księgi Genesis. A zupełnie włos się jeży na myśl, że to nasza z panem Piotrem koleżanka, poduwała co suchsze drzewo pod Jana Husa.

A propos, temat do dyskusji eschatologicznej: czym się różni właściwie husyta od inkwizytora (nie ze względu na uprawiany proceder, oczywiście, ale jako CZŁOWIEK — osoba fizyczna)? Według mnie tym, że pierwszy WALCZYŁ o prawdę, a drugi dośzukiwał się prawdy...

JAN KAPLANEK

„JESTEM NIEWINNY”

Po przeczytaniu artykułu pana red. Kissona „Jestem niewinny” zamieszczonego w 41 numerze „Odgłosów”, gdzie wymienione jest również kilkakrotnie moje nazwisko, zacząłem się zastanawiać nad tym, komu ono może okazać się poprzednim. „Ty będzie kosztował” przynosił więcej szkody: czy osobom, o których autor pisał, czy szerokim rzeszom czytelników, o których wprowadza się w błąd przekazując informacje, które co prawda bulwersują i podniecają czytającą, ale niewiele mają wspólnego z tym co się nazywa rzetelną informacją.

Tematów do pisania dla dziennikarza wiele, lecz każda dziedzina wymaga choć trochę wiedzy fachowej, bo bez niej niestety, nawet przy talentach pisarskim ciężko stworzyć artykuł, który by nie pozostawiał wiele do życzenia pod względem merytorycznej treści opisywanych zagadnień. A przecież czytelnicy wierzą w słowo pisane, bo muszą wierzyć w to co się publikuje. Informacja potrzebna słowami publicysty dalej i dalej, nieinforma niepotrzebna fala dezinformacji oraz w najgorszym przypadku fala niepotrzebnych nikomu niezdrowych emocji, o tym czegoś nie było, bo być nie mogło, o tym co być powinno, mimo że nie było.

Już w pierwszych zdaniach artykułu „To będzie kosztowało”, spotykamy się z taką informacją, że „w pierwszym dniu rozprawy, trzy osoby zostały wyłączone do odrębnego postępowania ze względu na znikomość czynu przestępnego”. Informacja całkowicie błędna, a jakże szkodliwa dla tych, którzy czytają oraz dla tych, którzy zasiadają na ławie oskarżonych. A przecież wystarczyłoby być obecnym w pierwszym dniu rozprawy, aby dowiedzieć się z ust Sądu, że z uwagi na nieobecność trzech oskarżonych na rozprawie oraz odpowiednio dokumenty lekarskie złożone przez ich obrońców, świadczące o niemożności ich stawienia na rozprawie, Sąd wyłączył materiały ich dotyczące do odrębnego postępowania. Postanowienie takie, za padło tylko dlatego, aby nie trawmatyzować i pobudzić, gdyż w myśl obowiązujących przepisów, obecność wszystkich oskarżonych na rozprawie jest obowiązkowa.

Rozumiem, że pan red. Kisson mógł być w tym dniu zajęty i nie być na rozprawie, ale przed podaniem takiej informacji można było zażądać do protokołu rozprawy dowiedzieć się od kogoś kompetentnego, dlaczego tak się stało. Informacja ta była przynajmniej dla wielu oskarżonych, w stosunku do których zarzuty były bardzo niewielkie, gdyż poczuli się oni jakby „na zapas”. Już z nich rozmawiało ze mną na ten temat podczas prasy w rozprawie i prosili o spowodowanie sprostowania w prasie.

Jakby jednak nie było, artykuł ten jest niezbyt wlernie oddana, ale zawsze relacją z procesu.

W ostatnim numerze (41) „Odgłosów” ukazuje się niedawny artykuł, dotyczący tej samej sprawy pt. „Jestem niewinny”. Wynika z niego, że pan red. Kisson jest ogólnie niezadowolony z kar, które wymierzył Sąd Wojewódzki w Piotrkowie Tryb. nieprawomocnym jeszcze wyrokiem, a czyni to „biorąc na świadków” opinie publiczną. Jego zdaniem, wyrok, a zwłaszcza dotyczący Stefana B., rozniża się z odczuciem społecznym i zaraz potem dodaje z śmiechem „no cóż, Sąd kwalifikuje rzeczywiste czyny, a nie kieruje się pomysłami, odczuciami i emocjami ludzkimi”.

No, i całe szczęście — powinniśmy my, całe społeczeństwo wykrzyknąć zgodnym chórem, bo w przeciwnym przypadku nikt z nas nie byłby pewny tego, czy nie będzie skazany tylko dlatego, że go sędzieli lub koleży w pracy nie lubią. Kwalifikacja prawna, którą Sąd w rezultacie przyjął w stosunku do głównych oskarżonych, była problemem niezwykle skomplikowanym.

Obrońcy w swych przemówieniach poświęcał tej sprawie wiele miejsca i Sąd z pewnością wiele godzin spędził na przemyśleniu tej wyjątkowo trudnej konstrukcji prawa karnego. Jaka jest „szczególna odpowiedzialność” w rozumieniu art. 240 k.k. gdyż pod tym zarzutem stało pięciu oskarżonych. Sąd Najwyższy w Uchwale siedmiu Sędziów z 18 października 1974 r. wyjaśnił, że funkcja związana ze szczególną odpowiedzialnością, to taka, której pełnienie polega na samodzielnym podejmowaniu decyzji mogących wywołać istotne skutki zarówno w sferze interesów państwa, jak i w sferze życiowych interesów grupy obywateli lub jednostki. Na ten temat ukazywało się wiele innych orzeczeń Sądu Najwyższego, tak więc sprawą nie jest prosta i wiewu sawinów „lamie głowy” nad interpretacją prawną tego zagadnienia. Nie wiem jakie wykształcenie posiada pan red. Kisson, sądzę jednak, że chyba nie prawnicze, skoro ten temat jest dla niego prosty, jasny i bezproblemowy.

Cytując fragment ustnego uzasadnienia wyroku traktujący o przyjętej przez Sąd kwalifikacji prawnej, artykułu, który powstał znak zapytania. Dwa razy redaktor wyrokowi, dziwi się kwalifikacji prawnej, a razem z nim, po przeczytaniu jego artykułu, dziwi się będzie opinia publiczna.

Czy Sąd Wojewódzki przyjął prawidłową kwalifikację prawną, oceni Sąd Najwyższy, natomiast niedopuszczalną i szkodliwą społecznie jest sprawa, aby problem ten oceniał publicysta, nie prawnik, który nie może wdać się w polemikę prawną

zagadnienia, a ukierunkowuje czytelników wywołując przez świadectwo, że coś tu jest nie w porządku.

Poza tymi wywodami odnośnie wyroku, snuje redaktor swoje reminiscencje z lat sześćdziesiątych. Nie jest to już relacja z procesu, ale osobiste rozważania na temat stylu życia i bycia, a także zachowania i oceny pracy Stefana B. w tych latach. A czyni to w sposób wysoce niekonwencjonalny i obraźliwy, mający na celu wywołanie przeświadczenia u czytelników, że już od wielu lat wiadomo było, że tenże Stefan B., to „nie dobrze”. W tym miejscu należałoby sobie powiedzieć „stop”, jeśli pan redaktor nie jest entuzjastą uczestniczącym w procesach o zniesławienie. Została bowiem naruszona chroniona prawem dzielnica, do której to ochrony Stefan B. ma prawo w naszym kraju.

Fakt, że odpowiada on przed Sądem za czyny, które zarzucane mu są aktem oskarżenia, nie jest wystarczającym powodem, aby pomawiać go o inne czyny w latach, kiedy sprawował inne funkcje, niszczyć i „opluwać” cały dorobek jego życia i pracy.

Czy nadużywał prawa pełnić funkcję Sekretarza KMIP PZPR, czy zachowywał się „po chamsku”, tego mu nikt nie zarzucił i należałoby teraz to udowodnić, skoro się o tym pisze. „Zapamiętajcie sobie, że wywołanie przeświadczenia u czytelników, że już od wielu lat wiadomo było, że tenże Stefan B., to „nie dobrze”, to jest to, co się nazywa „nieuczciwym” „stop”, jeśli pan redaktor nie jest entuzjastą uczestniczącym w procesach o zniesławienie. Została bowiem naruszona chroniona prawem dzielnica, do której to ochrony Stefan B. ma prawo w naszym kraju.

A na zakończenie warto by się zastanowić nad tym, czy w publikacji pana red. Kissona nie przydałoby się nieco więcej „elegancji” w stosunku do obrońców i większego „stonowania” słów, nie jest to przecież artykuł „z rubryki towarzyskiej Piotrkowa”.

„Prasa stosuje manipulację, wołał obrońcy Stefana B.” — napisał red. Kisson.

Redaktor Jerzy Kisson-Jaszczewski, aczkolwiek niewątpliwie utalentowany dziennikarz, o całości prasy nie stanowi. Nie zakrywał przecież „prasa to ja”, a więc to nie prasa, a tylko publicystyka autora artykułów była przedmiotem zarzutów manipulatorstwa i nikt nie powinien mieć co do tego żadnych wątpliwości.

Piotrków Trybunalski, 8. 10. 1983 r.

ILONA NOWAKOWSKA-GÓRA
Adwokat
(Zespół Adwokacki nr 1 w Piotrkowie Tryb.)

OD REDAKCJI: Cieszy nas bardzo list, który przychodzi do nas, nawet wówczas, gdy jego autor nie zgadza się z nami, gdyż ma pod adresem pisma, czy któregoś z autorów uwagi krytyczne. Pierujemy się zasmada, która nakazuje nam publikowanie listów naszych Czytelników również i wtedy, kiedy nie zgadzamy się z ich poglądami i uwagami. Wówczas staramy się zaznaczyć odmienność naszego stanowiska. Tak też czynimy w wypadku listu pani mecenas Ilony Nowakowskiej-Góra. Nie możemy się bowiem zgodzić z ocenami pani mecenas na temat tego, jak powinny być pisane sprawozdania z procesów sądowych i że powinien to robić publicysta. Chcelibyśmy tylko przypomnieć pani mecenas Ilonie Nowakowskiej-Górze, że Jerzy Kisson-Jaszczewski w swoim artykule pt. „Jestem niewinny” zamieścił takie oto słowa:

„Publicysta ma obowiązki o wiele szersze, wykraczające poza akt oskarżenia, poza odniesienie do chwili ostatniej, do zderzenia z paragrafem”.

I tym obowiązkiem starał się być wierny. Inna to sprawa, jak się z tych obowiązków wywiązał: dobrze, średnio, zadowolająco czy zupełnie źle? Ocena taka powinna wynikać z merytorycznej polemiki, w której obie strony posługują się argumentami i nie dają się ponieść emocjom. Mamy poważną wątpliwość, czy pytanie o rodzaj wykształcenia Jerzego Kissona-Jaszczewskiego jest argumentem, czy też próba zdyskredytowania publicysty, z którym pani mecenas Ilona Nowakowska-Góra skurat się nie zgadza.

List pani mecenas Ilony Nowakowskiej-Góra nie jest odosobnionym przykładem reakcji na publikację kontrowersyjną, dyskusyjną, wywołującą różne emocje. Typowym dla takich reakcji jest powoływanie się na społeczeństwo i pouczanie dziennikarza, co i jak powinien robić. Proponujemy, aby tego rodzaju „polemiki” zastępować konkretnymi argumentami.

OBYCZAJE

Stanisław Cat-Maslowski w felietonie sprzed prawie pół wieku („Słowo”, 8 października 1936) pisze o tym, jak prof. Teodor Axentowicz został „pożegnany” przez widze po 35 latach pracy w krakowskiej ASP. Otóż, w dniu swego jubileusza otrzymał pismo tej treści: „Z dniem 1 września 1936 zwalniam Pana z zajmowanego stanowiska i stosownie do przepisów emerytalnych przesyłam Pana w stan spoczynku”. Podpis niezbytelnym.

Listem w łódzkiej prasie ukazał się list aktorki i pedagoga Ewy Z. adresowany do dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UML, Ryszarda C. Pisze tam:

„Moja 30-letnia twórcza praca w tym wydziale, które już dawno nadało mi zaszczytny tytuł Honorowego Obywatela — skłóciło jedno dzieło „kwiatka” papieru urzędowego. Zawarte tam jest tylko jedno zdanie, z którego dowiaduję się, że w dniu 20. XII, 1936 roku osiągam wiek emerytalny i koniec jest mojej pracy w teatrze...” Odczytuję z tego listu, ponieważ gdzie indziej, na szczęście, są jeszcze potrzebne moje umiejętności tak aktorskie, jak i pedagogiczne...”

Smutny to list, choć wątpliwy czy adres, pod który został skierowany, jest akurat właściwy. Szanowny dla aktorki nie jest bowiem moim zdaniem dyr. C., skądinąd głównym współtwórcą programów telewizyjnych: „Dobry wieczór, tu Łódź” oraz autora szlagierów piosenkarskich.

Jednak największym szlagierem UML jest obyczaj: „Przed niego dyrekcji Wydziału Kultury i Sztuki UML.

Oto nam przed sobą komplet dokumentów sądowych: „Andrzej D. kontra Estrada Łódzka”. Z aktorem Andrzejem D. zawarto umowę na 10 koncertów w Toruniu. Późem współorganizator, ZPR z Torunia, wycofał się z Torunia. Późem Estrada umowna kara ponad 193 tys. złotych. Aktor, zawiadomiony w ostatniej chwili o odwołaniu „trasy”, został na łódzie. Zażądał wypłaty połowy honorarium. Dyr. C. odmówił. Aktor oddał się do sądu — wygrzywając sprawę w obu instancjach. Pozostał jednak niesmak, choćby po piśmie, w którym dyr. C. pisze: „Zleceńobiorcy przysługują wynagrodzenie tylko za faktyczne wykonanie czynności...” Powiadamy — ale przesłanie zleceńobiorcy — Estrada — też nie wykonano („czynności”, a forse od ZPR wzięła. Sąd stanął na stanowisku, że (czytując z uzasadnienia wyroku): „Z ustaleń dokonanych w sprawie wynika, iż powód był gotów wykonać dzieło, lecz nie doszło do tego wobec odwołania imprezy. Dla powoda zamawiającym była Estrada i od niej też należało się powodowi wynagrodzenie. Z tego wynika, iż wyniosłoby ono 24 tys. zł. Powód dochodzi połowy należnego wynagrodzenia, to jest kwoty 12 tys. zł. Bezsprzeczne jest przy tym, iż pozwana Estrada otrzymała od ZPR — Oddział w Toruniu 50 procent należności za odwołaną imprezę. Dysponuje więc funduszami na wypłatę wynagrodzenia dla powoda (...). Należy odwołać imprezę w przeddzień ualeńowliwko powodowi Wykorzystanie wolnego czasu w wydaniu innej imprezy”.

Dyr. C. jeszcze jako szef Estrady, miał znakomity pomysł na rentowność przedsiębiorstwa. Wystarczyło zawierać z innymi kontraktami umowy na imprezy, potem aranżować odwołanie i połowa sumy trafiałaby do kasy. Aktorem — oczywiście, nie płacono by nic, tak jak to chciano zrobić z Andrzejem D. Ten jednak się uparł — współpracując z innymi przedsiębiorcami estradowymi i nie jest „skazany” wyłącznie na Łódź... Inni wykonawcy z tej samej afery — niestety — bał się wystąpić do sądu i sędzię nie dostali. Nawiasem mówiąc, w ostatnim czasie Estrada Łódzka przegrała jeszcze dwie podobne sprawy, w których zaprzętała nonszalanckimi i lekceważąc stosunek do swoich pracowników. Dzieki Bogu, że ludzi kultury bronią jeszcze sądy. Bo strachu kultury, co by było, gdyby byli skazani tylko na obok Wydziału Kultury i Sztuki.

JERZY WILMAŃSKI

Instytucje prawne mają trudności w rozwiązywaniu problemów, które nie są jednoznaczne z okrucieństwem lub zagrożeniem życia. Granica między zwykłym kłopotem a brutalnym biciem jest bardzo płynna. Natomiast w przypadkach seksualnego wykorzystywania dzieci sprawa jest oczywista. Kazirodztwo, określane zazwyczaj jako współżycie między krewnymi, jest karalne we wszystkich stanach. Przesłany seksualnie nie będący członkami rodziny mogą być oskarżeni o gwałt, napaśtowanie dzieci lub podobne wykroczenia. Pedofile mogą atakować zarówno własnych synów lub córki, jak i dzieci bawiące się na podwórzu. Kuracja w tych przypadkach na ogół nie daje wyników, jakkolwiek zastosowanie terapii hormonalnej może niekiedy okazać się skuteczne.

Niezależnie od rodzaju wykroczeń często dochodzi do kontrowersji między policją, która ma obowiązek prewencyjnego ścigania przestępców, a instytucjami społecznymi, które przede wszystkim starają się pomóc rodzinom w rozwiązywaniu ich trudnych problemów, tak aby nie trzeba było ich rozłączać. Kiedy zaś nie ma szans na zmianę sytuacji władze często nie mogą ustalić kogo trzeba zabrać z domu — dorosłego przestępcę czy dziecko, które jest jego ofiarą. Ponieważ łatwiej jest zabrać dziecko, niż zmusić wyrodnego oca lub matkę do opuszczenia domu, najczęściej tak właśnie rozwiązuje sprawę.

Wszyscy przedstawiciele władz są jednak zgodni co do tego, że dziecku nie można pomóc, jeśli nie ma się informacji na temat jego tragedii. Zarówno funkcjonariusze policji, jak i pracownicy społeczni potępiają lekarzy — zwłaszcza w szpitalach prywatnych, którzy składają złamane kończyny lub leczą zadane dzieckom obrażenia nie podejmując żadnego działania, aby zapobiec w przyszłości takim „wypadkom”. „W większości przypadków to co opowiadają rodzice nie pokrywa się z diagnozą lekarzy — mówi dr Annette Flicker, pediatra z Children's Hospital National Medical Center w Waszyngtonie, gdzie co roku przyjmuje się około 600 dzieci maltretowanych przez rodziców, przejawiających na to seksualnym. (Dwuletnie a nawet młodsze dzieci mają opryszczkę i rzeżączkę, a także różne zakażenia jamy ustnej, odbytu i narządów rodnych). Naszym podstawowym obowiązkiem, jako lekarzy — mówi dr Flicker — jest rozpoznanie przypadku i doniesienie o tym władzom”.

Sprawa ta ma również wyraźny aspekt klasowy. Lekarze, naukowcy i funkcjonariusze policji raczej nie oskarżają ludzi bogatych o bicie lub maltretowanie dzieci, nawet jeśli mają na to dowody. Szpitale i instytucje społeczne interweniują przede wszystkim w sprawach rodzin biednych. Jednakże związek między wzrostem bezrobocia a zwiększeniem się liczby przypadków katowania dzieci zdaje się wskazywać, że brak pieniędzy powoduje zwiększoną nerwowość rodziców, zwłaszcza gdy dziecko za długo krzyczy lub jest niesfornie. Jak twierdzi wskazuje Betty Singer, kierowniczka ekipy leczącej dzieci z urazami psychicznymi w szpitalu dziecięcym w Bostonie, „wszyscy rodzice zdolni są do maltretowania potomstwa”.

Istotnie, wielu ekspertów kwestionuje pogląd jakoby przypadki znęcania się nad dziećmi zdarzały się głównie w okęgach wiejskich. Ich zdaniem zdarzają się one równie często w miastach, a także w klasach średnich i wyższych. Nie zawsze też ofiarami są dziewczęta. Homoseksualizm w stosunku do małych chłopców jest bardziej rozpowszechniony niż się przypuszcza, jakkolwiek brak dokładnych danych. Nie ma również danych na temat kazirodczych stosunków między matkami i synami.

Trudno jest ustalić ofiarę, ale jeszcze trudniej udowodnić winę dorosłym. Dzieci ze zrozumiałych względów boją się oskarżyć rodziców, a jeśli już to czynią rodzice z reguły zaprzeczają wszystkiemu, a władzom trudno jest sprawdzić czy zeznanie dziecka można uznać za wiarygodne. Mimo że jest to bardzo przykra procedura, niektóre grupy konsultacyjne zalecają przeprowadzanie jawnych konfrontacji między rodzicami a poszkodowanymi dziećmi.

Grupy konsultacyjne mają także za zadanie tak kierować dziećmi, aby nauczyły się rozpoznawać, co w zachowaniu rodziców jest niernormalne. Oczywiście dzieci nie znają terminów anatomicznych, ale gdy się im daje lalki z genitaliami potrafią wskazać, co im się przydarzyło. W niektórych okęgach szkolnych zaprasza się specjalistów od tych spraw do młodszych klas, aby pokazywali dzieciom różnicę między „dobrym” a „złym” dotykaniem. W szkole w Columbus specjalista tak oto tłumaczy uczniom na czym polega owa różnica: „Dobre dotykanie to kiedy po powrocie ze szkoły mówisz tatusiowi, że masz piątkę z czytania a tatuś głaszcz cię po plecach i mówi, że jest z ciebie dumny. Wtedy dobrze się czujesz wewnątrz. Czasami jednak ktoś kogo znasz i kochasz, nawet ktoś z twojej rodziny może próbować dotykać cię w ten sposób, który napienia cię lejdem lub wrowadza w zakopotań, a nawet sprawia ból. Wtedy musisz o tym komuś powiedzieć”.

Co powinien zrobić człowiek postronny, gdy dziecko wyzna mu, że rodzice go maltretują? Przede wszystkim, jak mówi specjalista, powinien dziecko uwierzyć; dzieci rzadko wymyślają sobie takie historie. Po drugie, dorosły powinien powiadzić dziecku, że nie należy trzymać tego w tajemnicy, a następnie powinien sprawdzić czy dziecko może bezpiecznie wrócić do domu. Postronny dorosły może spotkać się z przestępcą i przeprowadzić z nim rozmowę, może też przestrzec kogoś innego z rodziny dziecka lub postarać się o pomoc profesjonalistów. W większych miejscowościach są na ogół instytucje opieki nad dziećmi, ośrodki zdrowia psychicznego, szpitale dziecięce i specjalne wydziały policji zatrudniające fachowców od spraw przestępstw seksualnych.

Szczególnie ważne są dwa systemy, obsługiwane zazwyczaj przez ochotników: pierwszy to tzw. gorąca linia dla rodziców, którzy nie panują nad swoimi emocjami i mogą w każdej chwili wyrzucić krzywdę dziecku; wówczas wystarczy zatelefonować i nie przedstawiając się podzielić się swoimi problemami z życzliwym słuchaczem, który odpowie:

— Proszę uderzyć czymś ciężkim w stół, policzyć do dziesięciu, cokolwiek zrobić, ale broń Boże nie bić dziecka.

Drugi system to tzw. ośrodek kryzysowy, gdzie można umieścić dziecko dopóki w domu utrzymuje się wybuchowa sytuacja. Rodzice i dzieci często mogą się tam „spotykać w neutralnym środowisku i rozładować swą napięcia przy pomocy doświadczonych doradców.

Chroniczni lub potencjalni wyrodni rodzice mogą się nauczyć kontrolować swe impulsy przy pomocy grupy Anonimowych Rodziców, wzorowanej na grupie Anonimowych Alkoholików. Niektórzy eksperci twierdzą bowiem, że kazirodztwo, podobnie jak alkoholizm i narkomania, zmienia nastroj człowieka, gdyż pozwala mu chwilowo uciec od samotności lub nieprzystosowania. „Przesłany seksualnie i ludzie uzależnieni od środków pobudzających mają te same wzorce myślenia” — mówi Richard Seely, dyrektor programu intensywnego leczenia zbrojeń seksualnych w Minnesota Security Hospital w St. Peter. Ostatnio jednak zarówno na szczeblu federalnym, jak i stanowym ogranicza się fundusze na prace w tej dziedzinie, mimo że plaga seksualnych przestępstw, popełnianych na dziećmi zdaje się wzrastać. Fundusze prywatne nie mogą wypełnić luki. W tej sytuacji trudno jest zaspokoić potrzeby w zakresie ochrony i leczenia poszkodowanych dzieci, które przeżyły piekło, trudno też prowadzić badania nad rozwiązaniami długoterminowymi. Z pomocą dla nieszczęśliwych dzieci nie można zniekać — mówi Roy T. Bowles, wykładowca na wydziale pediatrii w Harvard Medical School. Nie

możemy dopuścić, aby złożoność problemu skrepowała nam ręce.

Stawką jest tutaj najcenniejszy kapitał Ameryki — kapitał ludzki. Jest nią również zwykła ludzka godność. Skoro wilki, niedźwiedzie i ptaki tak skrupulatnie troszczą się o swe potomstwo, dlaczego ludzie czynią ze swych dzieci ofiary bicia, kopania i perwersji seksualnej? Dzieci, które tak bezgranicznie potrafią kochać i ufać, zasługują na lepszy los. Jak mówi sierżant Dick Ramon, szef wydziału przestępstw seksualnych policji w Seattle, „znęcanie się na dziećmi jest największą zbrodnią, najwyższą zdradą”.

BICIE ŻON — ZBRODNIĄ W MILCZENIU

Bicie żon to właściwie nic nowego. Zdarzało się zawsze i wszędzie. Często się je akceptuje jako naturalny, chociaż godny ubolewania element statusu kobiety — własności mężczyzny. Na przestrzeni dziejów wiele nieszczęśliwych kobiet narażonych było na uderzenia pięści i brutalność małżonków. Znanie określenie „prawo kciuka” pochodzi zapewne stąd, że dawniej mąż miał prawo bić żonę sznurkiem „nie grubszym niż kciuk”. Jak wykazują statystyki amerykańskie, około miliona żon (przy czym pojęcie „żony” obejmuje również konkubiny) jest co roku napaśtowanych przez mężów, dwa do czterech tysięcy żon jest co roku pobitych na śmierć. Pobicie jest główną przyczyną obrażeń u kobiet — w większym stopniu niż wypadki drogowe, gwałty czy napady. Stwierdzono też, że 1/3 wezwań policji to wezwania do awantury rodzinnych.

Home, sweet home...

Novum wszakże polega na tym, że bicia żon nie uchodzi już w Stanach Zjednoczonych za rzecz nieuniknioną i ściśle prywatną. Ta zmiana postaw, jakkolwiek niepełna, nastąpiła w ciągu ostatnich 10 lat jako jeden z elementów głębokiego przeobrażenia koncepcji dotyczących roli i praw kobiet w społeczeństwie. Działając w całym kraju struktury prawne i organizacje społeczne, inspirowane przez stowarzyszenia kobiece, określają obecnie maltretowanie żon jako naruszenie praw obywatelskich ofiary i akt przemocy podlegający takim samym karom jak inne przestępstwa.

Maltretowanie żon nazywa się „zbrodnią w milczeniu”. Mówienie o nim głośno jest pierwszym krokiem w kierunku jakiegoś rozwiązania. Ale dla większości ludzi, w tym także dla ofiary i przestępcy, odruchową niejako reakcją jest zaprzeczenie, jakoby miało miejsce tego rodzaju wykroczenie. Jak wynika ze sprawozdania FBI w 1979 roku, 40 procent zabitych w tymże roku kobiet było zamordowanych przez mężów, a 10 procent zabitych mężczyzn zginęło z rąk swych partnerek (większość kobiet działała w odruchu samoobrony).

Z racji swej przewagi fizycznej mężczyźni rzadko bywają bici przez żony, a poza tym, jeśli już do tego dochodzi, dumą nie pozwala im składać skargi. Jednakże socjolog Murray Straus oblicza, że co roku 282.000 mężczyzn jest pobitych przez małżonki.

Jak wynika z osobistych relacji, bicia może być każda kobieta, niezależnie od rasy czy przynależności klasowej. W Stamford w stanie Connecticut żona pewnego dyrektora w każdy sobotni wieczór zamykała się w swym luksusowym samochodzie Lincoln Continental, aby uniknąć kopniaków i razów. Nie odeszła jednak od niego, ponieważ bała się — zresztą niesłusznie — że mógłby wystąpić o rozwód z jej winy, a wówczas nie dostałaby żadnych alimentów i zostałaby bez środków do życia.

30-letnia Barbara, gospodyni domowa z warstw średnich w South Hadley w stanie Massachusetts pierwszy raz została pobita przez męża, gdy była w ciąży. W lecie ub. roku mąż Barbary rzucił w nią talerzem, ale chybił. Talerz rozbił się o ścianę, a odłamek ranił w twarz czteroletnią córeczkę, powodując utratę oka.

27-letnia Diana, recepcjonistka z Miami mówi, że poślubiła „bardzo fajnego faceta” — dra Jekylla, który w tydzień po ślubie zamienił się w Mr Hyde'a.

— Małżeństwo w tym człowiekiem przypominało obóz koncentracyjny. Nie wolno mi było odwiedzać rodziny, nie mogłam nawet sama wychodzić. Nie pozwalał mi płakać, a gdy zobaczył iż zaczynałam rozrabiać.

Lola przebywająca w schronisku dla katowanych kobiet w Duluth, wyszła za mąż przed 19 laty w wieku 18 lat. Lola opowiada, że ostatnio mąż coraz częściej traci panowanie nad sobą. Złościł się o byle co, o to, że nie od razu otworzyła drzwi, gdy on stał z siatką pełną zakupów, o to, że rzekomo źle plórgo odzież, że kolacja jest podana za późno albo za wcześnie.

30-letnia Rita z Atlanty opowiada reporterowi Timesa, Rogerowi Witherspoonowi, jak to pewnego dnia rozprawił się z nią jej 40-letni mąż William. Było to w czasie zabawy dziecięcej, którą Rita urządziła dla dzieci sąsiadów. W pewnym momencie William wywołał żonę do sypialni. — Uderzył mnie pięścią między oczy, a potem zjął ze ściany karabin i zabronił mi się ruszać. Zaczęłam płakać i zapytałam dlaczego tak się nade mną pastwił. Wtedy podał mi nóż, nazwał mnie wiedźmą i innymi jeszcze epitetami. Prosiłam go, aby się nie awanturował ze wzglę-

du na obecność dzieci i ich rodziców. Ale on wyszedł z pokoju i kazał wszystkim opuścić dom. Potem kazał mi się położyć do łóżka i zapowiedział, że będziemy się kochać. Odmówiłam. Ale on miał przy sobie nóż i zranił mnie w twarz. Musiałam wleć pojsć z nim do łóżka. Jeszcze długo potem leciała mi krew z nosa.

W bardzo wielu przypadkach okrutni mężowie używają noży lub karabinów. 48-letni Harry Whalen, instalator zasłony w Los Angeles, został skazany na dożywotnie więzienie za zabójstwo swej czwartej żony, 35-letniej Betty. Żona jego schroniła się w przytulku dla kobiet w Long Beach i wystąpiła o rozwód. Whalen dopadł ją w biurze adwokata i bagał, aby pojechała razem z nim do dziecku. Betty w końcu wstąpiła do ciężarówki i pojechał. W trzy miesiące później zwłoki jej znaleziono na pustym terenie daleko za miastem; została zabita wystrzałem w twarz. Jedną z byłych żon Whalena opowiadała później, że jej również groził zabójstwem.

Wielu mężczyzn, a nawet wiele kobiet uważa, że katowane żony mają skłonność masochistyczne i dlatego nie odchodzą od mężów. Camella Serum, psycholog z Michigan odrzuca jednak ten argument. — Masochizm nie ma nic wspólnego z tą sytuacją — jest to po prostu jeszcze jeden sposób przerzucania winy na ofiarę. Kobieta zostaje przy mężu wcale nie dlatego, że pragnie być katowana.

Bicie odbywa się zgodnie z określonym cyklem; najpierw narasta napięcie, potem następuje gwałtowna eksplozja, wreszcie przychodzi okres skruczy i wyrzutów sumienia, który pozwala żywić nadzieję, że oprawca się zmieni i będzie znów kochającym mężem. 26-letnia Karla Digirolo kierująca komisją do spraw przemocy w środowisku rodzinnym przy gubernatorze stanu Nowy Jork, opisuje swe doświadczenia z pierwszego małżeństwa, jako typowy przykład. Gdy była w ciąży mąż pewnego dnia złamał jej nos. Mówiła jednak wszystkim, że upadła. Ginekolog nigdy nie pytał skąd pochodziła sińca i wybroczyny na jej ciele. „Czułam się nic nie warta, godna potępienia, odpowiedzialna za postępowanie mojego męża. Mówiłam sobie, że gdybym inaczej się zachowywała, sytuacja by się poprawiła. Człowiek się zmienia. Trzeba sobie powiedzieć: jeśli przestanę robić to czy tamto nic się nie stanie. Trzeba ponieść całą odpowiedzialność”.

Jeśli po pierwszym pobiciu żona nie odchodzi od męża lub nie szuka pomocy, może to być pocyżane za oznakę zgody, co zazwyczaj skłania do dalszych aktów przemocy. Niezmiernie trudno jest jednak tak od razu spakować rzeczy i odejść, nawet jeśli kobieta może na to sobie pozwolić. Jak mówi Jane Tolliver, adwokatka wydziału do spraw kobiet katowanych przy Y.W.C.A. w Atlancie, „duchowni stale poczynają kobiety, że dobra żona może zmienić mężczyznę. Te kobiety reprezentują tradycyjne wartości społeczne. Pragną dobrego małżeństwa. I właśnie przez takie historie wpadają w pułapkę”.

Często się zdarza, że katowana kobieta wyrosła w atmosferze przemocy i akceptuje ją jako coś nieuchronnego. Taką kobietą może myśleć, że świat jest niebezpiecznym miejscem i że potrzeba jej opiekuńcy, nawet takiego, który ją bije. Niejedną katowaną kobietą, upokorzoną, przerażoną perspektywą okrutnego odwetu w razie stawienia oporu, odeprowadzania od rodziny i przyjaciół, często pozbawioną własnych środków utrzymania, po prostu godzi się na niewolę, z której wyzwolić ją może tylko śmierć męża lub jej własna. Studium opracowane przez jeden z największych szpitali amerykańskich wykazało, że spośród kobiet, które próbowały odebrać sobie życie, 25 procent było bitych przez mężów.

Awantury rodzinne mają fatalne skutki nie tylko dla samych protagonistów. W artykule w „Police Magazine” z 1978 r. czytamy, że 40 procent obrażeń i 20 procent zgwałceń policjantów w czasie pełnienia obowiązków służbowych było wynikiem interwencji w sporach domowych. Niezależnie od ryzyka, poważnym obciążeniem dla funkcjonariuszy jest odpowiadanie na wezwania telefoniczne. Przyjmując zgłoszenie policjant nie jest zawsze chętny do interwencji, ale przerażona kobieta, która dzwoni na posterunek woli nieprzyjemną reakcję niż żadną. Sierżant Louis Macuso z 9 okręgu w Manhattan uważa, że aresztowanie delikwenta nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem. Jego zdaniem agresję mogą wywołać specyficzne okoliczności. „Może np. żona nie zadowolona męża seksualnie i to powoduje u niego wybuch gniewu” — mówi zastępca szefa policji w Detroit James Bannon.

Lekarze, pracownicy społeczni i psychiatry często mniej mogą pomóc niż policja. Ewa Stark, pracownik badawczy Instytutu Badań Społecznych w Yale i jego żona dr Anne Filcraft opracowały studium, w którym dochodzą do wniosku, że zawód lekarza i instytucje społeczne „są zasadniczą częścią syndromu bicia. Traktują kobiety jakby były warłakami”. Lekarze często nie odnotowują objawów maltretowania, określają kobiety jako hipochondryczki lub psychopatki, zapisują środki uspokajające i odsyłają pacjentki do lekarza domowego, „wywołując w nich wątpliwości do swej pocztytalności”.

Pierwsze schronisko dla bitych kobiet powstało w prywatnym domu w Pasadenie w Kalifornii, w 1964 roku. Obecnie w całym kraju jest około 800 takich domów. Kandydatki przybywa z każdym rokiem i trzeba długo czekać na miejsce. Sama Y.W.C.A. prowadzi 210 schronisk i programów takich jak gorąca linia, akcja „bezpieczny dom” i poradni, działających w 30 stanach. W okresie od 1978 r. do 1980 r. Y.W.C.A. przyjęła do swych domów 46.000 kobiet i dzieci oraz udzieliła porad 50.000 kobiet. Jednakże nie można obsłużyć nawet 80 procent potrzebujących pomocy. Jak na tronie w 14 stanach finansuje się sieć usług dzięki specjalnym podatkom od zezwoleń na ślub.

Mama jest dobra, mama jest szczęśliwa, mama jest miła, mama jest bardzo, bardzo ładna. Te miłe słowa wypisało na plakacie dziecko, którego matka znalazła przytułek w Crescent House, pierwszym schronisku dla bitych kobiet w Nowym Orleanie. Crescent House obsługuje ponad 500 klientów rocznie, a jeźdnorazowo przebywa tam 25 kobiet i dzieci. Podobnie jak wszystkie tego rodzaju placówki, jest to przede wszystkim miejsce gdzie kobieta może się ukryć przed mężem brutalnym. Kierownictwo domu pomaga także pensjonariuszkom zorientować się w zawikłanych świadczeniach socjalnych i procedur prawnych, a także podsuwa im projekty urządzenia sobie przyszłego życia. Nie mniej ważne znaczenie ma fakt, że schronisko jest miejscem, gdzie kobiecie wierzają i wysłuchują ją. W 13 procentach przypadków znaczenia się nad żonami ofiarami okrutników są również dzieci i im także schronisko zapewnia pomoc.

IMMATHATHEIMAM WESZY
c.d.n.

(„TIME”)

MY I MAMINSYNKI

Naszym najbezpieczniejszym i legalnym miejscem zabaw był park Sienkiewicza. Zmęczymy nas bowiem nieustająca wojna z „Profesorem” Mantinbaudem i dozorcą, poczciwym Panem Walentym. Tu w parku nikt nam nie pomstował, nie przeganiał. Można się było tu nagać do upadłego, a w niektóre dni wejść nawet bezpłatnie do Muzeum Przyrodniczego, poglądnąć egzotyczne, spreparowane ptaki i motyle. W głównej alei parku zawsze ruchliwe, bo stanowiącej przejściową arterię między ul. Sienkiewicza a Kilńskiego, mogliśmy odczuwać się do woli uciecznemu zajęciu nabijania przedmiotów w butelkę. Polegało na tym, że chowaliśmy się w krzakach porzucając na aleję starą, ale solidnie wyglądającą sakiewkę wypchaną gazetami i przywiązaną naturalnie solidnie szpagatem, którego drugi koniec znajdował się w naszych rękach. Czekaliśmy teraz w napięciu kto się na ten numer złapie. Nie czekaliśmy zbyt długo. Zawsze się znalazł ktoś zainteresowany przedmiotem leżącym na ziemi. Kulminacyjny punkt zabawy zbliżał się do zenitu, gdy przechodzień schylał się do sakiewki i już, już dotykał jej palcami, gdy tu nagle i niespodziewanie wyrywała się spod jego ręki i znikała w krzakach, rozbrzmiewających rozważnym chichotem.

Park był ulubionym miejscem spotkań różnego rodzaju bon, panien do dzieci, czy pospolitych kuch, dozorujących dzieci łódzkiej elity.

Były to z reguły dzieci stanowiące żaźnię przeciwności naszej gromadki. Różnica ta uwidaczniała się w ubiorze, zachowaniu, wymowie i co było najlepiej widoczne — w sposobie odżywania. Taki spasyony 10-latek ubrany w aksaminne ubranko z białym kołnierzykiem i w lakierkach na nogach, wcinający do bułki z szynką, to znów maślana buleczka z masłem, o ile chciał dostąpić zaszczytu bawienia się z nami, musiał się najpierw „wkupić”. Zależnie od sytuacji cena wynosiła jedną, czasem dwie bułki z szynką. Podchodził taki maminsynek do swojej opiekunki — fasował żarcie — a potem grzecznie dygając pytał wytwornie:

— Proszę Janki, czy mogę sobie teraz trochę pobiegać?
— Niech Henio pobiega — padało łaskawe przyzwolenie — tylko niech Henio rowerka nie bierze.

Mieliśmy niezmierną uciechę, gdy Hela od dozorców spod czternastego — kościasta gdyja o bladej piegawatej twarzy i ze znacznym ubytkiem w uśmiechu, małpowała trochę paniąkę do dzieci. Siadała mianowicie na ławce, drapowała brudną i podartą sukienkę na gołych kolana, bosa i czarna od brudu nogi skrywała pod ławkę. Podchodził do niej jeden z naszych małych i nieudolnie nasłuchując maminsynka dygotał grzecznie i spełniając prośbę o pozwolenie oddalenia się. Hela patrzyła na nieszczęśliwą z wysokości ławki. Jej twarz tchnęła monarszym dostojenstwem i powaga. Zarówno nieszczęśliwą, jak my wszyscy pozostali mieliśmy wówczas ochotę paść na kolana i ukorzyć się przed jej majestatem (co zresztą często dla draki robiliśmy) nim z jej ust padła wytworna i odpowiednio modulowana odpowiedź:

— Niech Kazio pofidzie, Ino niech Kazio weźmie ze sobą kanapkę ze szprotkami. I niech się Kazio w główne jakimś nie uwala, bo nogi z dupy powyrwywam.

Maminsynkami gardziłyśmy i często byliśmy dla nich okrutni. Maminsynek nieraz gorzko żalował wkupienia się do naszej gromadki. Jeżeli był wyjątkowo wredny i drażnił nas swoimi egzotycznymi innościami, urządzaliśmy mu zabawę w „szlachetnego” czyli „dupnika”. Na wabia szedł jeden z naszych. Schylał się na ławce, chował twarz w dłonie i czekał. Otrzymał wreszcie klapsa w tyłek z gładką ręką oberwał. Zmiana następowała wówczas, gdy trafnie wytypował. Maminsynek stał razem z nami, ale jeszcze się wahał, jeszcze udziału w zabawie nie brał. Ponaglany przez wszystkich na migi, wreszcie się decydował. Uderzenie było płochliwe, delikatne. Uderzony nieomylnie wskazywał na maminsynka. I wtedy dopiero gra stawała się atrakcyjna. Maminsynek odbierał w dupę coraz częściej i coraz silniej i naturalnie nigdy nie mógł zgnać czyja to ręka zadawała cios (tak było ukartowane). Rychło więc tracił ochotę do dalszej zabawy, ale... aby przerwać grę musiał się zawsze wykupić żarciem. Następowala więc znana ceremonia dźwiania, zezwolenia i fasowania kanapki. Grubas przybiegał, wykupywał się i natychmiast pośpiesznie oddalał.

ZOSTAŁEM OFIARĄ SADYSTY

Po niewypale z karierą masarza, poprzez znajomych starego dostawcę do firmy „Gwoździński i Syn” tapicer-dekorator. Na Gdańską zaprowadziła mnie matka. Firma mieściła się w parterowym domu. W części frontowej był sklep z dwoma dużymi oknami wystawowymi, a na jego zapleczu od podwórza obszerny warsztat. Pan Gwoździński, niski i szcuple, wieczny zabiegany mężczyzna zajmował się handlową działalnością firmy, a syn jego — współwłaściciel firmy — kierował 7-osobowym zespołem pracowników, pracując zresztą na równi razem z nimi. Firma produkowała stylowe meble miękkie, tapczany, kanapy, fotele, puffy itp. i wyspecjalizowana była również w dekorowaniu wnętrz.

W hierarchii służbowej firmy zajmując stanowisko najniższe — darmowego terminatora. W praktyce było jeszcze gorzej. Już pierwszego dnia, zamiast zajęć w przestronnym i widnym, choć nieustannie zagraconym warsztacie zaprowadzono mnie do piwnicy pod oficynę, stanowiącą magazyn surowca. Dół piwnicy zalegał bał trawy morskiej splecionej w workocze. Moim zadaniem było rozkręcanie workocze na specjalnym kołowrotku, a następnie przepuszczanie przez szybko obracający się

repcnie bęben z kołkami, nadający trawie morskiej niezbędną elastyczność i puszystość. W piwnicy było tylko i okratowane okienko o wymiarach 30 na 30 centymetrów mieszczące się pod samym sufitem. W czasie pracy bębna tworzył się niesamowity kurz, który z braku wentylacji unosił się w powietrzu i powoli z powrotem osiadał. Po dwóch godzinach pracy wyglądałem jak upiór, cały pokryty kurzem. Przy każdym splunięciu wydalałem z siebie gęstą papkę czarnego błota.

Próbowałem przechrztyć los, otwierając drzwi piwnicy, aby stworzyć trochę przeciągu. Wywołało to jednak natychmiastową interwencję lokatorów z mieszkań mieszczących się nad piwnicą, którym kurz wydobywający się z piwnicznego okienka wciąkał się do mieszkań. Wezwany majster Gwoździński-junior, opieprzył mnie i zakazał takich praktyk. W piwnicy tej spędziłem cały koszmarny tydzień. Tyle trzeba było czasu na przygotowanie surowca do bieżącej produkcji. Mogłem już podjąć pracę w warsztacie, gdzie — jak mi się przynajmniej wydawało — było widać, cieplej i

KAROL TOMPOREK

Ulice mego dzieciństwa

gdzie nie czuło się takiego osamotnienia. O jakże gorzko się pomyliłem! Rychło miał przyjąć czas, w którym obłędnie uciążliwą pracę w piwnicy traktować zacząłem jako bezpieczny azyl, a przesadywanie w tumanach kurzu rozjasnionych mizerną żarówką, jako najbezpieczniejszą przystan zezwalającą nawet na śnięcie marzeń, do czego zresztą miałem wyjątkowe predyspozycje. Piwnica była moją uczęszczaną przed... juniorem Gwoździńskim. Był to wysoki, przystojny, wysportowany mężczyzna o nieprzeciętnej sile i wyjątkowo okrutnym usposobieniu. Do dziś nie wiem dlaczego, ale od początku usposobił się do mnie nieprzyjemnie. Nie szczędził mi niezastudzonych posztuchowań i niewybrednych epitetów, z których „gnójek” było szczytem wykintu i odznaką wyjątkowo dobrego humoru. To on obrzydzał mi systematycznie życie, to on doprowadzał do tego, że jedyną dni bez łez upokorzenia — to były dni spędzone w piwnicy. Bałem się panicznie tego człowieka i rychło przyszedł taki czas, że z całą dziecięcą zawziętością zacząłem go nienawidzić, życząc mu w duchu najgorszych plag i nieszczęść.

W warsztacie pracował Pan Jan, ojciec dwójga dzieci, z których jedno było w moim wieku. Jego stosunek do mnie był taki, że nie czułem różnicy między moimi 14 a jego 40 latami. Traktował mnie jak równego sobie kolegę, często rozmawiał. Zdarzyło się, że któregoś poniedziałku Gwoździński-junior przyszedł do pracy w wyjątkowo złym humorze. Czeladnicy wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia i na ogół starali się nie reagować na rozliczne ciskane przez Juniora wyzwiska. Byli z tym oswojeni i doskonale znali przyczynę złego humoru swojego majstra. Majster — dziwkarz pierwszej klasy i erotoman znany był z tego, że co miesiąc wymieniał swoje obłubienice. Był zresztą na tyle głupi i zarozumiały, że dużo i chętnie o tych sprawach mówił, zarówno we wstępnej fazie podboju, jak i później, w detalach, nadając swoim opowieściom wulgarno-soczyste ubarwienie.

Byłem mimowolnym słuchaczem tych opowieści. Z początku niewiele z tych barwnych opisów rozumiałem, domyślając się jedynie, że mowa jest o jakichś świństwach — później udawałem, że nie rozumiem. Opowieści te toczyły się przy powszechnym prawie aplauzie i współudziale czeladników skłonnych do schlebienia pryncypałowi w ogóle, a przy tym „mieskim” temacie w szczególności. Szczytem wszystkiego, przy omawianiu detali techniczno-baletowych, było zwracanie się do mnie jak do arbitra pytaniem: a ty Zdzisiu, co byś z nią w tym momencie zrobił? W tym ubawie nigdy nie brał udziału Pan Jan. Uświadomiłem sobie, że był on również jednym w tym zespole nie nadskakującym majstrowi pracownikiem. Później zrozumiłem, że między Janem a Juniorem tkwił od dawna zakiełty antagonizm.

No więc — jak się rzekło — tego poniedziałku było wszystko zupełnie inaczej. Czeladnicy milczeli, każdy zajęty swoją pracą, tylko majster szalał po warsztacie rzucając obficie „cholera” i gniewnie błyskając przekrwawionymi od przepicia oczami. Burza wiała w powietrzu i przyszła nagle, a w jej epicentrum nieoczekiwanie znalazłem się ja.

Staniem właśnie przy Panu Janie, który miśternie oplatał sprężyny wersalki, cicho i poważnie tłumacząc mi sens robionych na krzyż i ukośnie splotów. Byłem tak pochłonięty wyjaśnieniami, że nie dosłyszałem jakiegoś polecenia wydanego przez majstra. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. W pewnym momencie otrzymałem potężnego kopniaka, po którym znalazłem się pod kobyłkami z wersalką. Z tej pozycji ujrzałem nad sobą rozjuszona twarz majstra i wyciągniętą rękę. W jego oczach dostrzegłem żądę wyładowania się na mnie. Błyskawicznie przewalkowałem się pod wersalkę i drząc ze strachu przed tym co nastąpi szukałem gorączkowo możliwości ucieczki, ale do zbawczych drzwi było bardzo daleko. Wiedziałem jednak, że mistrz mi nie pokaże i zaryzykowałem. Lawirując między sprzętami pedziłem do zbawczych drzwi, ale mistrz był szybszy. Kolejny cios zadany tym razem potężną łapą powalił mnie znów na ziemię. Zaczynałem krwawić z nosa. Znowu się poderwałem. Z oszołomienia kreciło mi się wszystko pod oczami. Wszystko falowało — i czeladnicy pracujący jak gdyby nie przy swoich fotelach, wersalkach i tapczanach i Gwoździński-junior znowu szukający się do bicia. Zrezygnowany już nie próbowałem uciekać.

Wiedziałem, że musi się spełnić, co mi przeznaczone. Stałem więc i płakałem. Z bólu, bezsilnego upokorzenia i strachu. Jednak trzeciego ciosu już nie było. Obok mistrza pojawił się nieoczekiwanie Pan Jan... Chwylił go za podniesione ramię i jak gdyby sennym głosem powiedział:

— Dość tego, zostaw tego chłopaka!
Potem stanął między mną a majstrem. Wiedziałem to jak w zwolnionym filmie, bo zaraz potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Zobaczyłem najpierw rozjuszoną twarz mistrza bijącego na odlew Jana, w twarz, a później przedziwną metamorfozę dokonującą się na twarzy Jana. Błysk zdumienia, konsternacja, a potem gniewny rumieniec. Jan sprężył się w sobie, skacze i zadaje sierpowy cios pięścią, po którym Junior leci na znak przez długość warsztatu i zatrzymuje dopiero na opartej o ścianę wersalce. Ale Jan jest znów przy nim. Wolno, nie śpiesząc się bije pięściami obracając z lewej, to z prawej strony, waląc gdzie popadnie. Junior próbuje się bronić, ale teraz on się dostał w sam środek szalejącego orka-

nu. Podkoczyło dwóch czeladników broniąc chlebodawcy. Okamgnienie i obaj leżą na podłodze, a Junior znowu stania się na nogach pod wsklepkami ciosami krwawiąc obficie z rozciętych warg i nosa.
Patrzyłem jak urzeczony. W duszy mi grały trąby anielskie, a w sercu czułem przedziwne uśmieszenie. Wal go, wal tego skurwysyna — modliłem się w duchu. Znowu czeladnicy rzucili się z pomocą, ale nieoczekiwanie osadził ich ostry głos starego Gwoździńskiego. Nikt nie zauważył jego pojawienia się w progu, nie wiadomo też jak długo stał i przyglądał się incydentowi. Teraz jego ostre: zostawcie ich — nie wtrącać się! — uziemiło czeladników w miejscu. Wszystko się zresztą miało ku końcowi. Gwoździński-junior opadał właśnie łagodnie na stertę trawy morskiej, zaś Jan stał nad nim przez chwilę i z wolna wracał z dalekiej podróży. Połem westchnął głęboko, odwrócił się i podszedł do zlewu, przy którym zaczął splukiwać spoconą twarz.

Nikt nie przerywał ciszy. Oczy obecnych wędrowały to na leżącą postać Juniora, to na spokojnie niyjącego się Jana, to na kamienną postać „starego” stojącego nadal we framudze drzwi.
Jan otarł twarz, potem zdjął fartuch roboczy, otworzył drzwi szafki i zaczął pakować swoje rzeczy osobiste. Z zawiniątkiem pod pachą mruknął coś poeznalganego pod nosem i ruszył w kierunku drzwi. Tu natknął się na starego.
— Dokąd to Pan Bóg prowadzi? — zapytał ten drwiąco, nie ruszając się z miejsca.
Jan spojrział zdziwiony na pryncypała.
— Jak to? — zapytał — po tym wszystkim? A cóż ja tu mogę więcej zrobić?
— To co zawsze — odpowiedział stary — bierz się do roboty. Za przedstawiania przecież płacić nie będę — dodał ironicznie — odwrócił się i wyszedł.

Tak to się skończyło. Do końca dnia i parę dni następnego atmosfera w warsztacie była spokojna, ale duszna. Junior się kurował, częściej więc w warsztacie przebywał stary Gwoździński, który zachowywał się jakby nie nie zaszło i jak gdyby dając do zrozumienia, że nie obchodzi go to, co się stało. Wobec mnie zachowywał się jak zawsze, oschle, ale w miarę uprzejmie. Siał się wówczas drugim człowiekiem w warsztacie, który mi zaimponował. Przecież gdyby nie on i jego rozważa Jan znalazłby się na bruku, bez pracy i bez środków do życia. Pracowaliśmy więc na razie spokojnie, ale z pewnym napięciem wewnętrznym, czekając na akt drugi, którego treści nikt z nas nie znał, a w którym kropkę nad „i” — jak się miało okazać — postawił stary Gwoździński.

Przyszedł kolejny poniedziałek. W pracy, jak zwykle, byłem pierwszy. Posprzątałem to, co było do sprzątnięcia, przyniosłem z piwnicy nowy zapas trawy morskiej i właśnie zająłem się zdejmowaniem pokrycia z fotela oddanego do renowacji. Po kolei schodzili się czeladnicy O ósmej byli już wszyscy. Ostatni wszedł Junior. Jestem pewien, że w okresie kurowania w domu postmianczonyj twarzy wielokrotnie przemysliwał i studiował ten właśnie moment wchodzenia do warsztatu, w ów pierwszy dzień po incydencie. Wszedł teraz z pewną sztuczną ostentacją i witał się ze wszystkimi po kolei, już zaczął świntuszyć — z nieco wymuszonym uśmiechem. Podszedł także do Jana. Zamierzał w przerażenia. Ale nie się nie stało. Junior wyciągnął do Jana rękę. Ten po chwili wahania podał również swoją. W tym rozejmie dostrzegłem mistrzowską reżyserię starego Gwoździńskiego. I wszystko potoczyło się zwykłą koleją rzeczy. Jak dawniej byłem popychadłem do wszystkiego, jak dawniej poganiany ostro do roboty przez Juniora i jak dawniej nie szczędzono mi epitetów w rodzaju „gnójek”, „szczył” czy „śmierdziel”. Ale podczas gdy przedtem obsypywano mnie wyzwiskami spontanicznie w sposób niejako naturalny, to teraz w tonie tych epitetów kryła się tajona zawziętość i pasja, hamowana obecnością mego obrońcy Jana, nakazami starego i sytuacją załamaną po incydencie.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że o ile przedtem Junior Gwoździński irracjonalnie mnie nie znosił, to teraz po incydencie powstałym niejako za moją przyczyną, namiętnie nienawidził. Jedyną co mogłem zrobić, to nieustannie schodzić mu z oczu i jak najrzadziej szukać towarzystwa Pana Jana. Czulem po pro-

stu instynktownie, że nie wolno mi się afiszować moim dla Niego uwielbieniem. Jedynymi zatem dniami odprężenia, stawały się dla mnie dni spędzone w piwnicy na przygotowywaniu trawy morskiej i włosia do bieżącej produkcji. Któregoś dnia w warsztacie obchodzono imieniny jednego z czeladników. Pojawiła się wódka i zakąski. Koło południa Junior lekko podchmielony wysłał mnie do roboty w piwnicy. Nie zwróciłem uwagi na błysk jego oczu. Poszedłem do piwnicy z ochotą, krecić bębem... i marzyć. Niedługo później pojawił się tam Junior. W świetle słabej żarówki chorobliwie świeciły jego oczy, a zły grymas na twarzy sparaliżował mnie przerażeniem. Nie mówił ani słowa, tylko wolno odpnął pasek od spodni. Na szczęście nie znecał się nade mną zbyt długo. Oberwał może że trzy razy, gdy na piwnicznych schodach rozległy się czyjeś kroki, których z lokatorów schodził do piwnicy po kartofle. Upiekło mi się tym razem, ale nie miałem złudzeń. Następnym razem może być zupełnie nieciekawie. Postanowiłem, że drugiego razu nie będzie. Delegowany do piwnicy starannie ryglowałem drzwi za sobą. O incydencie w piwnicy postanowiłem nikomu nie mówić — nawet Janowi, a może jemu przede wszystkim. Przyszedł jednak moment, w którym Junior znowu dał próbkę swego sadyzmu. Był to zarazem ostatni dzień mego terminowania w firmie Gwoździński i Syn.

Zbliżał się mianowicie karnawał i stary Gwoździński podłapał większe zamówienie dekorowania reprezentacyjnych sal Grand Hotelu na „bal białych łózek”. Była to tradycyjna impreza filantropijna urządzana przez sferę mieszczańską. Czysty dochód z tej imprezy przekazywany był podobno na biedne sieroty. Zamówienie wykonywał zespół w składzie Gwoździński-junior, dwóch czeladników i ja, chłopiec do bicia. Roboty było dużo i uwijał się jak w ukropie. Drapowaliśmy tuje i wstążki, podwazywaaliśmy girlandy z wstążek i sztucznych kwiatów. Junior był znowu nie w humorze i znecał się nade mną ile popadło. Po dwóch godzinach pracy zdążyłem dwa razy od niego dotkliwie oberwać.

— Trzymaj drabinę gnojku! — darsł się z jej wierzchołka. — Podaj mi tamten pęk wstążek — wołał za chwilę.

A gdy oddalałem się, aby spełnić jego polecenie z góry rozlegało się gniewne wołanie.

— Dlaczego szczyłu puszczasz drabinę!

— Przecież kazał mi Pan iść po wstążki — odpowiadałem, tłumiąc bezniaśną pasję.

— Te gnojek, nie bądź taki mądry, bo dostaniesz w mordę! — darsł się znowu.

Drabina była na 5 metrów wysoka, dwuramienna i dostosowana do wysokości sali balowej. Junior siedząc na niej okrzakiem „kroczył” na niej po malarsku. Moim zadaniem było go ubezpieczać, a więc robić to, na co najmniejszą miałem ochotę. A Junior igrał z ogniem. Igrał z ogniem obrzucając mnie wyzwiskami i nie szczędząc kopniaków. W chwilach, kiedy schodził z drabiny. Kopniaki i wyzwiska wędziłał we właściwy sobie sposób, szczerząc garnitur zdrowych, śnieżnobiałych zębów w wyjątkowo obrzydliwy, sznyderzy sposób. Boże, jak ja nienawidziłem tego człowieka! Obserwowałem go, kiedy rozmawiał z paniami z komitetu organizacyjnego, które weszły na salę, skontrolowały przebieg robót. Był uprzedzająco grzeczny, przyjaźnie uśmiechnięty i szarmantki. Prawił przy tym tyle komplementów, że starsze panie były oczarowane wdziękiem młodego współwłaściciela firmy Gwoździński i Syn. Właśnie wychodziły z sali, żegnane głębokim ukłonem promieniującego wdziękiem Juniora. W jednej sekundzie skojarzyła mi się ta uśmiechnięta, wredna gęba z gębą sprzed paru dni — pokrwawioną i posiniaczoną za sprawą monych pięści pana Jana. Tak mnie rozbaawiła ta wizja, że nie wytrzymałem i rozemiałem się pełnym głosem. Junior, jeszcze wysięty w poeznalganym ukłonie, obejrzał się. Uśmiech na jego twarzy gasł szybko. Zrzucił maskę i znowu był sobą. Skoczył do mnie i wymierzył mi 3 starczyście poltelki i zakończył kopniakiem, po którym znalazłem się na podłodze. Trafilił mnie tym razem butem w kość ogonową. Bolało bardzo boleło. Nie było jednak czasu na roztkliwienie się nad sobą, bo Junior ryknął: — Szczyłu, trzymaj drabinę! — i za chwilę siedział na jej szczytce.

Podszedłem do drabiny: lekko pochylony chwyciłem obrucząc za jej szczebel. Patrzyłem w górę na Juniora i z nagłym postanowieniem wzbudającym dreszcz obiegającym moje całe ciało od stóp do głowy, rozpozcałem cichą litanię z szepu przechodzącą w krzyk:

- Ty zboju!
- Ty łachudro!
- Ty świniolo!
- Ty bestio bezdusznia!
- Ty łachudro, niegodny chodzić po ziemi!
- Ty syfilityczny donżuanie!
- Niech cię raz na zawsze szlag trafi!!!

Pociągnąłem co sił szczebel drabiny do góry. Czulem przez chwilę, jak ciężar jej opierał się moim rękoma, a potem wszystko było wiecznością i sekunda.

Przerazona twarz Juniora, dokładnie taka sama jak wtedy, kiedy nieoczekiwanie wyładowała na mnie pięść Pana Jana, zdławiony jęk przerażenia i nienaturalny, ni to płakał ni to nieoperał lot z wysokości 5 metrów.

Wyszedłem z sali spokojnie, nie śpiesząc się wcale. Byłem spokojny, bardzo spokojny. Wiedziałem, że przed chwilą dokonałem meskiego kroku, decydującego sam o swoim losie. Wiedziałem, że zrywam wszelkie nici łączące mnie z firmą Gwoździński i Syn, z warsztatem i piwnicą (moł azylem), z czeladnikami i niestety także z Panem Janem, którego już nigdy miałem nie zobaczyć.

Zaczynałem swój nowy etap życia. Wchodziłem w wiek może jeszcze niezupełnie dojrzały, ale z silnym postanowieniem niegodzenia się z biciem i upokorzeniami... za darmo, bez odwzajemniania.

c.d.n.

W kręgu fantastyki

Zapis drugi

Pewnego czwartego popołudnia dyrektor XIII Laboratorium zadumany wpatrywał się w monitor komputerowego terminala, na którym świetnymi znakami wypisane były same zera, gdy do gabinetu wszedł, wyraźnie czymś przestraszony, magister Szumek i powiedział:

— Panie docencie, stałem się nieśmiertelny.

Fus spod krzaczastych brwi spojrzął na młodego człowieka i uśmiechnął się pobłażliwie.

— Nieśmiertelny...? Panie kolego, droga do nieśmiertelności jest długa; Kopernik, Newton, Einstein i wszyscy inni geniusze wkroczyli na nią dopiero po wielu latach pracy naukowej.

— Nie o tym myślę, panie dyrektorze — Szumek pokręcił głową. — Ja jestem nieśmiertelny w sensie dosłownym.

cent rozpoczął naradę głosem pełnym powagi — nasz młody współpracownik, magister Szumek, dokonał rzeczy niezwykłej. Zdołał uodpornić swój organizm na działanie czynników powodujących zanik funkcji życiowych, a tym samym...

— Głośniej proszę! — krzyknął doktor Zużel, senior rady, znany z gwałtownego usposobienia i przypiętego słuchu.

— Magister Szumek twierdzi, że jest nieśmiertelny! — wrzasnął Fus.

W sali posiedzeń zawrzało. Krzyżeli wszyscy, ale dominował głos doktora, jak grzmot odrzutowca przebijającego barierę dźwięku.

— Co za bzdura pan opowiada...? — ryknął w stronę Szumka.

Magister, przerażony reakcją audytorium, nie próbował nawet niczego tłumaczyć, cofał się tylko pod naporem piorunującego wzroku dwunastu par oczu, aż koło okna potknął się o brzeg kokosowego chodnika, a że na podwyższeniu parapet sięgał mu załed-

pełnym dowodem nieśmiertelności magistra Szumka. Wykazana została jedynie jego odporność na urazy, wywołane spadkiem swobodnym w polu grawitacyjnym.

— Zgadzę się z kolegą Bezmogowem! — krzyknął Platinstein — z tym błyskiem w oku. — Konieczne są dalsze eksperymenty!

— Czy kule również panu nie szkodzą? — zapytał Fus.

— Nie wiem — rzekł Szumek niepewnie. — Tego nie próbowałem.

— Zawołaj strażnika! — wrzasnął Zużel.

Przyszedł strażnik; pod pachą dźwiżył ciężką flintę chyba jeszcze z czasów I wojny światowej.

— Proszę mi to położyć na chwilę — powiedział Szumek i zaczął przymierzać się do samobójczego strzału.

— Ale szło mu to nieskładnie. Lufa latała we wszystkie strony, a gdy już przyłożył ją do skroni, nie mógł sięgnąć spustu, bo znowu ciemny otwór wylotu uciekał gdzieś w bok. W końcu, kiedy mocując się z

dat, który mimo protestów musiał zapisać.

Na tym eksperymencie zakończono; a właściwie zawieszono je tylko, bo doktor Owsianko zaproponowała, aby podjąć próbę zarażenia Szumka bakteriami dżumy. W tym celu jednak należało spróbować silny szczerp Pasteurella pestis, gdyż XIII Laboratorium takim materiałem nie dysponowało. Ponadto rada naukowa zobowiązała magistra do dalszych badań nad nieśmiertelnością, co w przyszłości miało stanowić materiał doświadczenia do jego rozprawy doktorskiej.

Nastąpił okres pozornego spokoju. Wszyscy wrócili do swoich zajęć, chociaż na korytarzu koło pracowni Szumka, częściej niż zwykle, widywano kręcących się naukowców. Szczególnie doktor Zużel często tam zaglądał, lecz magister pochłonięty pracą niechętnie widywał gości, co oczywiście dało powód do zgryźliwych uwag, że sukces uderzył mu do głowy.

W dwa miesiące później w laboratorium znów zawrzało. Późnym popołudniem, gdy strażnik w swym codziennym obchodzie przed zamknięciem gmachu szedł do pracowni Szumka, magister podłączony siecią przewodów do szczerków skomplikowanej aparatury, leżał na podłodze martwy.

Obdukcja zwłok wykazała, że zgon nastąpił wskutek zatrzymania pracy serca, chociaż konsylium lekarskie nie zdołało udzielić jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co było przyczyną blokady mięśnia sercowego. Szczegółowe oględziny aparatu, przy pomocy którego Szumek udowodnił, że jednak nie stał się w pełni nieśmiertelny, również niczego nie dały; krótkie spięcie oraz implozja urządzenia próżniowego dokonały zniszczenia uniemożliwiającego rekonstrukcję aparatury. Największą sensacją wywołało zniknięcie wszystkich notatek Szumka; zarówno burko, jak i szafy zostały opróżnione z pedantyczną starannością. Domyślnie na ten temat było wiele. Znalazli się nawet tacy, którzy posądzali o kradzież doktora Zużel, jako że po tym wypadku starszek jakby odmłodził trochę, ale brak było podstaw do oskarżenia i zagadka pozostała nie wyjaśniona.

Tylko Fus do całej sprawy podszedł z filozoficznym spokojem.

— Przedłużenie życia ludzkiego jest najszlachetniejszym celem, jaki może sobie wyznaczyć uczone — powiedział na zakończenie posiedzenia rady naukowej poświęconej czasowi Szumka — ale wartość moralna tego celu osiąga maksimum na granicy potencjalnej długowieczności wyznaczonej nam przez prawa biologii; każda próba jej przekroczenia będzie miała wartość tym niższą, im lepszy osiągnięty rezultat. Ewolucja jest możliwa tylko dzięki przemianom jednostek, populacji i gatunków; śmierć umożliwia rozwój życia. Gdybyśmy uczynili ludzi nieśmiertelnymi, zegar biologiczny odmierzający nasz czas stanąłby w miejscu, a wraz z nim zatrzymałaby się w rozwoju cywilizacja. Bo przecież właśnie obawa przed śmiercią i wspomnieniem przed głównym motorem ludzkich działań mierzących dalej niż doczesne potrzeby. Non omnis moriar — ta myśl Horacego, świadomie czy nieświadomie, towarzyszy każdemu twórcy sygnującemu swym nazwiskiem ukończone dzieło, a jakim sens miałaby ta maksyma w obliczu nieśmiertelności...? Dlatego też, gdyby eksperymenty magistra Szumka zakończyły się pełnym sukcesem, stanęlibyśmy przed dylematem: czy udostępnić ludziom niemoralną i zabójczą w gruncie rzeczy formułę nieśmiertelności, czy też utrzymać ją w tajemnicy? Zarówno jedno, jak i drugie wyjście budzi poważne wątpliwości, dobrze się więc stało, że nie musimy takiej decyzji podejmować.

Lot z Karin

GEORGE C. CHESBRO

Najpierw pomyślałem sobie: bzdura. Potem, przy czytaniu tej historii zrobiło mi się nieswojo. Jestem ciekawy, co wy o tym myślicie...

— świeżo po kąpieli leżał nago na brzuchu. Myślał o Karin i samolocie, którym leciała. Zamknął oczy i oddychając rytmicznie i głęboko, skoncentrował się na wyimaginowanym źródle światła w mózgu, jego „trzecim oku”.

Nagle „zobaczył” twarz Karin: przezroczysta skóra, wystające kości policzkowe, blond włosy i zielone oczy. O tej kobiecie marzył zawsze. Była kobietą jego snów, jego marzeń. Fakt, że Karin istniała tylko w marzeniach, nie przeszkadzał mu.

Matt Lincoln był przekonany, że K&M Boeing 747 i podróżujący z nią pasażerowie, rzeczywiście istnieją. Musi ją „odnaleźć” i uratować. Coraz słabiej czuł własne ciało. Obraz Karin był jak pulsujące, kolorowe światło: czerwone, czarne, żółte. Słyszał odległy szum: głos wszechświata. Wreszcie był „po tamtej stronie”. Jego ciało astralne unosiło się w powietrzu, a potem przeszło przez pulsujące, kolorowe światła.

— Halo — powiedziała Karin cichutko i położyła książkę na jego kolanach. — Wreszcie się pan obudził. Ja nie mogę spać w samolocie.

Matt rozejrzał się dookoła. Wnętrze Boeinga 747 było wypełnione ludźmi. Większość pasażerów spała. Był to nocny lot. Matt odezwał się do Karin. Jego głos był niewyraźny i dochodził jakby z wielkiej odległości. Najważniejsze jednak było to, że może mówić właśnie w Karin. I że jego trans nie został przerwany. Przed spotkaniem z Karin nie miał możliwości ani konieczności rozmawiania. W swych stanach hipnotycznych przebywał w afrykańskich trawach, w pięknych i niebezpiecznych lodach Antarktydy, obserwował plemiona Nomadów maszerujące przez pustynie Iranu i Afganistanu. „Widział” ludzi budujących piramidy i ludzi lądujących na Marsie, „widział” Nella Armstronga, jak stawiała nogę na Księżycu i wypowiedział pierwsze słowa — na dwa lata przedtem, zanim rzeczywiście Armstrong tam wylądował.

W obrębie zjawisk astralnych nie ma różnicy między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością.

Karin, to był pierwszy kontakt osobisty z człowiekiem. Bardzo ważne było iż odkrył, że samolot rozbije się i wszyscy pasażerowie zginą. Poprzez Karin chciał ten los odmienić. Ona była kluczem.

— Czy wierzy pani w przeczucia? — Tak. Wierzę, że są ludzie, którzy mogą widzieć przyszłość. — Jestem jednym z nich — powiedział Matt. — Jestem medium i to bardzo dobrym. Musi mi pani wierzyć. — Wierzę panu — odpowiedziała spokojnie.

— A zatem musi pani również uwierzyć, że ten samolot rozbije się. Tylko pani może znaleźć możliwość odmienną losu. Zadnej reakcji. Ani smartwienia, ani strachu. Nie. — Skąd pan wie, że samolot się rozbije? — Sniem.

— Snił pan? Kiedy to się stanie? — Matt nie od razu odpowiedział. Karin może pomyśleć, że zwałował.

— Nie wiem kiedy, ani gdzie rozbije się samolot. Wiem tylko, że się rozbije. — Ale ja mogę to odmienić? — Tak. Pani jest stewardessą. Proszę pójść do kabiny pilota. Proszę to jakoś uzasadnić, ale on musi dokładnie sprawdzić wszystkie instrumenty.

— Ależ ja jestem tylko pasażerką. Nikt mnie nie posłucha. — Jeżeli niekto pani nie posłucha, wszyscy zginą. — Wszyscy? — Musiał powiedzieć teraz prawdę. Całą prawdę. Nagle poczuł się zmęczony i oparł się mocno o oparcie fotela. Daleko, na horyzoncie zobaczył słońce zachodzące za łańcuch gór. Góry te wydały mu się znajome.

— Ja nie umrę przy wypadku. Nie jestem tu ciałem. — Ale przecież ja mogę pana widzieć. — I rozmawiać ze mną — skinął głową Matt. — Sam tego nie rozumiem. Jestem w stanie poznać ducha z mego ciała. — Słyszałam o tym — powiedziała Karin cichutko.

— Pierwszy eksperyment przeprowadziłem przed dziesięciu laty i odtąd bardzo często wprowadzam się w trans. Ale nic podobnego jeszcze mi się nie zdarzyło. Przed miesiącem zahipnotyzowałem się i znalazłem się, razem z panią, w tym samolocie. Od tego czasu, w transie czy na jawie, myślałem tylko o pani i wiedziałem, że muszę panią znów zobaczyć. Dlatego zadałem sobie trud, żeby znaleźć się teraz w samolocie.

— Dlatego, że chciałem pani mówić ze mną? — Dlatego, że panią... Kocham — spojrzął na Karin. Przyglądał mu się w milczeniu, a na jej wargach błąkał się tajemniczy uśmiech. — Sniem również, że samolot ten spadnie i muszę panią ostrzec: próbowałem nawiązać łączność z pilotami, z pasażerami, wszystko na próżno. Musisz znaleźć jakiś sposób, aby uratować samolot. Nie chcę ci stracić. Nie chcę, aby zginęły tyle osób.

— Obawiasz się śmierci? — zapytała. — Nie. — To jesteś mądry. Jeżeli potrafisz to wszystko o czym mi opowiadałeś, w takim razie rozumiesz, że śmierć jest niczym więcej niż podróżą w inne istnienie.

— Ależ ja obawiam się o siebie, Karin. Myślisz, że jestem szalony? — Nie — nagle pochyliła się nad nim, objęła za szyję i pocałowała. — Myślę, że jest za późno.

Otworzył oczy i wyglądał przez okno. Przypomniał sobie góry, za które zachodziło słońce. To po tych górach biegał, jako mały chłopak. Leżał na północ od jego kraju rodzinnego. Sądząc po promieniach słońca, samolot leciał prosto do jego rodzinnego miasta.

Z prawej strony Matta obudził się jakiś mężczyzna. Nachylił się poprzez Matta i Karin, aby wyjrzej przez okno. Wtedy Matt stwierdził, że zarówno miejsce Karin, jak i jego są puste.

Ciężko mu było wyrwać się z tego transu. Karin trzymała się mocno jego ducha. „Zostań — szeptała, — nie musisz się mnie obawiać”.

Zmarznięty Matt stał na wierzchołku pagórka w odległości około czterystu metrów od swego domu. Był w płaszczu kąpielowym. Na niebie ukazał się samolot. Spadł na ziemię i eksplodował, zamieniając domy Matta i kilku sąsiadów w kupę gruzów i metalowych części.

Ludzie dookoła niego — sąsiedzi których obudził — stali oniemiałi. Matt w milczeniu odszedł od nich. Jego duch był daleko stąd, przy kobiecie o blond włosach i zielonych oczach. Przy kobiecie, którą kochał i o której wiedział, że gdzieś w innym miejscu, na innym świecie czeka na niego.

Formuła nieśmiertelności

(Z Raptularza XIII Laboratorium)

— Co takiego...? — krzyknął Fus, aż kryształowy żyrandol nad biurkiem zachybotał się niebezpiecznie. — Czy pan to potrafi udowodnić?

— Tak, potrafię — szepnął Szumek jeszcze bardziej przestraszony.

Przez chwilę rozglądał się po gabinecie, jakby szukał przyrządu odpowiedzialnego do przeprowadzenia dowodu. Krytycznym wzrokiem ocenił wytrzymałość jedwabnego sznurka, na którym wisiał dyplom doktoratu honoris causa, przyznany docentowi przez jakiś mało znany, prowincjonalny uniwersytet, wypróbował palcem ostrze noża do przecięcia papieru — był przeraźliwie tępy, aż dostrzegł w kącie pokoju metalową skrzynkę zasilacza opatrzoną czerwonym napisem: UWAGA! WYSOKIE NAPIĘCIE! Szumek wyjął szrubokręt z kieszeni fartucha, podważył wielko skrzynki, a potem gołymi rękami dotknął niedzianych końcówek grubych przewodów. Błysk, huk i swąd skwierczącej w ogniu izolacji wypełniły cały pokój, zera na monitorze terminala zgasyły, na korytarzu załobnie zawisła syrena alarmowa. Oszolomiony docent skoczył w statnej chwili uświadomił sobie, że jego gabinet znajduje się na dziewiątym piętrze gmachu laboratorium. Magistra otaczała aureola błękitnej poświaty, z nozdrzy, w takt oddechu, sypał się snop iskier. Dramatyczną scenę przerwało kilku strażaków ciągnących gasnicę na dwukolowym wózku. Z szybkością i precyzją dowodzącą wieloletniej wprawę strumieniem piany ugasił zasilacz, a potem Szumka, tak, że wyglądał jak dobrze namydlony pluszowy niedźwiędz.

— Panie kolego — powiedział Fus, który zdążył ochłonąć po doznanym szoku — proszę za piętnaście minut przyjść do sali posiedzeń.

Magister skłonił się w milczeniu i wyszedł, nieznacznie rękami strząsając z siebie pianę na dywan zdobiący gabinet dyrektora, ale zamyślony docent nawet tego nie zauważył.

Gdy Szumek, oczyszczony i w świeżym fartuchu, przekroczył próg sali posiedzeń, członkowie rady naukowej XIII Laboratorium siedzieli już w swoich fotelach. Ponieważ wszystkie miejsca były zajęte, magister zawałał się; nie wiedział, czy zostać, czy też wrócić do swojej pracowni i przynieść jakiś tabor. Jego wątpliwości rozwił Fus wskazując mu miejsce na podium koło tablicy.

— Szanowni koledzy! — docent rozpoczął naradę głosem pełnym powagi — nasz młody współpracownik, magister Szumek, dokonał rzeczy niezwykłej. Zdołał uodpornić swój organizm na działanie czynników powodujących zanik funkcji życiowych, a tym samym...

— Głośniej proszę! — krzyknął doktor Zużel, senior rady, znany z gwałtownego usposobienia i przypiętego słuchu.

— Magister Szumek twierdzi, że jest nieśmiertelny! — wrzasnął Fus.

W sali posiedzeń zawrzało. Krzyżeli wszyscy, ale dominował głos doktora, jak grzmot odrzutowca przebijającego barierę dźwięku.

— Co za bzdura pan opowiada...? — ryknął w stronę Szumka.

Magister, przerażony reakcją audytorium, nie próbował nawet niczego tłumaczyć, cofał się tylko pod naporem piorunującego wzroku dwunastu par oczu, aż koło okna potknął się o brzeg kokosowego chodnika, a że na podwyższeniu parapet sięgał mu załed-

wie do kolan, równowagi nie zdołał odzyskać. Z dwudziestego piętra leciał cztery sekundy i z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę upadł na dach zaparkowanego mercedesa, którego właściciel, znajdujący się w tym momencie osiemdziesiąt metrów wyżej, jęknął rozdzierająco. Po doznanym ciosie samochód był w oplakany stanie. Szlachetna linia karoserii została zalamana, wszystkie szyby pogruchotane, lśniący lakier popękał i całymi płatami odlaty od blachy. Drzwi wyrwane z zawiasów leżały na betonowym podjeździe; nawet kierownica kształtem przypominała teraz śmigło. Szumek cały i zdrowy wygrzebał się spośród szczerków i w myślach intensywnie obliczał, ile lat będzie musiał pracować, aby zwrócić doktorowi Platinsteinowi koszt naprawy auta.

— Panie magistrze! proszę tu wrócić! — usłyszał nad sobą głos Fusa.

Wszyscy członkowie rady — oprócz Platinsteina, który przysionął ręką oczy — wychyleni przez okna spoglądali w dół. W innych oknach też pojawiły się zaciekawione twarze, a że nikt nie wiedział, co się stało, więc grad komentarzy dotyczył głównie Platinsteinowego mercedesa. Tylko stróż parkingu siedzący na ławce przed budynkiem zaczął lamentować:

— Panie magistrze, co pan narobił?! Taki piękny samochód...

Gdy Szumek wrócił do sali posiedzeń, gdzie panowała wręcz wulkaniczna atmosfera, Fus znowu kazał mu wstąpić na podium, a potem wszyscy obejrzeli go dokładnie, szukając śladów po upadku.

— Coś niebywałego! — pokrzykiwał Zużel. — On sobie nawet guza nie nabili?

— Za to mój samochód wygląda, jakby walec drogowy po nim przejechał — ponuro rzekł Platinstein.

— Panie doktorze, ja zapłacę za remont — powiedział szybko Szumek zastanawiając się jednocześnie, od kogo pożyczycie tyle pieniędzy.

— Nie trzeba — Zużel ojcowsko poklepał magistra po ramieniu. — Doktor jest bardzo przornym człowiekiem; ubezpieczył auto na sporą sumę.

— Koledzy! — Fus usiłował zaprowadzić porządek. — Proponuję, abyśmy wrócili do meritum.

— Ano właśnie — powiedział docent Bezmogow. — Byliśmy świadkami zadziwiającego wydarzenia, ale zwracając szanownym kolegom uwagę na fakt, że nie jest ono

bronią zupełnie przypadkowo wycołował w Platinsteina, którego twarz momentalnie przybrała barwę popiołu, zwrócił się do kaprała.

— Niech mi pan strzeli w głowę.

Strażnik, obserwujący wyczyny magistra z niemym przerażeniem, porwał karabin i cofnął się w stronę drzwi.

— No, strzelaj pan! — zapienił się Zużel.

— Ale dlaczego? — jęknął kaprał; rękę trzymał na kłamek gotowy do ucieczki.

Fus musiał użyć całego swego autorytetu, aby po dwudziestu minutach przekonać wreszcie, strażnika, że to nie egzekucja, lecz eksperyment naukowy. W grobowej ciszy kaprał podsunął Szumkowi łufę pod nos, zamknął oczy i nacisnął spust. Huknęło jak z armaty, a potem wszyscy odetchnęli głęboko.

— Panie magistrze, żyje pan? — płaczący zapytał strażnik; nadal stał z zamkniętymi oczyma i bał się je otworzyć.

— Żyje — powiedział Szumek.

Kaprał błędnym wzrokiem powiódł po sali, ukłonił się nie wiadomo komu i biegiem wyskoczył na korytarz. U stóp magistra leżał pocisk, rozplaszczony, jakby uderzył w tytanowy pancerz.

— Niesamowita historia — mruknął Bezmogow. — W średniowieczu spalono by pana na stosie — zwrócił się do Szumka. — A propos, jak pan wytrzymuje wysokie temperatury?

Poszł więc do Działu Wysokich Temperatur i tam magister przesiedział pół godziny w piecu indukcyjnym. Efekt był tylko taki, że spłoneło doszczętnie ubranie i Szumek wyszedł z komory nagły, jak święty turecki. Doktor Owsianko, jedyna kobieta w gronie członków rady, zmieszana tym widokiem, odwróciła się dyskretnie, aż przyniesiono nowy płaszcz laboratoryjny i magister — również zaplombiony po czubku uszu — odkrył swoją gołiznę. Potem Szumek zjadł jeszcze dziesięć dekagramów arseniku popijając obficie roztworem cyjanku potasu, próbował poderżnąć sobie gardło — wyszczerzył przy tym skalpel przyniesiony z ambulatorium — i jeszcze raz podłączył się do wysokiego napięcia — tym razem do głównego kabla energetycznego. Na stacji transformatorowej obezszło się bez poważniejszej awarii; jedynie wszystkie bezpieczniki trzeba było wymienić, a w kilku dni później Fus otrzymał dosyć wysoki man-

ANDRZEJ
MERCIK

Tłum.: EJ

1 Zdarzenia i zwierzenia

Ignacy Dąbrowski

Ponad czterdziestą lat temu ukazała się w Warszawie powieść „Smierć”, młodego debiutanta Ignacego Dąbrowskiego. Zarówno sam utwór jak i jego autor zyskali duże uznanie ówczesnej krytyki. Powieść była sugestywnym studium choroby i agonii uboższego studenta — jego przeżycia i myśli odwrócił Dąbrowski z naturalistyczną wernisacją i precyzją.

Nie dziwnego — autor nolał doświadczenia własnego życia. Osiemdziesiąt lat później rodziców w wieku kilkunastu lat, zapada na gruźlicę w wieku lat osiemnastu — musi porzucić gimnazjum w Warszawie, aby tułać się jako korepetytor, gdzieś po Lubelskiem i Kujawach...

W liście do przyjaciela pisze wówczas: „Poceniłem już przywyknąć do tulaczego życia, do ciągłej zmiany osób i otoczenia, a jednak nie pogodziłem się z tym moim twardego losem, który mnie na wieczną tulaczkę skazuje. Kocham właśnie to, czego nie mam: spokój, wygodę, niezależność. A tu trzeba i karku nachylić, i chleb jeść gorzki, i trząść po nocach, i chwili spokoju nie znaleźć...”

Mimo takich warunków rozczyna się gorączkowo w dziełach literackich, studiując z zapalem historię i filozofię. I właśnie wówczas postanawia napisać powieść o człowieku zarazanym śmiertelnością. Powstaje pierwsze strony „Dziennika suchotnika” — powieści, która przyniosła mu rozgłos, a którą nazwie później „Smierć”. Rekopis książki trafiła do redakcji „Biblioteki Warszawskiej”, która drukuje ją w odcinkach i powieść z miejsca zdobywa czytelnika, podobnie krytykę i w krótkim czasie młody — bo 23 letni — autor ustala swoją pozycję we współczesnej literaturze.

Piszą o nim znaní krytycy. Marian Gawalewicz tak wypowiada opinię w „Tygodniku Ilustrowanym”: „Gdyby ktoś naprawdę umiał na grzeczność w dwudziestym którymś roku życia i dopiero po śmierci spisał pamiętnik swojej choroby i swojego konania — nie napisaliby go chyba lepiej, niż to uczynił Dąbrowski”.

pozytywnie piszą o debiutanckiej powieści najwięksi krytycy ówczesnej doby — Piotr Chmielowski, Wilhelm Feidman, Stanisław Brzozowski, Teodor Jeske-Choiński. Wielu z nich podkreśla, że Dąbrowski pisząc „Smierć” znajdował się w podobnie beznadziejnej sytuacji, jak jego bohater. Istotnie — powieści o takiej tematyce nie można było napisać niejako „z drugiej ręki” i nikt takiej powieści w tamtych czasach nie napisał.

Ta jedna jedyna powieść — według zgodnej i jednomyślnej opinii krytyków — wystarczałaby, aby imię Dąbrowskiego pozostało po wsze czasy w literaturze.

A jednak — jak wiemy — nie pozostało. Dąbrowski jest pisarzem zapomnianym i praktycznie nieobecny w „Słowniku pisarzy polskich” nie zostało po nim nic więcej. Dopiero na początku lat siedemdziesiątych Edward Kozłowski przypomniał Ignacego Dąbrowskiego w niewielkim szkicu w książce „Łódź i pióro”, skąd zresztą czerpie informacje do tego felietonu.

Skąd jednak Łódź w biografii tego pisarza? Otóż dalsze losy pisarskie Dąbrowskiego

nie ułożyły się najlepiej. Nie spełnił oczekiwań krytyki, która chciała w nim widzieć naturalistę — a tu jak na złość dalsza jego twórczość nosiła znamiona symbolizmu. Krytyka potępiała to odstępstwo bez pardonu.

Zagubiony i rozgoryczony Dąbrowski przyjeżdża w 1894 roku do Łodzi. Postanawia (jak parę lat później Reymont) napisać powieść o tym mieście. Ma nawet zamówienie na taki utwór od redakcji „Tygodnika Ilustrowanego”. Po dwóch latach powieść jest prawie gotowa.

Proszę pamiętać, że dzieje się to na parę lat przed „Ziemią obiecana” Reymonta. Niestety — z niewiadomych do dziś przyczyn Dąbrowski przerwał pisanie powieści — rekopis zniszczył i umowę z „Tygodnikiem Ilustrowanym” rozwiązał. I w ten sposób literatura o Łodzi stała się uboższa o jedną książkę, która — zważywszy niewątpliwie talent Dąbrowskiego — mogła być książką znaczącą.

W roku 1897 pisarz wraca do rodzinnej Warszawy, gdzie poświęca się zawodowi nauczycielskiemu. Wydał jeszcze dwie powieści: „Zmierzchny” i „Matki”, ale książki te przeszły właściwie bez echa. Charakterystyczne jest wyznanie wspomnianego już tu Edwarda Kozłowskiego, który był uczniem Dąbrowskiego w warszawskim gimnazjum. Otóż nikt z gimnazjalistów nie wiedział nawet, że geografii uczy głośny niedźwidył pisarz.

Zapomnienie przyszło szybciej niż śmierć, która dosięgła pisarza w wieku lat 63 w roku 1932. A więc czterdziest lat po debiucie, który przyniósł mu krótkotrwałą sławę. Człowiek potrafił zwalczyć chorobę — pisarz nie mógł zwalczyć losu, na jaki życie skazało jego książki.

JERZY WILMAŃSKI

2 Nagle zastępstwo

Na innej planecie?

Pewien niewątpliwie luksus stanowi w kilku zawodach odformalizowana dyscyplina pracy — twórcy, nawet na państwowych posadach, pracują bez określonych ram czasowych. Mają do wykonania określony termin, nie ustala się natomiast godzin, w których tę pracę mają wykonać, nie ustala się godziny przyjazdu do pracy i opuszczenia tzw. stanowiska pracy.

Dotyczy to również (w pewnym ograniczonym stopniu) dziennikarzy. Kiedyś do redakcji naszego tygodnika telefonowała pewna pani kilkakrotnie w ciągu dnia i jeszcze dnia następnego dopytywała się o jednego z kolegów. Kiedy usłyszała wielokrotnie, że „redaktor X nie ma, proszę spróbować później albo jutro” zapytała zdenerwowana: — „to tam u was nie ma żadnej dyscypliny pracy?”

Jest prośba pani, jest, ale jest to dyscyplina zadaniowa, a nie formalna.

Ogólnie biorąc, jestem przeciwnikiem formalnej dyscypliny pracy wszędzie tam, gdzie to tylko jest możliwe. Rzecz jasna robotnik, przejmujący swoje

stanowisko pracy w ruchu maszynowym lub pracujący w systemie taśmowym musi być punktualny i spóźnienie w jego przypadku jest głównym grzechem przeciw dyscyplinie pracy. Rzecz jasna urzędniczka pracująca przy okienku z napisem „Czynne w godz. 8—13 i 13—15” musi to okienko otwierać o ósmej i ma święte prawo zamknąć je o trzeciej po południu, choćby nie wiem ilu potentatów ustawiło się w kolejce...

Chodzi o rzecz zupełnie inną. Czy, powiedzmy, księgowy musi zacząć pracę punktualnie o 7.00? Utało się, że tak. Księgowy zatem przychodzi punktualnie o siódmej, zasiada przy biurku i... ziewa, czyta gazetę, plotkuje, robi herbatę. Około ósmej zaczyna pracę. (Niech mi księgowi wybaczą, nikt nie chce obrazić, to przykład całkowicie abstrakcyjny).

Kiedy natomiast bilans się wali, księgowy pracuje do wieczora i bierze łosę za tzw. nadgodziny. Czy w tym zawodzie nie byłoby sensowny odformalizowany czas pracy? „Ma być zrobione do dnia tego a tego, reszta mnie nie obchodzi” — powiedziałby szef do pracownika i wcale nie obchodziłoby go, że pracownik wyszedł z pracy o pierwszej, chociaż przyszedł o ósmej... Nie obchodziłoby go też, że pracownik siedział do dziewiętej wieczór. Żadne nadgodziny!

Wyobraź sobie rewolucję, jaką wywołać może eksperymentalne wprowadzenie systemu wyżej opisanego w jakimkolwiek przedsiębiorstwie!

Kadrowiec, który dotąd miał cały kram z listami obecności i prowadzeniem analiz dyscypliny pracy (które wcale analizami dyscypliny pracy nie są, a jedynie statystyką spóźnień, zwolnień, nieobecności itp.) miałby nagle dużo czasu... Szefowie musieliby zacząć myśleć o wydajności pracy pracownika biurowego, o czym jak Polska długa i szeroka nikt nie pomyślał. Ktoś zacząłby wreszcie zwracać uwagę na jakość pracy tej grupy pracowników, ktoś wreszcie nie mechanizację, a merytorycznie przeprowadzałby likwidację tzw. przerostów administracyjnych.

Nie ma obawy. Nikt tego nie zrobi. Reforma gospodarcza nie dotrze do biurowych herbatki i nie ruszy rozwiązywania krzyżówek w czasie pracy... A szkoda...

Tymczasem, dzięki fetyszowi formalnej dyscypliny pracy a zaniedbania tej „prawdziwej” dyscypliny, tj. rzetelnego wykonywania obowiązków bez spoglądania na zegarek, mamy kolejkę w zakładach i bufetach, mamy czterdziestominutowe przerwy na papierosa, mamy nieprzygotowane i ciągnące się godzinami narady robocze w godzinach pracy, mamy przerosty zatrudnienia. Mamy niesłychanie niską wydajność pracy i chyba najniższy w Europie wschodniej czas efektywnie pracopracowanego. Jedynym słowem mamy to, co dookoła wiadać...

Opowiadano mi niedawno, że na jedynym w małym miasteczku restauracji w porze obiadowej widniała kartka „Zakład nieczynny. Zebranie związkowe”.

Domyslać się należy, że jednym z tematów zebrania była sprawa sprawniejszej obsługi konsumenta...

Wprowadzona niedługo w niektórych instytucjach tzw. „ruchomy czas pracy”. Pracownik miał kartę zegarową, odbijał godzinę wyjścia i godzinę przyścia, sumowane mu tylko miesiecznie czas, jaki przepracował. Nie był to system idealny, ale już miał jakiś postęp. Co się stało z ruchomym czasem pracy? O ile wiem, został generalnie zniesiony. Może ktoś publicznie wyjaśni, komu to przyszkadzało i w czym?

Tak się ostatnio złożyło, że w krótkim okresie czasu musiałem skorzystać z usług kilku rzemieślników sektora spożywczego. Pan ślusarz umówił się ze mną na dziesiątą rano a przyszedł o dwunastej, pan od reperacji telewizora umówił się o dwunastej w południe, przyszedł koło trzeciej. O umó-

wieniu się na godzinę popołudniową mowy nie było.

Tzw. urwanie się w godzinach pracy jest w regulaminach spółdzielni usługowych wskazywane w sposób komfortowy ich pracownikom. Urwanie się klientów. Bo urwanie się własnych pracowników przez kadrowiec surowo tępią.

Jakby żyli na innej planecie...

ANDRZEJ KAROL

3 Lewym okiem

Bazanty i sztuczna nerka

Z poznańskiego ogrodu zoologicznego niewykryci sprawcy skradli kilkanaście bazantów z klatki, i to bazantów niezwykle rzadkich, zupełnie płaszczyk unikatów.

Z tego samego ogrodu niedawno wywieziono dwie tony nawozu z zagrody jaków — woiów tybetańskich. Same jak i tym razem ocalały. Gorzej powiodło się pawłowi, którym jak doniosła prasa — co raz to ktoś wyrwa ogony, a jeszcze gorzej los spotkał orlika, którego skradziono po to, żeby go wypchać i sprzedać na jakiejś giełdzie staroci.

W przedziale pociągu, którym przed paroma dniami wracałem z Warszawy, polki nad siedzeniami po obu stronach pozawieszone były przeciwnych listów ze złościami metalu. Z półek zostały tylko ramy, na których niczego pozostać nie mogło. Oczywiście nie było też popielniczek, śmietniczek, kloszy i zasłonek w drzwiach, a z siedzenia wykopano pokazywał kwadrat czarnej skóry. Zupelna ruina, w dodatku zapluta, ciemna i zimna.

W bufecie na stacji PKP w Kutnie do herbaty dostaje się wielkie stołowe łyżki, bo małe łyżeczki rozkradziono. Nóż można jedynie wypożyczyć i przy barze, na oczach barmanki, rozgnieść nim porcję masła na paździerz przedwczorajszego chleba ukrojonej na kształt kopyta. Oczywiście są ludzie, którzy w tym bufecie przebywają i jedzą; po prostu nie mają wyboru.

W małym a leciwym miasteczku Warta ulice pozamiata, rynek ozdobiony pięknie utrzymanymi trawnikami. Jednym z miejsc użyteczności publicznej w tymże miasteczku jest przystanek PKS. Wygląda mniej więcej tak, jak chlew u bardzo złego gospodarza. W wejściu leży na ziemi zapity do nieprzytomności młody człowiek. Ludzie przekraczają go jak rynnok, stoją tu obok, nie przerywając towarzyskich pogwarów.

Jest też dom handlowy, czynny — jak wszystkie sklepy w mieście, oprócz monopolowego, który urzęduje aż do dziewiętnastej — do godziny szesnastej. Dziesięć minut przed szesnastą musimy opuścić ów przybytek przez tylnie wyjście, przynaglani przez — chyba — kierownika, bo wszystkie sprzedawczynie już poszły. Wejście główne zamknięto, fajant.

W Krakowie dwudziestoletni młodzieniec ukradł ze szpitala sztuczna nerkę, kosztowne urządzenie, stanowiące dla niejednego pacjenta ostatnią możliwość życia. Ukradł i wyrzucił

na śmietnik. Słyszał, że to „cenna rzecz” — a tu nikt nie chciał kupić! Tygodnik „Tu i Teraz” taka na tym nie snuje refleksję: „Coraz bardziej odnawia się przekonanie, że to nie wyrafinowani przestępcy, nie przebiegli hochsztaplerzy, ale po prostu głupcy — głupcy kradnący, głupcy podejmujący niefachowe decyzje, głupcy nie umiejący handlować, głupcy nie umiejący myśleć, głupcy kierujący się emocjami, że to oni właśnie są sprawcami naszych największych szkód i nieszczęść. Co czynić, aby głupcom odciąć możliwość odziaływania na nasze życie?”

Pytanie zaiste warte najwyższej stawki, chociaż nie wiem, czy tęsknotę za mądrzejszymi złodziejami wypada wymienić jednym tchem z mądrzejszymi decydentami. Jest niestety prawda, że w jednym z najbardziej pobożnych krajów świata panuje się jedna z największych epidemii złodziejstwa. Jest też niestety prawda, że wielu czytelników usmiechnie się przy tym felietonie nie bez poczucia dziwnej jakiejś satysfakcji: jakie to szmeranie chłopaki w tym kraju — nie się przed nimi nie ostoi, ani bazanty, ani tybetański gnój, ani sztuczna nerkę...

A właśnie ci, co tak się usmiechną, to najlepsza pomoc dla najgorszej strony naszego życia.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Sport

Pilkarz to ma ciężkie życie

Pilkarz, on ci ma ciężkie życie. I nie jest to żadna przesada. Ekspedientka na przykład, gdy się jej nie chce pracować, może odpowiadać na pytania klienta — nie ma. I kto jej co zrobi? Kolejarz może ogłosić, że pociąg ma 203 minuty opóźnienia i opóźnienie to może się zwiększyć lub zmniejszyć i on nie ma do tego, bo pociąg jest gdzieś na trasie i licho wie, dlaczego się spóźnia.

Takich przykładów można byłoby podać więcej, ale przecież nie o to chodzi, aby tu wyliczać niedogodności naszego życia. Chodził tylko o to, aby odpowiedzieć na pytanie: dlaczego pilkarz ma ciężkie życie?

Ano dlatego, że pracuje na widoku. Ludzie przychodzą na boisko, aby popatrzeć na wyniki jego pracy. I zaraz wszystko dojrzą. Ano, że ten się ociąga, za piłką nie biega, coś jakby wczoraj był u znajomych na imieninach. A tamten znów ma dziurawe ręce i nie może piłki złapać, choć powinien ją łapać, no bo przecież w bramce stoi. Inny znów nie może w piłkę trafić, jakby miał dwie lewe nogi, a koniecznie chciał grać prawą. I nic się uważnym okom kibiców nie uchwyci, szarż gwizdają zaczynają i domagają się od trenera, aby solidnie pogonił chłopców do roboty. A trener znów nie ma w tym większego

interasu, chłopaki bowiem tak się starają, aby utrzymać się w środku tabeli i to im wszystkim wystarczy. Działacze zawodowi, kłopotów z pucharowymi meczami nie będzie, do kadry nikogo nie powołają. Żrę i nie umierają. Po co się więc wysilać. Tylko te jolopy, kibice nie mogą tego pojąć. Niech więc sobie gwizdają.

Pojedzie taki pilkarz na zagraniczny mecz, ale i tam go dojrzą. Krzysztof Wądrodzki napisze później w „Sportowcu”, że „w meczu na Łuzniakach nasza drużyna nie chciała wygrać”. I wszyscy będą chwalić Zbigniewa Bońka, że był jedynym dobrze przygotowanym kondycyjnie zawodnikiem w polskiej drużynie. Ale jemu to dobrze, bo mu szmal w walucie wymienialnej dają za robienie kondycji i gre. No i czy krajowy pilkarz nie ma ciężkiego życia?

To ciężkie życie pilkarza bierze się przede wszystkim stąd, że kibic oczekuje zwycięstwa, a pilkarze fundują mu porażki lub same remisy. Czasem jeszcze sami sobie strzelą gola, aby już nie było żadnej wątpliwości i żadnej szansy na jakikolwiek awans. I tak nie będzie Polski w mistrzostwach Europy. Jeszcze nie wiadomo, czy awansujemy do olimpijskiego finału. I pod wielkim znakiem zapytania stoi kondycja drużyny, która będzie walczyła w eliminacjach do mistrzostw świata. Po pierwsze — dlatego, że tej drużyny jeszcze nie ma. Po drugie — dlatego, że jest już prawdziwością, iż po sukcesie na Mundialu przychodzi klęska. Właśnie jesteśmy w tej fazie.

Potwierdza to domniemanie sytuacja ligowa. Poznański Lech ponownie prowadzi w tabeli, co jeszcze o niczym nie decyduje, ale wskazuje, że drużyna ta ma ambicje i jest w dobrej formie. Nie jest to forma na europejskie puchary, ale na ligę dobra.

Wąbrzyski Górnik — choć beniaminek — wyprzedził wspomniane drużyny, z Widzewem włącznie. Ale już nie pierwszy to raz beniaminek znakomicie sprawuje się w lidze i sięga po zaszczytne, a wysokie miejsca. Widzew też to robił. Łódzka drużyna nie może się jednak pozbierać po zmianie składu, gra wprawdzie ambitnie, ale mało skutecznie. Oto po ostatniej kolejce ligowej w tabeli prowadzi Lech 19 punktami przy 20 bramkach strzelonych i 8 straconych, Wąbrzyski Górnik lepiej strzela, bo przy 18 punktach ma 26 bramek strzelonych i 11 straconych. Widzew, mając również 18 punktów, ma 19 bramek strzelonych i 9 straconych. Z tego widać wyraźnie, że w Widzewie ze strzelaninami bramek nie jest dobrze. Mogłoby się również przekonać o tym w Białymstoku, gdzie brakło skuteczności przy wcale nie takiej najgorszej grze. I co będzie teraz w Pradze?

Trener Widzewa, Władysław Zmuda, powiedział po meczu w Białymstoku: — „...ale potrafimy grać wyjątkowo mocno”. To prawda, z tą tylko drobną różnicą, że grać, a wygrać to nie to samo. Bowiem wygrać, to umieć strzelać gole, a pilkarzom Widzewa tej umiejętności ciągle brakuje.

I jeśli znów spojrzeć na polską reprezentację piłkarską, w trudnym dla polskiej piłki nożnej roku 1983, to właśnie widać braki w wyszkoleniu technicznym. Te braki powstają w klubach, bo na potrzeby ligowe wydaje się wystarczać to, co chłopcy umieją. Ale już w konfrontacjach z innymi drużynami okazuje się, że umieją mało, że nie mają kondycji, że zbyt szybko ulegają kontuzjom. Jerzy Lechowski obliczył w „Piłce Nożnej”, że w tym roku kontuzje gniebły 11 piłkarzy. Czyli jedna drużyna była wyłączone z gry. A wśród jej składów nazwiska kadrowców. Dlatego tak się dzieje?

BOGDA MADEJ

Tygodnik społeczno-kulturalny „Ogłoszenia”, al. A. Mickiewicza 11, kod 80-455 Łódź. Telefon: sekretariat i redakcja naczelna 653-64, sekretarz redakcji 650-89. Redakcja nie zamawia kopii i nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARBUMI PRENUMERATE, i dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy obsługiwane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajduje się siedziba Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach: — instytucje i zakłady pracy obsługiwane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 3 dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach i siedzibach Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawco-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratę wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” 3. Prenumeratę za cieniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Koloportu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 38, 60-058 Warszawa, konto NBP 20 Oddział w Warszawie Nr 1153-301043-123-11. Prenumerata za cieniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla złocistowalutowych i dwujęzycznych i o 100 proc. dla steczących instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty: na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na 1 kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 95, kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28, Nr Indeksu 56762. Zam. 2814, L-3.

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jędrkowska, Andrzej Karolec (sekretarz redakcji), Jerzy Kwilinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olesznowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirzycki (kier. działu literackiego) Karol J. Stryński, Janusz Szymański (grafik) Paweł Tomaszewski, Lucjusz Witkowski (redaktor naczelny) Jolanta Wróńska, Mirosław Zajder (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Białecki, Edward Bryl, Krzysztof Droewicki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadamski, Witold Kasperkiewicz, Włodzisław Krzemiński, Dariusz Milewski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panaszewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Węski.

Dalszy ciąg rozdziału „O szczupłych poślądkach pani Aldony i o tym, jak pisarz Lubiński zbójował aż w czterech językach”

Jej wymagania zaskoczyły Porwasza. To już nie było proste podciągnięcie spodnicy i palenie papierosa, niekoniecznie nawet do końca. Trwało to nie krótko, ale wiele godzin, niekiedy przez całą noc. Umięśniona rzeźbiarka traktowała go jak małpę, którą przyuczała do zabawy z własnym ciałem, a były to zabawy niezwykle wyszukane, zadziwiająco swoją formą i treścią, czasem przyjemne, a nawet rozkoszne, częściej jednak bolesne i męczące. Od owej rzeźbiarki dowiedział się Porwaz, że w miłości i uczuciach kobiety tylko niewielką rolę wyznaczone członkowi mężczyźni. Kobieta uczyła i trudna do zdobycia żądała wielkiego zaangażowania rąk, które musiały ją obejmować, głaskać, pieścić, domagała się wysiłku ust, które przeznaczone były nie tylko do wygłaszania ciepłych i czułych słów (a tych nigdy kobietom uczciwym nie było dość), lecz także do nieustannego całowania i dotykania. Tak więc w pozycjach z kobietą uczciwą mężczyźni nie pozostawiało nic, co mogło stanowić jego wyłączną własność, lecz wszystko należało do kobiety, każdy skrawek męskiego ciała, każda myśl, każde słowo, każde uderzenie serca. I jakby tego nie dosyć — w stosunku z uczciwą kobietą mężczyzna pozostawał wciąż jak gdyby niewypłaconym dłużnikiem, częściej od pochwał za swoją miłość i erotyczne zabiegi słyszał pląsy i wyrzekania, że nie dosyć jest kochana i pieszczona, że jej uczciwość nie w pełni została wynagrodzona. Teżnił więc Porwaz do kobiet łatwych i ogólnie dostępnych, lecz proso załatwiających z mężczyzną owe trąsko-damskie sprawy. Niestety, raz wyszedłszy z ponurej piwnicy swej przeszłości, powrót swój do niej widział. Porwaz nie mógł, ponieważ oznaczałoby, że niczego w życiu nie osiągnął. Ambicja zresztą, która wypchnęła bez reszty duszę Porwasza, nie mogła pozostać obojętną na jego stosunek do kobiet. Pragnął mieć odład kobiety coraz uczciwszej i coraz trudniejszej do zdobycia, a zarazem spełniać ich oczekiwania, a nawet zaskakiwać, budzić zachwyt, uznanie, szacunek, miłość. Tedy raz wstąpiwszy na ową drogę, Porwaz już nie mógł się wycofać, nawet jeśli w rzeczy samej od czasu do czasu nurtowała go tęsknota za przeszłością. Albowiem miał już pełnię świadomości, że od kobiet sprzedających każdy mężczyzna za tę samą sumę pieniędzy mógł uzyskać to samo, podczas gdy w pożyciu z uczciwymi kobietami istniała nadzieja otrzymania więcej od innych. Z czasem nawet zaczął Porwaz odczuwać coś w rodzaju litości dla kobiet sprzedających, radia go ich wstydlivość i standardowość, skłonność do jednego tylko schematu miłości. Pamiętał przecież, że jedynie w wyjątkowych wypadkach, i to za duże pieniądze, godziły się robić to, co kobiety uczciwe czyniły chętnie i bez żadnych oporów. To one zaskakiwały swoim cudownym bezwstydem i gotowością do najbardziej wyszukanych usług. Zresztą kobiety uczciwe były także w pewien sposób sprzedajne, oddawały się bowiem za rozkosz lub nadzieję rozkoszy, co jednak świat wyżej cenił niż pieniądze. Prostitution wystarczyło machnąć przed nosem wypchanym portfelem, kobiecie uczciwej należało obiecać moc wyszukanych rozkoszy, w pojęciu Porwasza nie różniły się więc zbyt wiele, jednak ze względu na swe wygórowane ambicje wolały kobiety uczciwe. A raz wszedłszy z nimi w stosunki, nigdy już z drogi owej nie zawrócił, starając się dotrzymać swoich obietnic. Odtąd życie malarza Porwasza, podobnie jak wielu innych mężczyzn obcujących z kobietami uczciwymi, było jednym wielkim pasmem nadludzkich trudów. Na szlakach dawania rozkoszy, mężczyzna z ambicjami skazany był na ogromną samotność, intuicję i wiedzę płynącą z doświadczenia, niekiedy przydatną i owocującą, niekiedy zaś obciążającą wyobraźnię jak ciężki worek.

Z czasem wyobraźnię Porwasza przestały wypełniać twarze kobiece o takich, a nie innych oczach, o takim, a nie innym kolorze włosów, zarysie ust i powiek, ale ponieważ wszelkie jego kontakty z kobietami przed jej czy później zmierzali w jednym kierunku, tedy wkrótce we wspomnieniach widział tylko ich przyrodzenia. Zarazem jednak poznając jakąś nową uczciwą kobietę, przystępował do sprawy z nadzieją, że tym razem spełni się z nią fizycznie i duchowo w akcie prostym i łatwym, obopólnie przyjemnym. I za każdym razem przeżywał nowe rozczarowanie, które miało swą przyczyną w ambicji, aby otrzymać więcej niż inni. Nie rozumiał, że nawet działając w dobrej wierze jednocześnie rozbudzał apetyty kobiet, czynił je rozpustnymi, zrywał tamy wokół jeziora ich namiętności i zawsze po jakimś czasie tonął, choć był świetnym pływakiem. Nie mają bowiem brzołów ani granic rozbudzone nadzieje erotyczne kobiety uczciwej, która w swej rozkoszy pragnie znaleźć usprawiedliwienie dla swego odstąpienia od snoty.

Skazany na wielogodzinny widok szczupłych poślądków pani Aldony, odkrył w sobie Bogumił Porwaz zupełnie nowe zjawisko — dystans wobec własnej przeszłości, jak również przyszłości, która jawiła się przed nim niezwykle groźnie, jeśli nie zdecydował zejść z drogi wygórowanych ambicji męskich. Porządkując wspomnienia swoich przeżyć z kobietami, odnajdywał teraz jedynie płytsze lub głębsze własne upodlenia, i to nawet w tych przypadkach, o których dotąd sądził, że były piękne i dały mu tylko szczęście. Tak na dobrą sprawę w tej chwili myślał, że jedynymi momentami w jego życiu, gdy nie doznał uczucia niesmaku, to były właśnie owe krótkie i do niczego nie zobowiązujące spazmy rozkoszy w łbie rodzinnej. Dziewczyna podciągła sukienkę i nie musiała nawet wypalić do końca swego papierosa, on dostawał to co pragnął, nikt nie żądał od niego niczego nadzwyczajnego, co najwyżej trochę pieniędzy, których i tak nie dawał, ponieważ ich nie miał. Zapinając rozporek nie miał uczucia niespełnionego obowiązku albo zawiedzionej czystej nadziei. Co więc warta była świadomość posiadania uczciwej kobiety, jeśli wiązała się z nią konieczność uwzględnienia wszystkich jej tak bardzo skomplikowanych wymagań, życzeń, wysiłków, w których tonęło się jak w ogromnym i głębokim morzu.

Teraz leżąc obok pani Aldony, czuł Porwaz że znówu tonie i tylko dzięki jej porannemu wypoczynkowi może na chwilę wychynąć z głębin i chwycić haust powietrza. Wiedział, że ratunek dla jego mężczyzny jest być może blisko, jeszcze godzina lub dwie, a pani Aldona odjedzie, może na zawsze. Atoli zdawał sobie sprawę, pomny wielu gorzkich doświadczeń, że po wyjeździe, gdy minie dzień lub dwa, znówu zapragnie kobiety. Tak więc, choć zniawidził samą istotę kobiecości, jednak czuł, że żyć bez niej nie potrafi i to, że nienawidzi, wcale nie znaczy, iż przestanie pożądać. Czy było jakiejś wyjście z tej sytuacji. Czy na zawsze będzie skazany, aby znajdował się na dnie śmierdzącej jamy, nienawidzić i pożądać? Podczas pobytu pani Aldony został tak spomiewierany, spadł w taką przepaść, że niemożliwością mu się wydawało, żeby mógł stoczyć się kiedyś jeszcze niżej. Cóż go więc dalej oczekiwało, jeśli nie droga w górę ku wolności i odbudowaniu własnej męskiej godności? Dzięki Aldonie odniósł nad sobą zwycięstwo — uwolnił się od zacierania swojej przeszłości, kontaktów z dziewczynami sprzedajnymi, a także od wygórowanych ambicji, aby w zamian za udzielenie rozkoszy mieć kobiety uczciwe. Odtąd znacznie wyłącznie folgować swemu męskiemu egoizmowi i będzie dawał kobietom tyle, ile od nich weźmie, a może nawet mniej. Przestanie się dręczyć nieustannym poczuciem niespełnionego męskiego obowiązku, skończy mozolne wędrówki po wyszukanych drogach kobiecej rozkoszy. Żadna wyjątkowość o siebie.

Tak myślał malarz Porwaz i w rzeczy samej w trzy godziny później czerwony samochód wyprowadził ze Skirolawek panią Aldonę oraz walizkę z przyrządami do malowania. Na pożegnanie powiedział malarzowi wieloznacznie, że być może przyjedzie tu jeszcze kiedyś, a być może przyśle mu swoją kolekcję. Pochwaliła też jego płótna — trzeci nad

jeziorem. Mógł więc Porwaz wybrać między wiarą, że sprostał jej nadziejom albo poddać się uczuciu niepewności, że nie okazał się dobrym kochankiem. Lecz jemu było już wszystko jedno, skoro wybrał drogę wolności od męskich ambicji.

Dłatego może na pożegnanie powiedział do pani Aldony tak, jak powiedział:

— Żałuję, że nie znalazłem trochę czasu, aby poznać tutajjszych wieśniaków. Należy do nich słynny na całą okolicę lekarz, o którym mówią, że jest prawdziwym doktorem wszech nauk. Jest wśród nich znakomity pisarz pogrążony w pracy nad powieścią zbójką. Sołysem naszym został człowiek który dwa mundury nosił, niezliczona ilość odznaczeń bojowych otrzymał, a wszystkie rzucił do bagna. Jesteśmy biedni, ale cenimy swoją godność. To, co wy w stolicy robicie przez cały rok, to my parzycie się ze sobą i wymieniacie, u nas czynimy to tylko raz w roku, pewnej nocy w starym młynie. I nazywamy to pięknie: nocą mieszania krwi. My robicie to z chęci zysku albo z rozpusty, a my oczyszczenia własnych dusz. Nie przysyłał mi tu żadnych swolch koleżanek lub przyjaciółek, ale co najwyżej dobrego kupca na obrazy. W stolicy znalazłem się w trudnej sytuacji i sprzedałem ci swoje płótno za trzy tysiące. Teraz będą brać po sześć, gdyż jak uczy święty Augustyn Herba sześć jest doskonała.

W drodze powrotnej pani Aldonę przysłała myśl, że być może malarz Porwaz ma w sobie coś wielkiego, być może ów baron Abendteuer nie został przez niego wymyślony, obrazy zaś przedstawiające trzyna nad jeziorem warto komuś odsprzedać bardzo drogo.

A tymczasem Bogumił Porwaz powrócił do swego dachowca krytego sternitem i spokojnie położył się spać na tapczanie, który nosił jeszcze zapach kobiecego potu, męskiego nasilenia i wilgoci wywołanej lubieżnością. Spał prawie dwadzieścia godzin, a nazajutrz około południa zapukał do drzwi pracowni pisarza Lubińskiego. Uczynił tak, ponieważ czuł potrzebę, aby komukolwiek zwierzyć się, że stał się człowiekiem wolnym od męskich ambicji. Nie mógł wiedzieć malarz Porwaz, że idzie do kogoś, kto popadł w niewolę powieści zbójckiej, niewolę potężną i groźną. Bo jeśli Porwaz przez wiele godzin widział jeno szczupłe poślądky pani Aldony, to pisarz Lubiński w tym samym czasie widział coś więcej, wniósł się być może wyżej niż Porwaz się zarazem spał daleko niżej. A między owymi wyżynami i nizinami, podobnie jak Porwaz, przeżywał morze niepewności, zwątpienia, wstydu, lęku i odwagi w daleko większym niż u Porwasza wymiarze.

Roztargnionym gestem pisarz wskazał Porwaszowi ławę okrytą szeroką skórą dziką, ale na malarza nawet nie spojrzął. Wzrok pisarza kierował się za okno na płaską powierzchnię jeziora, ale chyba jej także nie dostrzegał, potem na moment zatrzymał na kartkach papieru leżących na stole. Na nich to kroczył pisarz Lubiński po manowcach powieści zbójckiej, na które sprowadziła go pani Basienka; tamal się ze swoją wstydlivością, ale także odkrywał w

sobie pokłady rozwiązości, która go zaskakiwała w sposób oszałamiający. Czuił Porwaz, że pisarz Lubiński jest dziś jakby zupełnie innym człowiekiem i obserwując go, taktownie milczał. I tylko pani Basienka, nieświadoma tych spraw, radośnie krztała się po swej wykładanej białymi kafelkami kuchni, ciesząc się, że maż jej wejście między sławy. Na tę okazję włożyła na siebie sweterok o dwa numery za mały, uwy-puklając wyraźnie diabelskie różki, co jak się jej wydawało, powinno natchnąć męża do prawdziwego zbójowania w prozie. Lecz on był zbyt roztargniony, aby to dojrzeć, podobnie jak zdawał się nie dostrzegać Porwasza. I tak obydwoj ci mięzczyźni siedzieli naprzeciw siebie chyba z godziną, a żaden nie rzekł ani słowa.

Zaniepokojona ciszą trwającą w pracowni męża pani Basienka weszła tam z tacą, na której stały dwie szklanki mocnej herbaty. Maż spoglądał w okno, a malarz patrzył na niego, lecz obydwoj zdawali się być nieobecni w tym domu, ani może na tym świecie. Między nimi zalegało milczenie, ciężkie i tak rozległe, że chyba w rzeczy samej poprzez ten obszar ani siebie, ani też jej nie dostrzegali. Usiadła więc cichutko na małym pufie, kierując ku malarzowi okrągłe kolanką w jasnych północznych i nawet dwa razy, raz po razie, przełożyła nogę na nogę, aby Porwaz mógł ujrzeć jej białe majteczki. Obciągnęła również na siebie sweterok o dwa numery za ciasny, lecz odniosła wrażenie, że uczyniła to za jakąś ścianą w zupełnie innym pokoju. I ogarnęła ją trwoga, że stało się coś bardzo złego, czego nie obejmie ani rozumem, ani kobiecymi ramionami. A że rzadko która kobieta pogodzi się z faktem, iż coś pozostaje poza jej rozumieniem, poza dotknięciem ust, pierś, vaginy, poza pożądaniem i spełnieniem, trwoga wkrótce ustąpiła w niej złości i głośno stuknęła tacą o stółik przy ławie, nie-jako rozkazując, aby zwrócili uwagę na herbatę, którą im przyniosła.

— Niech mi pan przeczyta coś o pięknej Luźce — ożedwał się wówczas malarz Porwaz głosem cichym i dziwnie złośliwym. — Chciałbym posłuchać o miłości wzniosłej i prawdziwej.

Lubiński popatrzył na niego badawczo, jakby go po raz pierwszy widział na oczy. To samo wrażenie odniosła i pani Basienka, bo też i jej się zdało, że poprzez owe badawcze spojrzenie widzi ją kimś innym niż była. A i on sam w swym spojrzeniu objawił się swej żonie jakimś zupełnie nowym człowiekiem.

— Dobrze — zgodził się z tajemną satysfakcją.

Wypili herbatę, którą im podała. I wraz ze zwykłymi gestami, jakie się w takich razach czyni — wspanianiem cukru, mieszaniem lyczka, podnoszeniem szklanki do ust i odstąpieniem jej na spodek, stali się również zwykły, wrażenie odmienności uciekało jak sen.

A potem pisarz Lubiński pełnymi zdaniem swą potoczny przy opowiadaniu im o wczesnowiosennym zmierzchu i opuszczeniu domku myśliwskim, który wznosił się na brzegu uroczyska starej karpia. Stażysta pożyczyl klucz od leśniczego i otworzywszy ów domek, zapalił świeczkę na bitym z desek stole. Oczekując na przyście Luźy, usiadł na jednej z czterech drewnianych przycz, pokrytych siennikami i czekał czas jakiś, może kwadrans, a może dłużej. Wreszcie doszło jego uszu niezbyt głośne kasznięcie na dworzu, później zaś szmer kroków na pokrytej zwierem ścieżce. Wówczas stażysta wstał z przyczy i szeroko otworzył ramiona.

(W rzeczy samej, o trzy kilometry od leśniczówki Blesy, w głębokie lasu, znajdowała się ogromna polana, podobna do podłużnej niecki. Kiedyś hodowano tu karpie i dla strażników rybackich zbudowano drewnianą szopę. Ktoreś bardzo dżdystej wiosny woda przerwała tamę i leśnym strumieniem uciekła do niedalekiego jeziora Baudy, karpie zaś zostały wylapane i zjedzone. Wkrótce drewniana szopę strażników obalily jesienne wichury, zmieniając ją w serię spróchniałych desek, aż w końcu odbudowana została mocą pisarskiej wyobraźni — jako domek myśliwski. W jej wnętrzu stanęły przyce i stół, a na stole znalazła się świeca, która przydać miała blasku miłości...)

„Piękna Luźa otworzyła drzwi domku myśliwskiego, nagły powiew wiatru zgasił świecę na stole. W ciemnościach Luźa przyglęła do stażysty, który zaczął jej rozpinąć guziki u jej bluzki, a potem chwycił wargami skurczone, chutliwie brodawki obnażonych pierś. Po chwili położyli się na drewnianej przyczy, ona rozpięła mu koszulę i przyglęła policzkiem do pierś, słuchając szybkiego oddechu.

Trwali tak przez kilka melodyjnych i nieco barokowych zdań zbójckiej powieści.

Wreszcie stażysta pośpiesznymi ruchami zrzucił z siebie ubranie i bieliznę. Później, nie zważając na nieśmiały sprzeciw Luźy, uwolnił ją od spodnicy i majtek. Znaleźli się zupełnie nago na szorstkim sienniku w ciemnościach domku myśliwskiego.

— „Wysunięty wilgotny i mięsisty koniec języka zaczął błądzić po każdym zakątku jego skóry” — czytał pisarz Lubiński. — „Ję prawa dłoń wśliznęła się między owłosione mięskie uda. Ogarnęło go tak silne pożądanie, że chwycił ją mocno w ramiona, aby wejść w jej wnętrze. Lecz ona...”



Rys. Janusz Szymański-Głans

C.d.n.